

Tęsknota

Margit Sandemo

Książka IV z Saga o Ludziach Lodu



calibre 0.9.27

TEŚKNOTA

SAGA O LUDZIACH LODU

Tom IV

1

ROZDZIAŁ I

Stało się tak, jak Sol przepowiedziała. Jeszcze w tym samym roku, w którym ona musiała umrzeć, urodziła się inna mała Sol. Była drugim dzieckiem Liv i Daga, a na chrzcie dano jej imię Cecylia. Choć na różne sposoby bardzo przypominała Sol, nie odziedziczyła osobliwego chłodu uczuciowego ani głębokiego tragizmu tamtej.

Nie trzeba też było długo czekać, by z początkowo mizernej istotki przemieniła się we wspaniałe dziecko...

Eikeby, jedno z małych gospodarstw należących do Grastensholm, stanowiło dla właścicieli majątku, barona Daga Meidena i jego matki Charlotty, nieustanny problem. Robili co mogli, by dzierzawiąca ziemię rodzina nie głodowała, ale co można było poradzić, skoro stary gospodarz na Eikeby uparł się, że tylko on jeden powinien wypełnić zawarty w Biblii nakaz zaludnienia ziemi? Najmłodsze jego dzieci były jeszcze całkiem małe, gdy najstarszy syn ożenił się i przejął prowadzenie gospodarstwa. Poszedł też w ślady ojca, jeśli chodzi o zaludnianie ziemi. W 1607 roku miał już piętnaścioro dzieci, które przy stole bijąły się zaciekle ze swoimi ciotkami i wujami, niewiele od nich starszymi.

Jedną z tych piętnaściorga była Irja, drobna dziewczynka, przy której narodzinach Tengel bardzo się namęczył, ponieważ była ułożona nie tak, jak trzeba. Okazało się zresztą, że to dla niej dość typowe; przeważnie to, co robiła, było trochę opaczne.

Jako niemowlę, Irja nie zaznała dobrobytu. Umęczona matka nie miała dla biedactwa dość pokarmu. Pierwsze lata dzieciństwa też nie były lepsze, bo dziewczynka nie należała do tych, którzy jako pierwsi pojawiają się przy stole. W rezultacie jej organizm nie rozwinął się jak należy. Dręczyły ją dolegliwości, które z późniejszych czasów znamy pod nazwą angielskiej choroby. Przyczyny tego stanu szukano jednak gdzie indziej. Uważano, że matka, kiedy była z nią w ciąży, musiała spotkać na swej drodze kalekę. Nikt nie miał co do tego wątpliwości.

Irja była też nieustannie zawadą. Matka, która zdążyła już urodzić następne dzieci i musiała się nimi zajmować, nie miała z niej żadnej pociechy, bo dziewczynka do niczego się nie nadawała.

Ojciec miał obowiązek wykonywania określonych prac dla Grastensholm. Kiedyś zdesperowana matka poprosiła, by zabrał tam ze sobą Irję.

- Miałabym jedno dziecko mniej do doglądania, przynajmniej na ten dzień.

Chłop prychnął gniewnie i oświadczył, że to przecież niepodobna taszczyć ze sobą dzieciaka do roboty.

- To przywiąż ją do drzewa, kiedy będziesz pracował! - odparła matka. - Mamy dzisiaj duże pranie i ledwie zdołam zająć się tymi całkiem najmłodszymi. Większe muszą mi pomagać.

2

Stało się więc tak, że Irja poszła z ojcem. Miała wtedy sześć lat. Po ojcu odziedziczyła przysadzistą sylwetkę, co sprawiało, że cała jej postać robiła jeszcze bardziej dziwne wrażenie. Wyglądała jak duży, rosochaty oset.

Dzieci właściciela dworu, Tarald i Cecylia, oraz ich kuzynka Sunniva bawiły się w Grastensholm, kiedy zobaczyły, że niedaleko stodoły stoi przywiązana do drzewa mała dziewczynka. Spuściła głowę i nieśmiało grzebała nogą w ziemi, rzucając na nich ukradkowe spojrzenia. Jej twarzyczka i cała postura wyrażały to, co czuła: jak tym dzieciom dobrze! Ktoś, komu pozwolono by bawić się z nimi...

Ciotki i wujowie opowiadali jej o dziecięcych przyjęciach w Grastensholm. Że ich tam zapraszano. Ale to było dawno, w czasach, kiedy baron Dag sam był jeszcze małym chłopcem.

Cecylia, która, choć najmłodsza, przewodziła całej trójce, stanęła jak wryta na widok Irji.

- Czy ona nie mogłaby się z nami bawić?

Dwoje pozostałych przyglądało się dziewczynce badawczo. Prawdę mówiąc nie bardzo było na co patrzeć - duża, wychudzona, pokrzywiona... Jak karłowata sosna, która wyrosła gdzieś na krawędzi skały, najbardziej wystawiona na wichury i niepogodę, ale mająca jakąś niezwykłą zdolność czerpania niezbędnych soków, by móc wyrosnąć wyżej niż inne drzewa.

Albo jak wybijały oset.

- Dlaczego nie? - odparł Tarald swobodnie. - Możemy ją przecież o to zapytać.

Pobiegli i zatrzymali się parę metrów przed drzewem. Irja gorączkowo kopała ziemię czubkiem buta.

- Hej! - zaczął Tarald. - Jak się nazywasz?

Szepnęła coś w odpowiedzi, ale nie podniosła oczu.

- Co mówisz? - zapytała Cecylia, podchodząc bliżej.

Mała dziewczynka przełknęła ślinę. Głos odmawiał jej posłuszeństwa. Ukryła twarz w dłoniach.

- Irja - zdołała na koniec wykrztusić.

- Irja? Tak powiedziałaś?

Dziewczynka skinęła głową twierdząco, ale nie miała odwagi na nich spojrzeć.

- Irja? - powtórzyła Sunniva. - Tak się przecież nikt nie nazywa.

3

Widać było, że mała najchętniej zapadłaby się pod ziemię.

- Nie możesz tego wiedzieć - ofuknęła Sunnivę Cecylia. - Przecież nie słyszałaś wszystkich imion świata!

- Chcesz się z nami bawić? - zapytał Tarald, a Irja odważyła się spojrzeć na chłopca i w tym momencie mogłaby z radością oddać za niego życie.

Natychmiast jednak znowu spuściła wzrok, nie będąc w stanie odpowiedzieć.

- Zapytamy twojego ojca - zdecydowała Cecylia. - To gospodarz z Eikeby, prawda?

Irja potwierdziła gorączkowo. Ojciec naturalnie powie nie, pomyślała. Ale oni przynajmniej zapytali. Zapytali!

Kiedy dzieci pobiegły w stronę wrót stodoły, które jej ojciec naprawiał z jakimś jeszcze innym człowiekiem, ośmieliła się nieco i patrzyła w ślad za nimi.

Chłopiec był taki wspaniały, miał czarne włosy i brwi, które wyglądają jak... mewy w locie, pomyślała, tak są łukowato wygięte. Jedna z dziewczynek była śliczna i delikatna jak porcelanowa waza, którą Irja kiedyś widziała. Druga zaś, ta mniejsza, była samą energią, już zdążyła zabrudzić swoją piękną sukienkę, choć dzień dopiero co się zaczął.

Teraz dzieci otoczyły z niecierpliwością jej ojca. Ale nie wyglądało na to, że on się zgodzi.

I właśnie wtedy na podwórzu pojawiła się jakaś dama. Irja poznała ją, to gospodyni z Lipowej Alei.

Dzieci pobiegły jej na spotkanie.

- Babciu, babciu, czy Irja może się z nami bawić? Powiedz jej ojcu, że może, on nam nie wierzy.

Silje patrzyła na nich z uśmiechem.

- Oczywiście, że może! Porozmawiam z jej tatą. Ale, czy to nie ta mała dziewczynka, która...

No tak, to ona!

Przywołała gestem gospodarza z Eikeby i podeszła z nim do stojącego przy drzewie dziecka.

- A teraz posłuchajcie mnie - powiedziała po chwili. - Mała Irja przyszła na świat w dzień po urodzeniu się Taralda. Wasz dziadek, Tengel, niemal jednocześnie pomagał obojgu przyjść na świat.

Przez cały dzień i noc jeździł tam i z powrotem pomiędzy Eikeby i Grastensholm.

Jest między wami różnica około siedmiu godzin. Ty, Sunnivo urodziłaś się pięć dni po nich.

4

- A ja? - zapytała urażona Cecylia, przysłuchująca się uważnie opowieści babki. - Czy ja się w ogóle nie liczę? Tylko oni są ważni?

- Ty! - roześmiała się Silje. - Ty masz dopiero pięć lat i doskonale o tym wiesz. Już od wielu dni przypominasz o swoich urodzinach. Ale rok różnicy to niewiele. Masz z nimi dużo więcej wspólnego. Jesteś wierną kopia Sol, matki Sunnivy. Tylko, że ona miała ciemniejsze włosy i

- wybacz mi, że to mówię - chyba była od ciebie trochę ładniejsza. Była najładniejszą dziewczynką, jaką kiedykolwiek widziałam.

Tarald skinął głową potakująco.

- Tak, widziałem jej portret w Lipowej Alei.

- Och, portret nie oddaje wszystkiego dokładnie - rzekła Silje, bo wiedziała, że Sunnive potrzebne jest przeświadczenie, iż miała niezwykłą matkę. - Sol była tak cudownie pełna życia, że aż zapierało dech.

- Sol to moja mama - powiedziała Sunniva z dumą.

- Czy ja jestem też taka ładna, jak ona?

Silje spojrzała na małą.

- Ty wcale nie jesteś do niej podobna, bo jesteś blondynką i oczy masz błękitne niczym skrzydła motyla. Ale też jesteś bardzo ładna i dobrze o tym wiesz.

Żadne z dzieci nie słyszało strasznej historii Sol, nie wiedziało nic o jej tragedii, o tym, że miała zostać spalona jako czarownica, gdy wyszło na jaw, że widłami zamordowała Heminga Zabójcę Wójta. Ani o tym, że w noc przed egzekucją Tengel dał jej truciznę, by ją uchronić od tortur i męczarni na stosie. Wiedziały jedynie, że zmarła wkrótce po urodzeniu Sunnivy.

Sunniva pytała też o ojca, ale powiedziano jej tylko, że umarł i że ona jest do niego podobna. Nikt nie mówił o makabrycznym końcu jego życia. Nigdy też nie wymieniano jego znenawidzonego imienia.

- Uwolnij teraz Irję, Taraldzie, a jak skończycie zabawę, zaproście ją do domu na obiad - poleciła Silje.

W ten sposób Irja została wprowadzona do Grastensholm i od tego dnia bywała tam często.

Czworo równych wiekiem dzieci trzymało się razem, w złym i dobrym. Irja była im w jakiś sposób niezbędna. Podział zajęć był odtąd nierówny. To Irja musiała wykonywać wszystkie nudne zadania podczas zabaw, biegać na posyłki, siedzieć na czatach i temu podobne.

Sunniva nie umiała nic, była zupełnie bezradna, a Tarald i Cecylia nieustannie walczyli o przywództwo. Przeważnie zwyciężała Cecylia, umiała znakomicie wygrywać na swoją korzyść istniejącą różnicę wieku.

5

Dorośli ze zdumieniem patrzyli, jak szybko i bez reszty Irja została włączona do grupy. Liv stwierdziła, że wygląda to tak, jakby potrzebowali kogoś, komu można imponować, ale to przecież nic niezwykłego, także wśród dorosłych.

Dla Irji jednak, i dla rodziny z Eikeby, nowi przyjaciele oznaczali radykalną poprawę życia.

Ona sama dostawała w Grastensholm pod dostatkiem jedzenia, a od czasu do czasu nawet jakieś dodatkowe kąski, toteż wyrosła i nabrała sił. Po kilku miesiącach Silje wzięła ją do siebie, do Lipowej Alei, jako służącą. Dziewczynka przychodziła kilka razy na tydzień i pomagała przy lekkich pracach w atelier i w pokojach. Wszyscy byli z tego zadowoleni, ponieważ Silje wynagradzała ją co jakiś czas a to czymś do jedzenia dla rodziny, a to sztuką ubrania czy nawet drobną monetą.

Dość nieoczekiwanie także Sunniva zapragnęła pomagać babce, w każdym razie w pracowni, co było oczywiście bardzo interesujące. Tak więc obie dziewczynki przychodziły na zmianę do Silje, która nie miała już tyle energii co dawniej. Było to znakomite rozwiązanie, zwłaszcza że Silje mogła je po prostu odesłać, jeśli ich obecność uznała za zbyt męczącą.

Już dawno temu Sunniva przeprowadziła się do Grastensholm i wychowywała się z dwojgiem dzieci Liv i Daga. Silje dość szybko musiała dać za wygraną; nie miała już sił, by opiekować się małym dzieckiem, ale wtedy Liv sama zaproponowała, że zajmie się osieroconą dziewczynką.

Silje martwiła się trochę o Arego, swego najmłodszego syna. Nic nie wskazywało, by zamierzał się kiedykolwiek ożenić. Jedyne, co go zajmowało, to gospodarstwo, inwentarz, zbiory, zabudowania i las. Silje nie mogła i nie chciała się z tym pogodzić, nie dawała mu więc spokoju. Pragnęła wnuków, a obejście potrzebowało zdolnej gospodyni.

Gdy w końcu do tego doszło... Nie, to była po prostu zwariowana historia!

Pewnego dnia, a zdarzyło się to w tym samym roku, kiedy Irja zaczęła pomagać w Lipowej Alei, wszystkie dzieci były akurat u dziadków i bawiły się w chowanego. Nie bardzo już wiadomo dlaczego, ale nagle uwagę szukających pochłonęło coś innego i zapomniwały o Irji, która schowała się w oborze. Siedziała cichutko jak mysz przy zagrodzie dla cieląt i zastanawiała się, dlaczego nikt nie przychodzi jej szukać.

Wtem ktoś jednak przyszedł! Tylko stąpał tak jakoś ciężko, że dziewczynka ukryła się jeszcze staranniej.

Tego dnia Klaus, służący z Grastensholm, był z jakiegoś powodu w Lipowej Alei. To właśnie on wszedł teraz do obory, gdzie szukał starej uprząży i wcale ukrytej dziewczynki nie zauważył. Po chwili w oborze pojawił się jeszcze ktoś. Była to jedna z tych istot, którymi kiedyś zajmowała się Sol: Meta, w ostatnich latach nieoceniona dla wszystkich pomoc w gospodarstwie.

6

Klaus nigdy nie był specjalnie rozbawiony. Przez wiele lat gorzko żałował Sol, ostatnio jednak zaczął odczuwać zainteresowanie dla szczupłutkiej Mety o jasnobłond włosach. I gdy teraz, całkiem nieprzygotowany, spotkał się z nią sam na sam w oborze, okazało się, że to dla niego za wiele. Natura zwyciężyła wychowanie.

Dumnie oblał Metę wpół i zapytał, czy nie chciałaby zobaczyć.

Ale Meta nie chciała, za żadną cenę. Wyrwała się rozpaczliwie, a jej rozziewany krzyk wibrował w uszach Irji. Przerazona dziewczynka zaczęła się na czworakach czołgać do drzwi, gdzie o mało nie została stratowana przez Metę. Obie się stamtąd jakoś wydostały, a po chwili Silje, idąca akurat do obory, spostrzegła zzieleniałą na twarzy Metę, ukrytą za narożnikiem budynku i wymiotującą. Nikt nie zwrócił uwagi na małą, nie rzucającą się w oczy Irję.

- Dziecko drogie - pytała Silje Metę. - Jesteś chora?

Dziewczyna wyprostowała się. Dzwoniła zębami, ale potrząsała przecząco głową.

- Klaus... On wyjął to... - szepnęła. - Takie wielkie!

Znowu poczuła skurcz żołądka.

- Och, kochanie! - jęknęła Silje przerażona i wpadła do obory. Klaus stał tam jeszcze i uśmiechał się głupkowato. Ubranie zdążył już pozapinać.

Silje zgnębiona, lecz spokojna, z wciąż kryjącą się za jej plecami Irją, powiedziała: - Nie wolno ci się tak zachowywać, Klaus! Zwłaszcza wobec Mety.

- Ale ja ją lubię - odparł, wciąż z tym głupkowatym uśmiechem.

- Zapomnij o tym. Wiesz, Meta została kiedyś śmiertelnie przestraszona i okropnie potraktowana przez gromadę żołądków. Oni wtedy wszyscy zrobili to, co ty teraz... i jeszcze coś gorszego. No, więc kiedy ty teraz... no wiesz, przypomniało się jej tamto okropne zdarzenie i poczuła się chora. Rozumiesz to?

Klaus wyglądał żałośnie.

- Ale Sol to lubiła. Ja chcę sypiać z Metą.

Słyszając, co Klaus mówi o Sol, Silje zacisnęła zęby.

- Nigdy do tego nie dojdzie, chłopcze. Wybij sobie Metę z głowy! Ale, czy nie zauważyłeś, że jest u nas dziewczyna, która rzuca za tobą powłóczyste spojrzenia?

- Rzuca powłóczyste...?

7

- Która cię lubi.

- Mnie? Lubi mnie?

Teraz Silje zmyślała na potęgę. Nigdy nie próbowała być swatką, ale chodziło o uwolnienie Mety od tego parobka, który tak zupełnie do niej nie pasował.

- A kto to jest, pani Silje?

- Rosa. Rosa o różowych policzkach i ciepłym uśmiechu.

Klaus myślał z takim wysiłkiem, że widać to było na jego twarzy. Najwidoczniej nie zwracał

dotychczas uwagi na tę pulchną dziewczynę kuchenną o grubych nogach. Rosa, tak jak i on, była naturą prostą, bez rodziny i już za starą, by wabić młodych, nieżonatych mężczyzn.

Musiała być co najmniej pięć lat starsza od Klause, ale serce miała gorące. Wprawdzie Silje nie miała pojęcia, co Rosa myśli o Klausie, ale wychodziła z założenia, nie bez podstaw zresztą, że kuchenna dziewczyna będzie zadowolona z każdego konkurenta.

Nieco później, tego samego dnia, poszła porozmawiać z Rosą.

- Czy zauważyłaś, że masz wielbiciela? - zapytała.

Bujna kucharka splonęła ognistym rumieńcem.

- Wielbiciela? Ja? Pani gospodyni nie powinna ze mnie żartować. Kto to taki?

- Klaus z Grastensholm. Przychodził tu nawet dzisiaj, by na ciebie popatrzeć.

To akurat była prawda, bo po rozmowie z Silje Klaus przeszedł się pod kuchennym oknem, żeby zobaczyć, która to właściwie jest ta Rosa. Gdyby tylko teraz Meta nie powiedziała nikomu o tym, co zrobił - a ona na pewno będzie milczeć - i gdyby on sam nic nie mówił, Rosa nie musiałaby się dowiedzieć, że naprawdę Klaus interesował się zupełnie inną dziewczyną...

- No, tak... Rzeczywiście widziałam go przez okno. Ale nawet bym nie pomyślała, że ten duży, przystojny mężczyzna...

- Wiesz, Roso, on nie jest specjalnie bystry. Ale za to miły...

- Och, ja też nie jestem taka bystra, o ile mi wiadomo. Acha, czyli Klaus...? Czy mówił, kiedy tu znowu przyjdzie?

- Nie wprost. Ale ostatnio wciąż ma tutaj jakieś interesy.

Rosa zastanawiała się przez chwilę.

8

- Czy mogłabym zaprosić go na pszenny placek, pani gospodynie? Wzięłabym ten najstarszy.

Silje roześmiała się.

- Możesz go poczęstować tym, co mamy w domu najlepszego, Roso! Zasłużył na to, mimo że nie jest geniuszem.

Wstydź się Silje, śmiała się potem sama z siebie, wracając do swego pokoju. Co ty próbujesz zrobić?

Kiedy gospodynie wyszła, Rosa złapała za rękę Irję, która właśnie zamierzała pójść za swoją panią.

- Irjo, ty często chodzisz do Grastensholm, prawda?

- Chodzę.

- To może byś powiedziała Klausowi - to jest ten najprzystojniejszy chłopak we dworze, nie pomylisz się - że jak tu przyjdzie, to czeka go u mnie świąteczny poczęstunek. Powiedz mu... powiedz mu, że zasłużył na to, bo tak dobrze kurował chorego konia pana Tengela tej zimy!

Irja kiwając głową obiecała, że tak właśnie powie. Wiedziała oczywiście, który to jest ten Klaus, ale że jest najprzystojniejszy we dworze... Nie, tego jakoś nie mogła zrozumieć.

Rosa patrzyła zadowolona z siebie na to niezgrabne biedactwo, wymykające się z kuchni tuż za Silje, którą najwyraźniej ubóstwiała. Pomyślała, że nie może przecież czekać, aż Klaus przyjdzie tu znowu za jakimś interesem. Taki dzielny młodzian!

Irja wślizgnęła się do pokoju dokładnie w chwili, gdy Silje doznała kolejnego szoku. Pan Tengel wyszedł im naprzeciw, ogromny i groźny z pozoru, Irja wiedziała jednak, że za tym ponurym wyglądem kryje się sama dobroć. Wiedziała też, że niedługo skończy sześćdziesiąt lat, ale wyglądał znacznie młodziej niż jej ojciec, któremu daleko było jeszcze nawet do pięćdziesiątki.

- Co to znaczy, Silje? - zapytał pan Tengel. - Meta wymówiła miejsce u nas i poszła sobie.

Do jakiejś rodziny w Tonsberg, która chce ją przyjąć na służbę. Powiedziała, że albo ona, albo Klaus musi stąd odejść i uznała, że ona jest dla nas mniej ważna.

W tym momencie w drzwiach stanął Are. On także usłyszał ostatnie słowa ojca.

- A to co znowu? Meta sobie poszła? Ale przecież my nie potrafimy się bez niej obejść?

- Będziemy musieli, skoro nie chce tu zostać - odparł pan Tengel. - Ty przecież i tak wciąż narzekasz na jej pracę. Nieustannie jej wyrzucasz, że niszczy to, co ty robisz. Ale o co w tym wszystkim chodzi?

9

Pokojówka, która poinformowała Tengela o odejściu Mety, też niczego nie wiedziała.

- Musiało zajść coś pomiędzy nią a Klausem - powiedziała. - Bo Meta była strasznie zdenerwowana, płakała i szlochała i chciała jak najszybciej sobie pójść.

- Kiedy poszła? Wzięła coś ze sobą? - krzyczał zdenerwowany Are.

- Tylko mały węzełek. Poszła jakąś godzinę temu, a może dwie...

- Biorę konia i natychmiast ruszam za nią - oświadczył Are wzburzony.

Silje wyszła z synem do sieni.

- Are... bądź spokojny! Pamiętaj, co Meta kiedyś przeżyła. Ona dlatego dzisiaj uciekła.

Are zbladł.

- Klaus?

- Nic jej nie zrobił. Tylko chciał, żeby go oglądała. A to wzbudziła bolesne wspomnienia.

- Rozszarpie go na sztuki!

- Nie, Klausem ja już się zajęłam. Nie będzie jej więcej niepokoił.

- Czy to pewne?

- Możesz na mnie polegać. On już się interesuje kim innym.

Are skinął głową. Wiedział, że Klaus nie jest zły, tylko ograniczony.

W chwilę potem Irja usłyszała oddalający się szybko tętent końskich kopyt. To Are wyruszył, by przywieźć z powrotem Metę.

Mała dziewczynka nie dowiedziała się nigdy, co zaszło podczas tej jego podróży. Zresztą w ogóle niewiele rozumiała z całego zdarzenia. Klaus zrobił w oborze coś złego, ale co, tego ze swojej kryjówki nie widziała.

Silje i Tengel też nie wiedzieli, jak przebiegała akcja ratunkowa Arego. Poznali naturalnie rezultaty, lecz o samej podróży nigdy im nie opowiedział.

Tymczasem Are gnał jak szalony do Tonsberg, a po drodze zdążył przemyśleć wiele spraw i gorzko żałować straconych lat.

Dość szybko dogonił Metę. Boże drogi, jaka ona drobna, pomyślał i przypomniał sobie tamten dzień sprzed siedmiu lat, kiedy Sol wróciła do domu, prowadząc ze sobą tę 10

zabiedzoną, wpół żywą istotę. Jakże on jej dokuczał z powodu skańskiego dialektu. Był dla niej naprawdę niedobry.

Zeskoczył z konia. Dziewczyna patrzyła na niego przestraszona, oczyma zapuchniętymi od płaczu.

- Meta, co ty? - zaczął Are trochę zbyt surowo. - Dlaczego uciekasz w ten sposób?

Wargi Mety znowu zadrgały i Are zrozumiał, jak źle się wyraził.

- Nie możemy się bez ciebie obejść w Lipowej Alei, rozumiesz to chyba? - wrzasnął niemal.

Dziewczyna odwróciła się.

- Ja nie mogę się bez ciebie obejść, Meta.

- Ty, panie? Ale przecież ciągle mi wymyślasz.

- Ja? - krzyknął Are zaczepnie. - Może na początku, ale czy w ostatnich latach tak robiłem?

Meta zastanowiła się.

- Nie - przyznała zdumiona. - Tylko, że ja tak to odczuwałam.

- Wmawiałaś sobie - oświadczył Are. - Bo przecież pracowało się nam razem bardzo dobrze, czyż nie?

- Tak - szepnęła z pochyloną głową.

Are myślał o tym wiernym cieniu, który towarzyszył mu wszędzie, na polu i w zabudowaniach. I ona miałaby teraz odejść? Powiedział bardzo szybko, nie robiąc pauz między słowami:

- Meta, czy chciałabyś wyjść za mnie?

Bardziej spłoszonej twarzy nigdy jeszcze nie widział. On sam był także zaskoczony i przestraszony tym, co powiedział.

- Ja? - szepnęła. - Ale przecież ja jestem... jestem tylko zwyczajną dziewczyną do posług.

- Nie, jesteś kimś znacznie ważniejszym. Ale ja nie rozumiałem jak wiele dla mnie znaczysz, dopóki sobie nie poszłaś.

Łzy popłynęły spod jej przymkniętych powiek. Are sam nie mógł pojąć, skąd wziął tyle odwagi, żeby

to wszystko powiedzieć i skąd w ogóle brały mu się te słowa. W swoim 11

dotychczasowym życiu dziewczynami zajmował się mało. Nie miał więc pojęcia, jak powinien się zachować i może dlatego trochę za bardzo wprost przedstawił sprawę.

- Nie chcesz? - zapytał cicho.

- Ja nie mogę - szepnęła w odpowiedzi.

- Z powodu tego, co stało się kiedyś, dawno temu?

Meta potwierdziła nerwowo.

- Ale...

Jak na Boga miał to powiedzieć? Przeszłował z nogi na nogę, szukając odpowiednich słów.

- Ale czy ty mnie lubisz, Meta? Chociaż troszkę?

- Bardzo - pisnęła ledwie dosłyszalne.

- A więc gdyby tamto się nie stało, to byś powiedziała tak?

- Ja stoję o tyle niżej od ciebie, panie - Och, przestań z takimi sprawami!

Nie, znowu mówił nie takim głosem, zbyt surowo. Uff, nie poszło to, jak trzeba. Czy nie ma nikogo, kto by mu pomógł rozwiązać tę łamigłówkę? Ale, jak okiem sięgnąć, wiejska droga była pusta. Zresztą, szczerze mówiąc, nie chciałby mieć żadnych widzów dla tych swoich, wołających o pomstę do nieba, żalonych zalotów.

- Moi rodzice też nie zawsze byli tak szanowani; przekonywał wciąż tak samo nieszczęśliwy.

- Był czas, że musieli uciekać i to ciotka Charlotta uratowała ich od głodowej śmierci. No, co teraz powiesz?

- Chciałabym bardzo, panie.

- Are.

- A... Are - wyjąkała. Nie przywykła zwracać się do niego po imieniu.

- Posłuchaj mnie, Meto - objął jej ramiona. - Jeśli nie chcesz... - Nie, no jak to się mówi w takich sytuacjach? - Jeśli nie chciałabyś dzielić ze mną łóża, to nie musisz tego robić, bo ja nie należę do tych strasznie ognistych...

Czy to nie zabrzmiało głupio? Tak, na pewno tak, ale nie miał odwagi użyć innych słów.

- Żebyś tylko za mnie wyszła, to ja otoczę cię moją... miłością.

No, teraz to ona zacznie się ze mnie śmiać. Nie, dziwne, ale Meta się nie śmieje...

- Chociaż chciałbym... ech... bardzo bym chciał mieć dziecko, albo dwoje, to z pewnością rozumiesz. I matka ciągle marudzi na ten temat.

Meta pochyliła głowę tak nisko, że widział tylko jej blond włosy na karku.

- Ja też nie jestem z drewna - szepnęła. - Tylko gdy dzieją się takie rzeczy jak dzisiaj, to jakby wszystko, całe życie się dla mnie zamykało.

- Porównujesz mnie z Klausem?

Przerażona spojrzała na wysokiego, silnego chłopca o czarnych włosach i wystających kościach policzkowych, jakim był Are. To dzięki jego powadze i temu, że mocno stał na ziemi czuła się przy nim bezpieczna, uważała, że może na nim polegać i dlatego trwała przy nim wiernie.

- Nie! Och nie, nie robię tego! Ostrożnie przyciągnął ją do siebie i pocałował w czoło. Nic więcej. Ale był dumny, że zdobył się aż na tyle. Meta drżała, ale nie usunęła się.

- Pomyśl o tym - szepnął. Ze wzruszenia głos odmawiał mu posłuszeństwa. - I przynajmniej wróc ze mną do domu! Matka już oczywiście unieszkodliwiła Klause, tak że nie masz się czego obawiać z jego strony.

O tym wszystkim Silje nic nie wiedziała. Ona - i wciąż dziwiąca się Irja - widziały tylko, że Are wjechał na dziedziniec, a przed nim na koniu siedziała promieniejąca szczęściem Meta.

Po drodze do domu odbyli szczerą rozmowę.

- Matko, pobieramy się z Metą! - wołał Are z daleka, jakby chciał zawczasu ubiec wszelkie zastrzeżenia.

Nie było jednak żadnych zastrzeżeń. Silje i Tengel, a także rodzeństwo Arego, wszyscy cieszyli się z ich szczęścia.

A Klaus?

Silje, w kilka dni po tym, jak próbowała połączyć go z Rosą dostrzegła, że oboje przemykają się ukradkiem do stodoły. Uśmiechnęła się do siebie. Rosa będzie na pewno w stanie obejrzeć dumę Klause.

- Czy oni mają zamiar młócić o tej porze roku? - zapytała zdumiona Irja.

- Można to i tak nazwać - uśmiechnęła się Silje.

Tengel i Charlotta dali Klausowi małe gospodarstwo, które od jakiegoś czasu leżało odłogiem. A on

zdołał uczynić Rosę stateczną mężatką na tyle wcześniej, by nie doszło do 13

skandalu. Nim Rosa osiągnęła granicę płodności, urodziło im się dwoje dzieci, którym wprawdzie nie było pisane dokonanie wielkich odkryć, ale które bystrością umysłu znacznie przewyższały i matkę, i ojca.

Meta nie była gorsza. W krótkim czasie wydała na świat, jednego po drugim, trzech chłopców. Nie była też taka oziębła, jeśli chodziło o Arego, o nie.

Mała Irja kochała mieszkańców Lipowej Alei. Wszystkich, bez wyjątku. Ale, rzecz jasna, najbardziej panią Silje.

Własnych rodziców nie mogła jednak zrozumieć. W dalszym ciągu mieszkała w rodzinnym domu i każdego dnia matka pytała niespokojnie:

- Nie idziesz dzisiaj do Lipowej Alei?

Gdy zaś Irja odpowiadała, że nie, bo to Sunniva pomaga dzisiaj pani Silje, matka robiła się zła i wykrzykiwała dlaczego to rozpieszczone dziecko, ta Sunniva, musi się tak do wszystkiego mieszać.

Poza tym Irja zawsze była za słaba, żeby nosić mniejsze rodzeństwo. Teraz, gdy stała się dużo zdrowsza i silniejsza niż dawniej, ofiarowywała swą pomoc, ale rodzice nawet słuchać o tym nie chcieli.

- Nie wolno ci dźwigać nic ciężkiego, bo byś mogła sobie kręgosłup uszkodzić - tłumaczyli troskliwie, ale upominali przy tym zawsze, by się dobrze opiekowała trzema synkami Mety i Arego.

Tego właśnie Irja nie rozumiała. Nie pojmowała bowiem, że jest ich najcenniejszym źródłem dochodu. Wszystko, co otrzymywała w Lipowej Alei, a czasami także w Grastensholm, przynosiła do domu, bo dla niej nie miało to znaczenia. Dlatego jej rodzice tak się bali, by sobie czegoś nie zrobiła. Utraciliby wtedy wszystko, co przynosiła. Jedzenie, ubrania, a przede wszystkim pieniądze, które dostawała od Silje.

Dla niej samej najważniejsze było to, że mogła przebywać w Lipowej Alei. Stopniowo zanikało jej duchowe ubóstwo, brak pewności siebie i niedożywienie, które wyniosła z rodzicielskiego domu. Irja wprost połykała wiedzę i wszystkie umiejętności, jakie mogła przejąć od Silje, Tengela i Mety. Rozkoszowała się też wiernością trojga swoich małych przyjaciół.

Rozwijała się i dojrzewała. Była jednak tak cicha i niewidoczna, że długo nikt tego nie zauważał.

14

ROZDZIAŁ II

Aleją w kierunku dworu szła młoda dziewczyna. Poruszała się bez wdzięku, bowiem niedożywienie w latach wczesnego dzieciństwa sprawiło, że kości miała pokrzywione i zdeformowane. Teraz zaś osiągnęła wiek, w którym była już w pełni świadoma tego smutnego faktu. Zwłaszcza nogi miała

krzywe i choć nosiła długą spódnicę, w żaden sposób nie dało się tego ukryć. Często zdarzało się, że ludzie odwiedzający jej dom rodzinny śmiali się, jak można mieć takie krzywe nogi! A ona nie potrafiła odpowiedzieć ostro ani zuchwale, bo nie leżało to w jej naturze.

Twarz jednak Irja miała zawsze niezwykle pogodną i życzliwą, a oczy promieniały przyjaźnią dla wszystkich. Dziewczyna była niewiarygodnie wytrzymała i nigdy nie mówiła nie, gdy się ją o coś prosiło. Nie miało więc znaczenia, że ciało było niezgrabne i mało urodziwe, a rysy twarzy nie należały do najpiękniejszych.

Irja kończyła właśnie dziewiętnaście lat. Oset stawał się kobietą.

Tego dnia, pod koniec sierpnia, Irja była szczęśliwa. Będą obchodzić urodziny - Tarald, Sunniva i ona. To Silje zdecydowała, żeby wszystkie urodziny połączyć i zorganizować jedno wielkie przyjęcie, na które przyjdzie cała młodzież. Sunniva, jak zawsze czarująca i wrażliwa, była jak elf i Irja wielbiła ją bezgranicznie. Nieraz w swojej samotnej rozpaczycy pragnęła być równie krucha i eterycznie piękna jak ona. Nie wiedziała, że rozkwitłe osty także mają piękne kwiaty.

Dziś miała spotkać także Cecylię. Tę śmiałą i radosną Cecylię Meiden, która posiadała cały humor świata i całą jego pewność siebie. Jakież ona miewała repliki! Na samą myśl o tym Irja musiała się uśmiechnąć.

Delikatna Cecylia była o rok młodsza od całej trójki, z tego powodu czuła się źle traktowana i często głośno krzyczała, że dzieje się niesprawiedliwość. Nikt jednak nie potrafił lepiej niż ona bronić swoich praw. Cecylia była osobą bardzo silną psychicznie.

Irja zarumieniła się bezwiednie, gdy pomyślała, że na urodzinach będzie też Tarald. Nie miała odwagi wyrazić tej myśli słowami.

Dopiero dwa miesiące temu uświadomiła sobie, że zakochała się w młodym dziedzicu z Grastensholm. Ale nigdy, nigdy w życiu nikt się o tym nie dowie. Bo czymże była Irja?

Brzydką, niezdarną, nic nie znaczącą istotą z nędznego gospodarstwa. Dobrze wiedziała, że ludzie mówią o niej oset.

Liczyła się z tym, że nigdy nie wyjdzie za mąż. Matka i ojciec przygotowywali ją na to i ona sama taką sytuację akceptowała. Czy w takim razie Bóg nie był bezlitosny, obdarzając ją sercem, które nie chciało podporządkować się okrutnej prawdzie?

15

Doszła właśnie do końca drogi. Przypomniała się jej legenda o pierwszych ośmiu drzewach tej alei. Opowiadano mianowicie, że każde z nich jest poświęcone jednemu z mieszkańców obu dworów i że drzewa umierają po śmierci tych, z którymi są związane. Dwa drzewa już uschły i zostały zastąpione innymi. Jedno należało do starej baronowej - wdowy, której Irja nigdy nie widziała, a drugie do Sol, pięknej matki Sunnivy. Obie zmarły dość dawno temu i teraz na miejscu starych drzew zdążyły już wyrosnąć nowe.

Jedna ze starych lip wygląda jakoś nieszczególnie, spostrzegła Irja, ale myślami była gdzie indziej.

Sam asesor, Dag Meiden, miał tutaj swoje drzewo i jego wspomniała, miła żona Liv także. To oni byli rodzicami Taralda i Cecylii.

Weszła na dworski dziedziniec. Czy ładnie wygląda? Nikt by naturalnie nie powiedział, że jej niezgrabne ciało jest ładne, ale zrobiła wszystko, co w jej sytuacji było możliwe. Bluzka o bufiastych rękawach, świeżo uprana, wysuszona na słońcu i wietrze, pachniała przyjemnie.

Czarną spódnicę Irja wyszczotkowała starannie i oczyściła z kociej sierści i kłaczków owczej wełny, których nigdy nie brakowało w domu w Eikeby.

Silje siedziała przy oknie i wyglądała na podwórze, gdzie bawili się trzej synowie Arego.

Jakże oni się między sobą różnią. Średni z chłopców, Trond, wdrapał się właśnie na duży kamień na środku podwórza. Był bardzo ożywiony i zwycięsko machał rękami do braci. Silje nie wątpiła, że Trond zajmie kiedyś wpływowe stanowisko; miał wyraźne ambicje przywódcze.

Brand, najmłodszy, rosły i trochę ociężały w ruchach, pod wieloma względami przypominał swojego ojca. On także próbował wdrapać się na kamień, ale wciąż zsuwał się na ziemię. Najstarszy, któremu na chrzcie dano imię Torgeir, ale którego wszyscy nazywali Tarjei, nie włączał się do zawodów swoich młodszych braci. Miał niezwykle bystry umysł i teraz właśnie był zajęty rozwiązywaniem jednej z tajemnic tego świata.

Silje rozmarzyła się, Tarjei... Ukochane dziecko Tengela. Pamiętała czas dorastania tego chłopca. Jaki cudowny spokój ogarnął wtedy Tengela. Skończył się długi, bardzo długi okres oczekiwania.

Z zamyślenia wyrwała ją Meta, która wybiegła, krzycząc na chłopców, że włożą na ten brudny głaz. Przecież idą na przyjęcie urodzinowe! Jak będą wyglądać świąteczne ubrania?

Czy ona musi wstydzić się przed rodziną Meidenów?

- Jazda do domu, smarkacze!

Silje uśmiechała się. Wróciła myślami do tamtej chwili, kiedy Meta została gospodynią, jej następczynią w Lipowej Alei. To już chyba trzynaście, albo czternaście lat temu. Tak, Tarjei urodził się zaraz po Bożym Narodzeniu tego samego roku, a teraz skończy niebawem 16

trzynaście. Jakie to zabawne, że upływający czas mierzy się wiekiem dzieci. To bardzo dobre wsparcie dla pamięci.

Płynie stąd jednak i napomnienie, że samemu jest się też o tyle starszym. Dzieci uświadamiają nam, jak szybko mijają lata. Silje otrząsnęła się z tych myśli.

Teraz, i już od dawna, Meta jest gospodynią w tym domu. Tengel i Silje dobrowolnie usunęli się na bok. Wciąż czynny Are rozbudował dom dla swojej coraz liczniejszej rodziny. Tengel i Silje

mieszkali nadal w starej części, która kiedyś wydawała się im ogromna, ale w porównaniu z tym, co zbudował Are, zrobiła się nieduża. Silje kochała jednak starą część domu i miała wrażenie, że cała rodzina żywi te same uczucia, bo wszyscy przychodzili tu więcej niż chętnie.

Historia się powtarza, myślała. Ona sama, podobnie jak Meta, przyjechała do Lipowej Alei opuszczona, wynędzniała i zaszczuta. Zajmowała wtedy tak niską pozycję społeczną, że niżej już chyba nie można było zejść. Chociaż nie, Meta przeżyła jeszcze gorsze poniżenie.

Ona przybyła tutaj z absolutnego dna nędzy.

Stała się jednak znakomitą panią domu, to Silje musiała przyznać. Meta była zdolna i tak energiczna, że niekiedy aż dech zapierało, gdy się na nią patrzyło. Wciąż bardzo się starała robić wszystko, czego się od niej oczekuje.

Silje westchnęła zadowolona.

Miała teraz sześcioro wnucząt. Tak, bo Sunnivę uważała także za swoją wnuczkę, choć w rzeczywistości nie była nawet jej krewną. Niestety, nie mogła sama zająć się tym dzieckiem, więc Liv i Dag wychowywali swoją małą, przymilną kuzyneczkę. Teraz Sunniva była dorosła i często nocowała w Lipowej Alei, bowiem nadal od czasu do czasu pomagała Silje w pracowni.

Policzyła na palcach: Sunniva, córka Sol. Tarald i Cecylia, udane dzieci Liv i Daga. Tarald może na razie pozostawał jakiś bezbarwny, nie miał jeszcze wyraźnie określonego charakteru, ale to pewnie przyjdzie z wiekiem i doświadczeniem. No i wreszcie trzech chłopcy Arego: Tarjei, Trond i Brand.

Wspaniałe wnuki, jedno w drugie!

Na dziedzińcu ukazała się Irja. Silje ucieszyła się bardzo, lecz mimo woli pomyślała: biedne, opuszczone dziecko. Czy nie ma nikogo, kto by ją chociaż lepiej uczesał? Ubranie też staroświeckie, zupełnie nie pasuje do tej niekształtnej sylwetki. Matka Eikeby zupełnie nie przejmowała się wyglądem córki.

Irja spotkała się właśnie z Sunnivą. Co za różnica! Przy drobnej, zgrabnej Sunnive Irja wyglądała jak ciężka, kiwająca się góra.

Silje przeciągnęła się i wyprostowała swoje bolące kolano. Ostatnio bardzo jej dokuczało.

17

- To tylko reumatyzm - kwitował skargi żony Tengel. - Nie ma się czym martwić.

A ona miała nadzieję, że mąż się nie myli.

Ktoś wszedł do pokoju. Silje nie musiała się wcale odwracać, by wiedzieć, że to Tengel, ale się jednak odwróciła, bo lubiła patrzeć na swego męża.

Włosy i brodę przyprószyła mu siwizna, lecz postawę zachował młodzieńczą. Miał

siedemdziesiąt dwa lata, ale przyjmował swój wiek z godnością.

Ręka, którą położył na jej ramieniu, była koścista i po długim, pracowitym życiu pokryta niebieskimi żyłami. Silje wiedziała, choć nie miała prawa o tym wspomnieć, że Tengel jest zmęczony. Bardzo zmęczony. On sam jednak nie przyjmował tego do wiadomości. Jeszcze od czasu do czasu leczył chorych, chociaż prosił, by już nie przychodzili. Większość respektowała tę prośbę, lecz ciężko chorzy nadal szukali u niego ratunku w ostatecznej potrzebie, gdy wszystko inne zawiodło.

Tengel także śledził wzrokiem bawiących się chłopców, którzy znowu wyszli na dziedziniec.

- Kiedy zaczyna się przyjęcie?

- Nie wcześniej niż za godzinę. Zdążą się jeszcze do tego czasu porządnie wybrudzić.

Tengel uśmiechnął się.

- Skoro tak, to poproszę, żeby Tarjei jeszcze tu przyszedł.

Silje skinęła głową. Wiedziała ile dla męża znaczy ten niebywale inteligentny chłopiec.

Tengel kochał wszystkie swoje wnuki, całą szóstkę, ale Tarjei zajmował w jego sercu specjalne miejsce. Był tym dzieckiem, którego dziadek wyczekiwał z nadzieją przez długie, pełne lęku lata, w ciągu dwóch pokoleń. Był jego światłem i radością.

Zgodnie z życzeniem dziadka Tarjei wszedł do pokoju, który pełnił rolę czegoś w rodzaju izby chorych.

Tarjei był niezwykłym chłopcem. Po Tengelu i Arem odziedziczył nieco wystające kości policzkowe i ciemne włosy, lecz w skośnych oczach pojawiał się często jakiś odmienny błysk. Are nigdy nie miał większych uzdolnień, jeśli chodzi o teoretyczne podejście do spraw życia, zaś umysł tego trzynastolatka przejął, co najlepsze z bystrej inteligencji Tengela, Silje i Liv. Od Mety przejął w tym zakresie niewiele, była osobą zręczną i bardzo miłą, lecz nic poza tym. Mała, pracowita mrówka, której robota pali się w rękach, ale pozbawiona jakichkolwiek ambicji. Wspaniały umysł syna często budził w niej przerażenie.

Jeszcze bardziej istotne było to, że chłopiec odziedziczył niezłomną wolę Tengela, by czynić w życiu dobro.

18

- Tarjei - zaczął Tengel. - Słyszałeś legendę o Ludziach Lodu, prawda? O Tengelu Złym, który czterysta lat temu zawarł pakt z Diabłem i który zostawił swoim potomnym straszny krzyż do dźwigania... lecz także umiejętności wykraczające poza zwykłą ludzką wiedzę.

Chłopiec przytaknął spokojnie. Nie sprawiał wrażenia, że - podobnie jak inne dzieci - myśli tylko o tym, by jak najszybciej wyjść i wrócić do zabawy. On naprawdę dziadka słuchał.

- Tak, nasz pradziad przekazał nam w spadku wiele zła - powtórzył Tengel. - Lecz i co nieco dobrego, a naszym obowiązkiem jest strzec tego dziedzictwa. Tutaj, Tarjei masz mój zbiór leczniczych ziół i potrzebnych do leczenia środków. A tutaj jest zbiór Sol, najważniejszy ze wszystkiego, co mamy. Sol odziedziczyła to po Hannie, jednej z tych, co przenoszą nasze dziedzictwo wiedzy. Właściwie miałem powiedzieć ci o tym wszystkim w dniu twoich urodzin, za cztery miesiące, ale myślę, że możemy zacząć już teraz. Musisz się nauczyć tak nieskończenie dużo, a nikt przecież nie wie, jak długi czas został nam dany. Ja sam mam jeszcze siłę i zdrowie, ale, jak wiesz, nie jestem już młody. Od dziś zatem będziesz się u mnie uczył. I twoim obowiązkiem będzie przekazać to wszystko dalej. Nie należysz, Bogu dzięki, do tych nieszczęsnych istot obciążonych dziedzictwem zła po pierwszym Tengelu.

Jesteś jedynym moim potomkiem, który może zarządzać rodowym spadkiem. Otrzymałeś bowiem coś z tego, co tak trudno określić...

- Rozumiem dziadku. Jestem gotów podjąć naukę.

- Dobrze! Wiem, że jesteś zbyt mądry na to, by nadużywać władzy, jaką poprzez to uzyskasz. Wielu z naszych przodków, którzy posiadli tę władzę, wykorzystywało ją do niecznych celów, bowiem otrzymywali oni w spadku także złą wolę. Podobnie jak Tengel Zły uważali, że wszystko należy wykorzystać w służbie Szatana. Ty nie jesteś obciążony pragnieniem zła. A gdy dojdiesz do wieku, jaki ja osiągnąłem teraz, znajdziesz kolejnego następcę z rodu Ludzi Lodu i jemu wszystko przekażesz. Musisz jednak bardzo uważać, kogo wybierasz. Wiesz, jak bardzo niebezpieczne są to sprawy.

- Będę ostrożny, dziadku.

- Kim chciałbyś zostać, Tarjei?

- Chciałbym studiować, uczyć się wielu rzeczy!

- Dobrze. Będzie, jak pragniesz.

- Najbardziej chciałbym pójść na naukę do wielkich uczonych, takich jak Tyge Brahe, tylko, że on już nie żyje, albo Kepler czy Johannes Rudbeckius. Wiem jednak, że to trudne.

- Zrobimy dla ciebie wszystko co można, mój chłopcze. Ale zaraz chyba przyjdą goście.

Jutro wrócimy do naszej rozmowy.

19

- Dziadku... - Tarjei odwrócił się jeszcze w drzwiach. Jego brązowo-szare oczy błyszczały. -

Chociaż to jeszcze nie moje urodziny, ale myślę, że to najpiękniejszy prezent urodzinowy, jaki mógłbym dostać.

Tengel, szczęśliwy, uśmiechnął się do niego szeroko.

- Cieszę się na naszą rozmowę jutro.

- Ja także, dziadku. Ja także!

Na urodzinowe przyjęcie przyszli wszyscy z Grastensholm. Irję ogarnęła gorąca fala szczęścia, gdy zobaczyła młodego, ciemnowłosego Taralda idącego w towarzystwie siostry.

Cecylia miała włosy rude, podobnie jak jej matka, Liv, ale nieco ciemniejsze. Nie była może olśniewająco piękna, posiadała jednak radość życia i jakiś nieodparty wdzięk. Figurę miała szczupłą i zgrabną, bardzo też dbała by ubierać się według najnowszej mody. Jej cięty język sprawiał, że nikt nie ważył się wszczynać z nią sprzeczki i łamała serca wszystkim chłopcom, bez wyjątku. Krótko mówiąc, przypominała Sol w każdym calu, tyle tylko, że nie czały się za nią żadne mroczne cienie.

Wielu spośród starszych członków rodziny odczuwało na widok Cecylii ukłucie w sercu i tęsknotę. Sol bowiem nadal żyła w ich pamięci i miała tam pozostać na zawsze.

Liv i Dag przyszli, rzecz jasna, także. On pełen godności, jak przystało na asesora, z przerzedzonym już włosom, ale wciąż młodzieńczy. Liv dojrzewiała w miarę, jak przybywało jej obowiązków. Teraz ona była najważniejszą osobą w Grastensholm, wokół niej koncentrowały się wszystkie sprawy, bowiem Dag, ze względu na urzędowe zajęcia, często bywał poza domem. Oboje zbliżali się do czterdziestki.

Razem z nimi przyszła Charlotta, podtrzymywana przez męża Jacoba Skille. Charlotta skurczyła się jakoś ostatnio i zestarzała, ale w oczach wciąż miała ten swój dobrotliwy blask i uważała, że jest bardzo szczęśliwa z Jacobem. On ze swej strony zadomowił się na dobre w Grastensholm i to właściwie on kierował całym gospodarstwem. Choć dobrze wiedział, że Dag, jego pasierb, odziedziczy wszystko, był zadowolony, siedząc przy kominku w towarzystwie Charlotty i grając z nią w karty. I tak do końca życia miał pozostać „panem na zamku”, a to przewyższało wszystko, o czym mógł marzyć jako ubogi dragon.

Przy stole, w dużej sali domu w Lipowej Alei zebrała się liczna i szczęśliwa rodzina.

Był rok 1620. W Czechach zaczynała już pobrzmiwać wojenna nawałnica, a walki między katolikami i protestantami rozgorzały na dobre. Ta wojna miała w przyszłości sięgnąć swoimi długimi, groźnymi mackami aż do małej Norwegii, ba, jej cień miał paść nawet na parafię Grastensholm. Na razie jednak nic takiego nie przychodziło Silje do głowy, gdy spoglądała na swoją wspaniałą rodzinę.

Och, mamy za sobą piękne lata, myślała siedząc na honorowym miejscu przy stole.

Cudowne lata! Czy ktoś jeszcze mógł być taki szczęśliwy jak ja?

20

Irja nie była nawet w połowie tak zadowolona. Żeby nie wiem jak się starała, nie udawało jej się zwrócić na siebie uwagi Taralda. Było aż nadto oczywiste, kto go tak naprawdę interesuje.

Uroczą Sunniva siedziała ze spuszczoneymi oczami, nie mając odwagi nawet spojrzeć na swego kuzyna Taralda. Irja jednak, szczególnie wrażliwa ze względu na swoje uczucie, bez najmniejszego trudu rozumiała napięcie między nimi dwojgiem. I serce jej krwawiło nieprzerwanie.

Ale czego innego mogła się spodziewać? Żeby to tylko tak nie bolało!

Właściwie było to bardzo udane przyjęcie urodzinowe. Błyskotliwa Cecylia i genialny Tarjei prześcigali się w replikach. Tych dwoje rozumie się bez reszty, myślała Irja. Trond był

pyskaty i wtrącał się bez przerwy, ale nie dorastał do ich poziomu, a czworo z najstarszej generacji pochłoniętych było rozmową, której szczegółów Irja nie mogła dosłyszeć. Brand, przyciężkawy i powolny, zjadał ogromne ilości ciastek aż w końcu Meta musiała to przerwać pospiesznym klapssem po palcach chłopca. Trójka rówieśników - Dag, Liv i Are roztrząsała jakiś zatarg graniczny w sąsiedztwie.

Irja czuła się tu zbędna, mimo iż wszyscy traktowali ją jak członka rodziny i mimo że obchodzono także jej urodziny. Źródłem tego uczucia osamotnienia był uporczywy ból jej głupiego serca. Serca, które nie chciało zdobyć się na rozsądek i zaakceptować nieuchronnej porażki. Uważała, że niedostatki jej urody musiały wszystkich kląć w oczy - te garbate plecy, talia, której nie ma, kościste ręce... które na dodatek lepily się od potu. Teraz na pewno miała też czerwony nos, jak zawsze, kiedy znalazła się w większym towarzystwie.

Czerwony nos, czerwona szyja... i ciemne, bynajmniej nie dodające urody, plamy na policzkach. Jak kwiaty ostu, pomyślała gniewnie.

Mimo wszystko nie odczuwała zazdrości wobec kruchej Sunnivy. Ta mała była taka bezradna, że budziła u wszystkich tylko najlepsze uczucia, zwłaszcza u Irji, obdarzonej gorącym sercem. To straszne zostać sierotą już w niemowlęctwie, i w dodatku w takich okolicznościach! Irja słyszała oczywiście, co szeptano w domu, w Eikeby, ale całej prawdy nigdy się nie dowiedziała. Być może dlatego, że nikt we wsi dobrze nie wiedział, co się tak naprawdę wydarzyło.

W pewnym momencie Tengel zaczął mówić głośniejszym głosem i szmer głosów umilkł.

- Skorośmy się tu wszyscy zebrali, chciałbym wraz z wami rozważyć pewną sprawę. Coś, o czym myślę od dawna. Potrzeba nam mianowicie prawdziwego rodowego nazwiska.

- Tak, ja także o tym myślałem - poparł go Are. - Ja sam nazywam się tylko Tengelsson, czyli syn Tengela, a to trudno przekazać własnym synom. Oni musieliby się nazywać Tarjei, syn Arego, Trond czy Brand, syn Arego...

Tengel skinął głową

- Wszyscy, oczywiście, zdajecie sobie sprawę, że dzielimy się teraz na dwa rody. Dag i Liv oraz ich dzieci, Tarald i Cecylia, noszą znakomite nazwisko Meiden. Lecz my, reszta? Ja sam nazywam się Tengel z Ludzi Lodu, ale to nazwa rodu, która nigdy nie powinna być używana poza rodziną... Czy nie

zanudziłiśmy cię jeszcze na śmierć, Irjo?

Irja zaprzeczyła, potrząsając energicznie głową, pełna wdzięczności za okazane jej zainteresowanie, a zarazem nieprzyjemnie poruszona, bo nagle znalazła się w centrum uwagi.

- Nigdy nie będę wspominać o Ludziach Lodu.

- Dobrze. Jak wiecie, większość ludzi przyjmuje nazwiska po prostu od nazw swoich majątków i zagrod. Tak, jak ty, Irjo. Ty nazywasz się przecież Irja, córka Mattiasa Eikeby, prawda?

- Tak.

- Ale my nie możemy nazywać się Lipowa Aleja, to byłoby tak... tak... no, to nie brzmi jak nazwisko i nikt w parafii tak nas nie nazywa. Zastanawiałem się nad tym, ale niczego nie wymyśliłem. Dlatego chciałbym poznać wasze zdanie.

Po chwili milczenia propozycje posypały się jak grad. Niektórzy bardzo szybko stracili koncept, lecz Tarjei i Cecylia nie mogli się, rzecz jasna, powstrzymać od żartów, wkrótce więc zgłaszano coraz bardziej szalone pomysły.

- Ja myślę, że Lindane, to brzmi dobrze. [Od lind, po norwesku „lipa”. Lipowa Aleja w oryginale nosi nazwę Linde-alleen. Tak samo Isane, od norweskiego is - „lód”. Ludzie Lodu to po norwesku isfolket (przyp. tłum.)]

- A dlaczego by nie Isane? - wtrąciła Silje. - Wtedy zachowałby się też jakiś element z nazwy Ludzie Lodu.

- A dlaczego by nie Islindane? - zaproponowała przekornie Cecylia?

Potok mniej lub bardziej poważnych propozycji płynął niepowstrzymanie ze strony, gdzie siedzieli Trond, Tarjei i Cecylia. Lodowa Aleja, Lipowy Lód, Lód w lipowych liściach, Lód w zębach itd.

- Nie, ja już wiem - rzekła w końcu Cecylia. Trzeba wziąć pod uwagę także to, jak nazywają nas ludzie. Powinniśmy się nazywać: „Dwór - gdzie - mieszka - ten - cudowny - doktor”.

- „I - jego - zuchwałę - potomstwo” - dodał Tarjei.

- Nie, no przestańcie - protestował Tengel ze śmiechem.

22

Irja, choć przyzwyczajona do tej rodziny, patrzyła oniemiała. Młodzi przekrzykują się i żartują w obecności starszych, a Tengel się tylko z tego śmieje! Gdyby coś takiego zdarzyło się u nich w domu, na Eikeby! To prawda, że byli tylko zwyczajną chłopską rodziną, biada temu, kto by otworzył usta przy stole, albo, gorsza, wtrącał się do rozmowy starszych! Wiedziała, w innych chłopskich domach w okolicy panowały takie same obyczaje. Razy, kopniaki i niewzruszona bojaźń Boża.

I nie się tam nigdy nie zmieni. Irja mogła tylko zazdrościć tej niezwyklej rodzinie. Nawet dostojna baronowa Charlotta świetnie się czuła w tej swobodnej atmosferze przy stole.

Zresztą już samo to, że świętowano urodziny, było czymś zgoła niezwykłym. U niej w domu obchodzono tylko uroczystości kościelne, jak Boże Narodzenie, Wielkanoc, Zielone Świątki, świętego Michała i inne. A i to w poważnej atmosferze, z modlitwą, chodzeniem do kościoła.

Wreszcie Tarald zaproponował proste nazwisko: Lind.

Zdania pozostałych były podzielone, właśnie między Lind a Lindane.

- Lind z rodu Ludzi Lodu - powiedziała Charlotta. - To brzmi naprawdę po szlachecku.

- Poczekamy jeszcze z ostateczną decyzją - oświadczył Tengel. - Nazwisko to będą nosić Are i Meta oraz ich trzech synowie - Tarjei, Trond i Brand. Także Sunniva, dopóki nie wyjdzie za mąż. To głównie ze względu na ciebie, Sunnivo, chciałbym dać rodzinie nazwisko, bo ty nie masz zgoła żadnego. Sunniva, córka Sol, ale przecież nie jest rzeczą zwykłą posługiwać się imieniem matki.

Dziewczyna spuściła wzrok i wpatrywała się w stół z nieśmiałym, jakby przepraszającym uśmiechem.

- Sol zresztą także nie miała nazwiska. - Nazywała się po prostu Sol Angelika z Ludzi Lodu.

- Ale ojca miała!

- Tak, tylko ja nigdy nie znałem jego nazwiska. No a teraz, jeśli wszyscy się najedli, możemy wstać od stołu.

Później, wieczorem, Silje rozbierała się w swoim pokoju.

- Jakże to było miłe przyjęcie - westchnęła. - Chyba wszyscy są zadowoleni, nie sądzisz?

- Myślę, że tak - bąknął Tengel, który siedział na krawędzi łóżka i obmywał nogi zmoczonym końcem ręcznika. Silje udawała, że tego nie widzi. Nie nauczysz starego psa służyć.

- Jakaż to musi być radość dla Irji, że mogła też w tym uczestniczyć - ciągnęła Silje z przejęciem. - I że obchodzono także jej urodziny. Tak się cieszyła z tych drobnych prezentów. Ale zdaje mi się, że była dzisiaj jakaś roztargniona.

23

- Hm - bąknął Tengel, słuchając tego wszystkiego jednym uchem.

- Wiesz, co myślę, Tengelu?

- Nie.

- Myślę, że Tarald i Sunniva mają się ku sobie.

Tengel puścił stopę, aż pacnęła głucho o podłogę.

- Nie wolno do tego dopuścić! - powiedział ostro.

Silje znieruchomiała ze spódnicą na wpół przeciągniętą przez głowę.

- Dlaczego nie? - zapytała przyglądając się mu spod spódnicy. - Uważam, że to romantyczne. Oboje tacy urodziwi!

- Czy nie rozumiesz czym to grozi? Oni oboje mają w sobie krew Ludzi Lodu.

Silje uporała się w końcu z ubraniem, przykucnęła w rogu łóżka, a potem wślizgnęła pod kołdrę.

- Owszem, ale Tengelu, zastanów się! Myślę, że to dziedzictwo zła zaczyna wygasać. Ty i Sol byliście ostatnimi, a i tak więcej w was dobra niż zła. Zobaczysz, że powoli zło zaniknie.

- Nie, Silje, nie wolno nam tego lekceważyć. Tarald jest moim wnukiem, a ja zostałem obciążony tym nieszczęsnym dziedzictwem. Sunniva jest córką Sol i wnuczką mojej siostry!

Nie można do tego dopuścić! To śmiertelnie niebezpieczne połączenie!

- No dobrze - powiedziała Silje bardziej pojednawczo i wyciągnęła rękę na poduszce tak, by Tengel mógł oprzeć na niej głowę. - Ale na mały flirt można im chyba pozwolić? Nikt nie mówi, że mają się od razu pobrać i płodzić dzieci.

- A jak ich przed tym powstrzymasz, jeśli się w sobie zakochają? Może powinniśmy jedno dokądś wysłać?

- W żadnym razie nie może to być Sunniva. Ona nie da sobie rady sama poza domem.

- A ja nie wierzę, żeby Liv albo Charlotta puściły gdzieś Taralda. Jest na to jeszcze za mało dojrzały i ma za słaby charakter. Pozostaje nam więc tylko czekać i patrzeć, co z tego wyniknie.

Silje nie ustępowała:

24

- Chyba jednak się mylisz. Dziedzictwo zła wygasa. Spójrz na nas. Mamy dwoje dzieci i oboje są normalni aż do obrzydliwości. Sol także urodziła normalną córkę. Mamy sześcioro wnuków, jeśli liczyć także Sunnivę. I żadne z nich nie zostało tym dotknięte.

- No... - westchnął Tengel. - Nie byłbym tego taki pewny.

Silje uniosła się na łóżku.

- Co masz na myśli?

- Nie wiem, Silje. Ale ja coś widziałem. Coś, co wzbudziło mój niepokój. Żółty, koci błysk w oczach, i to kilkakrotnie...

- Co ty mówisz? U kogo?

- Nie, tego ci nie powiem. To nic pewnego. Ale to może któregoś dnia wybuchnąć. Chociaż może się też cofnąć.

Silje opadła z powrotem na poduszki i spoglądała w górę. Spostrzegła, że sufit wymaga naprawy. Na kilku belkach w rogu widniały plamy wilgoci.

Które? Które z sześciorga? Żółty błysk w oku...

Nie, nie była w stanie odgadnąć, które z nich mogłoby to być.

Sunniva? Taka skromna, cicha i smutna? Jak myszka trzyma się zawsze na uboczu, mimo urody, czyniącej ją podobną do kwiatu.

Tarald? Piękny jak młody bóg, jeszcze niepewny i chwiejny w swoich zachowaniach, odziedziczył ostre rysy Meidenów i ciemne oczy Ludzi Lodu. Nie ma jeszcze jasnych planów co do swej przyszłości. Najchętniej zostałby dziedzicem majątku i niczym więcej; wciąż przygotowuje się do tej roli pod kierunkiem Jacoba Skille i Arego, z którym współpracuje mu się znakomicie.

Tak, prowadzenie majątku byłoby bez wątpienia dla niego najlepszym wyjściem, myślała Silje, wspominając z niechęcią tamte trudne lata, kiedy wszyscy zajmowali się handlem drewnem w Oslo. Dag i Liv sprzedali w końcu przedsiębiorstwo, zanadto było to wszystko kłopotliwe, a Tarald nie przejawiał żadnego zainteresowania ani zdolności do takiej pracy.

Dag miał swoje zajęcia jako asesor, Aremu dość kłopotów dostarczało gospodarstwo w Lipowej Alei, a Liv wychowywała dzieci. Poza tym nikt z nich nie czuł się kupcem i wszystkie te podatki, koszty i dziesięciny, które należały się koronie, doprowadzały ich do rozpacz.

Gdy więc nareszcie pozbyli się tego „całego bałaganu”, jak to nazwała Cecylia, wszyscy odetchnęli z ulgą. Z drugiej jednak strony zarobili na tej działalności, widocznie więc radzili sobie nieźle. Nie, no teraz zgubiła wątek.

25

Co to ona chciała...? A, Tarald... Nie, to wykluczone, żeby on. Jest po prostu za mało dynamiczny.

Cecylia wprawdzie jest dynamiczna, ale jeszcze trudniej, jeśli w ogóle możliwe, przypuszczać, żeby to mogła być ona. Oczywiście potrafi być złośliwa, ale zwykle sprowadza się to do zonglerki słownej i do ironii, bez żadnego głębszego znaczenia. Cecylia nigdy nikogo świadomie nie raniła. I dlaczego miałyby akurat ona, taka uzdolniona we wszystkich innych dziedzinach, posługiwać się czarną magią? Nie, Silje nigdy nie zauważyła w niej tego rodzaju skłonności.

W takim razie pozostawali jedynie trzej chłopcy z Lipowej Alei, ale sama myśl, że mógłby to być któryś z nich wydawała się jej śmieszna. Przecież dopiero co Tengel przeprowadził

niezwykle ważną rozmowę z Tarjejem. Nigdy by do tego nie doszło, gdyby żywił wobec niego jakieś podejrzenia.

Mały Trond, szybkobiegacz, miał dwanaście lat i Silje zawsze używała go do posyłek. Potem dostawał w nagrodę jakiś smakowity kąsek. Jeszcze nie wyrósł z dziecięcych zabaw i nic nie wskazywało, że nastąpi to wkrótce.

Jeszcze trudniej byłoby sobie wyobrazić Branda jako żółtooką, pełną złych pragnień istotę.

Brand opiekował się wszystkimi żywymi stworzeniami potrafił przynieść półżywego trzmiela, żeby Silje przywróciła mu siły. Mógł też godzinami stać za nią, kiedy malowała. Dosyć to krępujące, szczerze mówiąc, ale nie miała serca go przeganiać! Oboje, Brand i Silje, z tą samą troskliwością odnosili się do zwierząt, i to właśnie ten chłopiec był najbliższy jej sercu.

Nie, niech Tengel podejrzewa, kogo chce, ona była jednak pewna, że żadne z jej wnuków nie przyniosło ze sobą na świat tych strasznych, tak bardzo zniechędzonych cech.

Już blisko dwadzieścia lat żyli wolni od tego straszego dziedzictwa które dawniej trzymało ich w pełnym lęku napięciu. Silje wiedziała jednak coś, co Tengel uważał za niedostępną nikomu tajemnicę. Wiedziała mianowicie, że im bardziej się Tengel starzeje, tym trudniej mu opanować pragnienie czynienia zła, które istniało w nim przez całe życie. Dopóki był młody i silny pozwalał, by ujawniało się jedynie dobro - był wspaniałym człowiekiem. Dopiero teraz pojmowała ile go to kosztowało. Czasami widywała wyraz jego twarzy, kiedy był zmęczony, i widok ten ją przerażał, starała się go unikać. Tengel nie chciał nikomu czynić krzywdy, toteż jego walka z każdym rokiem stawała się coraz bardziej zaciekle. Silje domyślała się, że to dlatego jest taki zmęczony.

Przewróciła się na drugi bok.

- Jak tam twoja noga dzisiaj? - zapytał Tengel.

- Nie tak źle, ale kolano boli, jak zawsze.

Tengel położył swoją ciepłą dłoń na jej chorym kolanie. Oczy pociemniały mu z niepokoju, lecz tego Silje nie widziała.

26

- Wciąż masz jeszcze siłę, czuję to - szepnęła z uśmiechem. - O, jak to przyjemnie rozgrzewa!

27

ROZDZIAŁ III

W kilka dni później wydarzyło się coś zupełnie nieoczekiwanego, lecz bardzo radosnego.

Do Grastensholm przybył elegancki powóz, jeden z tych szalenie nowoczesnych, w których kolebka zawieszana jest na skórzanych pasach, tak że podczas jazdy kołysze się łagodnie.

Wokół tego niewiarygodnego ekwipażu stłoczyli się mali chłopcy, dyskutując zaciekle, jak też to funkcjonuje.

Z powozu wysiadł, wspomagany przez lokaja, młody pan, lat około dwudziestu pięciu, a na schodach dworu powitały go Charlotta i Liv.

Czystą duńszczyzną poproszono go, by się przedstawił.

- Nie wiem, czy moje nazwisko jest paniom znane. Jestem Albrekt Strahlenhelm.

- Strahlenhelm? - zawołała Charlotta uradowana. - To przecież w domu Strahlenhelmów w Kopenhadze mieszkał mój syn, Dag!

- No właśnie! Czy można będzie się z nim przywitać?

- O, Liv, biegnij i przyprowadź Daga! Zdaje mi się, że jest w swoim gabinecie. Och, to cudowne! Zaraz wydam polecenie, żeby przygotowano odpowiedni posiłek. Służba wskaże panu pokój, gdzie będzie się pan mógł doprowadzić do porządku po podróży.

- Bardzo dziękuję. Rzeczywiście to była podróż pełna kurzu.

Młody hrabia umył się i przebrał, a tymczasem nadszedł Dag.

- Czy pan mnie pamięta? - zapytał gość, kiedy już się przywitali. - To ja byłem tym małym chłopcem, który zaginął i którego pańska siostra odnalazła w taki niezwykły sposób.

- Oczywiście, że pamiętam - zapewnił Dag. - Jakaż to radość widzieć pana znowu! A jak się mają pańscy rodzice?

- Dziękuję, wspaniale. To właśnie oni prosili, bym państwa odwiedził, gdy będę w Norwegii.

Przybywam tu ze szczególną sprawą.

Kiedy gość już się posilił i napił najlepszego wina z piwnicy, barona, wyjaśnił powody swej wizyty.

- Moi rodzice nie mogą zapomnieć pańskiej siostry. Była najlepszą opiekunką dzieci, jaką kiedykolwiek mieli. Ja sam prawie jej nie pamiętam. Teraz dwór królewski szuka na wszelkie sposoby zdolnej opiekunki dla dzieci króla Christiana, które ma on ze związku z Kirsten Munk. Państwo pewnie wiedzą, że to morganatyczna małżonka króla. Wygląda jednak na to, że bardzo trudno znaleźć kogoś odpowiedniego. Poproszono moich rodziców o radę, a 28

ponieważ ja wybierałem się właśnie do Norwegii, przysłano mnie tutaj, bym zapytał, czy pańska siostra, Sol, nie mogłaby się podjąć tego honorowego obowiązku. Ale ona jest pewnie od dawna zamężna i...

Siedzący przy stole pochylili głowy.

- Niestety - westchnął Dag. - Moja siostra zmarła blisko osiemnaście lat temu.

- Och! Jakże przykro to słyszeć! Mój ojciec bardzo chciał coś dla niej uczynić. W tamtym czasie mógł tak niewiele i to go dręczyło. Ufam, że jej śmierć nie miała nic wspólnego z tymi godnymi pożałowania nieporozumieniami w Kopenhadze, bagatelnyymi w gruncie rzeczy?

- Nie, nic podobnego. Ale to było przeznaczenie. Moja przyrodnia siostra musiała umrzeć młodo, hrabio Strahlenhelm. Ona by nie mogła żyć na tym świecie.

Zapadło milczenie. Wszystkich ogarnęły wspomnienia. Młody Strahlenhelm wyglądał na boleśnie poruszonego tym, co usłyszał.

Charlotta uniosła głowę.

- Tak sobie myślę - rzekła. - Mamy przecież żywą kopię Sol...

- Nie, matko, nie możemy wysłać naszej córki do Kopenhagi - zaprotestował Dag. - Ona jest jeszcze taka młoda.

- Nie możemy? A ty nie pojechałeś w swoim czasie? I Sol, która pojechała sama? Hrabio Strahlenhelm, moja wnuczka Cecylia ma osiemnaście lat i jest żywym obrazem Sol, lecz jest osobą o innej, dużo bardziej zrównoważonej osobowości. Nie sądzę, by dzieci króla Christiana mogły otrzymać lepszą opiekunkę. Ona bardzo lubi małe dzieci i, w przeciwieństwie do Sol, jest zawsze miła.

- Ależ Sol była najmiłą osobą, jaką można sobie wyobrazić! - wykrzyknął zdumiony hrabia.

- Och, miała ona swoje ciemne sprawy - zauważył Dag cierpko.

W tym momencie trzasnęły drzwi wejściowe i w hallu rozległy się głosy.

- Cecylia i Tarald! - zawołała Charlotta. - Chodźcie dzieci i przywitajcie hrabiego Strahlenhelma, który nas odwiedził.

Z hallu dobiegł jasny, dziewczęcy głos.

- Hrabia? Prawdziwy?

- Ależ, Cecyljo! - upomniała Charlotta oburzona.

Gdy młodzi weszli do jadalni, hrabia Strahlenhelm wstał. Na widok zgrabnej sylwetki Cecylii w jego oczach pojawił się błysk podziwu.

- Na Boga! Zdaje mi się, że pamiętam moją nianię, kiedy na panią patrzę, panno Cecylio!

Mimo że byłem wtedy taki mały. Budzi pani we mnie wspomnienie czegoś nieskończenie pięknego i czarującego.

Pochylił się i pocałował Cecylię w rękę. Ona zaś przyjęła jego zainteresowanie z wrodzoną naturalnością i wdziękiem, choć nigdy przedtem nie doświadczyła niczego podobnego.

- Dzieci - rzekła Charlotta uroczyście. - Hrabia Strahlenhelm przybył tutaj, aby zaproponować Sol posadę opiekunki dla dzieci króla Christiana. Ja myślę, że mogłabyś być nią ty, Cecylio, ale twoi rodzice protestują.

- Prawdę mówiąc, ja także - wtrącił Tarald. - Przecież ona ma dopiero osiemnaście lat.

- Niedługo dziewiętnaście - sprostowała Cecylia pospiesznie, choć brakowało do tego jeszcze wielu miesięcy. - I jestem jak na swój wiek dojrzała.

- Ach tak? - Tarald spojrzał na nią wymownie.

- A może... - zastanawiała się Charlotta - może Sunniva? No właśnie, dlaczegoż by nie ona?

- Nie - krzyknął Tarald zdecydowanie. - Sunniva nie.

- Dlaczego? - dopytywała się niedomyślna Charlotta.

Cecylia, widząc, że jej ekscytująca zagraniczna podróż mogłaby być zagrożona, oświadczyła pospiesznie:

- Sunniva jest zbyt mało zaradna, i zbyt naiwna. Przyjmuje ciosy od ludzi i od losu, nawet nie próbując się zasłonić. Uśmiecha się tylko łagodnie, wdzięczna za wszystko.

- No, teraz jesteś złośliwa - syknął Tarald.

- Nie, wcale nie. Ja tylko stwierdzam fakty.

Sprawę rozstrzygnęła Liv.

- Zgadzam się, że Sunnivy wysłać nie powinniśmy. Ona by nie podołała takim obowiązkom, w każdym razie w zadowalający sposób. Nie chodzi tylko o pilnowanie królewskich dzieci.

Wyobrażam sobie, że to wymaga specjalnej, silnej ręki. Trzeba umieć zachować równowagę między okazywaniem szacunku tym małym istotom a zdecydowaną postawą, gdyby posuwały się za daleko. Z tym zaś Sunniva sobie nie poradzi. Raczej usiądzie i będzie płakać, jeżeli któreś z nich powie na przykład, żeby trzymała swoje nędzne ręce i nie dotykała ich - królewskich dzieci.

Cecylia kiwała potakująco głową. W pełni się z tym zgadzała.

- Pani baronowa ma zupełną rację - powiedział hrabia, a Liv drgnęła. Przez dwadzieścia lat nie doczekała się, żeby ją ktoś nazwał baronową.

Hrabia Strahlenhelm mówił dalej:

- Ja ze swej strony uważam, że panna Cecylia nadaje się znakomicie. Rodzice na pewno zaakceptują mój wybór, skoro tak się złożyło, że nie może to być Sol. Dwór prosił mego ojca o radę i dla niego jest to, rzecz jasna, sprawa honoru, by zadowolić króla, wybierając odpowiednią opiekunkę.

- A dlaczego szukać jej w Norwegii? - zapytała Liv. - Jest przecież pod dostatkiem duńskich dziewcząt.

Hrabia chrząknął dyskretnie.

- Oczywiście, i nie brak chętnych, które chciałyby się zajmować królewskimi dziećmi. Ale dotychczas opiekunki zmieniały się na królewskim dworze bardzo często. Muszę przyznać, że z Kirsten Munk niełatwo jest wytrzymać. Swoje małe córki wychowuje ona tak, by nie zapominały, jak wysokiego są rodu. Zarówno matka, jak i dzieci są do tego stopnia świadome swej pozycji, że i połowa tego to już byłoby za dużo. Dlatego właśnie mój ojciec natychmiast pomyślał o panie Sol. Zawsze mawiał, że to dziewczyna, która nie pozwoli sobie grać na nosie. A poza tym dwór szuka kogoś z wykształceniem, a właśnie Sol miała przecież bardzo staranne wykształcenie.

- Cecylii też tego nie brakuje - rzekła Charlotta z dumą. - Kształcenie wszystkich dzieci było tutaj zawsze moim obowiązkiem.

- To znakomicie! Innym powodem jest to, że król Christian chciałby przy okazji okazać szacunek swojemu drugiemu państwu, Norwegii. Gdyby więc panna Cecylia chciała się podjąć tego szlachetnego zadania, myślę, że byłaby najlepszą kandydatką.

- Oczywiście, że bym chciała - oświadczyła Cecylia.

- Dobrze się zastanów - upominał ją Dag, który pamiętał, co działo się w Kopenhadze z Sol i bardzo niechętnie odnosił się do projektu wysłania tam własnej córki.

- Dag - prosiły Liv i Charlotta jednocześnie. - Pozwól jej jechać!

- Przecież ona nie może podróżować sama - odparł wymijająco, ale ciągle w wojowniczym nastroju.

- Nie, oczywiście, że nie sama - powiedział hrabia Strahlenhelm. - Pojedzie z nami, gdy będziemy wracali do Danii. Żona jest ze mną, czeka w Oslo. Dostyc źle zniosła morską podróż. Wracamy za trzy tygodnie. Czy to by państwu odpowiadało?

sercu!

Cecylia jednak, rozszczebiotana, nie była w stanie ukryć czysto kobiecej radości i zachwytu.

* * *

Dni późnego lata mijały aż nazbyt szybko. Kiedyś Silje musiała zostać w łóżku, bo noga odmawiała jej posłuszeństwa.

Pielęgnowała ją Irja. Ta duża dziewczyna spełniała ze szczerą ochotą każde najdrobniejsze życzenie Silje. Teraz przyniosła przybory do malowania, bo Silje chciała zrobić małą akwarelę, przedstawiającą wnętrze pokoju.

- Irjo, kochanie, dlaczego nie upniesz swoich włosów w jakiś inny sposób?

Irję uszczęśliwiło to, że Silje mówi do niej kochanie. Nie rozpieszczano jej na ogół takimi czułościami. Ale prawdą jest też, że z jej włosami trudno cokolwiek zrobić. Sterczały na wszystkie strony, jak targane wiatrem gałązki ostu.

- Jak miałabym to zrobić, pani Silje?

- Chodź i usiądź przy mnie na łóżku, spróbuję ci pokazać. Masz grzebień?

Irja wyjęła z kieszeni grzebień. Był czysty i nie połamany, co Silje pochwaliła. Irja w ogóle była staranna i bardzo dbała o higienę, a Silje niezwykle to ceniła. Lubiła też jej zawsze pogodny nastrój i poczucie ładu, jakie dziewczyna wносиła ze sobą. Znacznie mniej pewnie czuła się, kiedy miała jej pomagać Sunniva.

Rozczesując długie blond włosy swojej ulubienicy, Silje mówiła:

- Jesteś już u nas od wielu lat, Irjo. Pamiętam, jak wszyscy czworo, Sunniva i ty, Tarald i Cecylia, graliście w piłkę w alei, albo jeździliście na drewnianym koniu. Cecylia zawsze była ostatnia i wciąż się na siebie za to złościła. Widziałam, że dajesz jej wygrywać od czasu do czasu.

- O, nie tak znowu często, to nie było konieczne - uśmiechnęła się Irja, próbując nie dać poznać, że Silje co chwila szarpie ją za włosy. - Panna Cecylia znakomicie dawała sobie radę sama. Tak jak wtedy, w czasie wyścigu z Grastensholm do Lipowej Alei. Ja się nie ścigałam, bo bieganie zawsze bardzo mnie męczyło. Cecylia musiała przegrać, bo była najmłodsza. Ale ona nigdy nie przyjmowała porażki do wiadomości, więc tam, za górką, udała, że się przewróciła i uderzyła, i dlatego nie może biec dalej. Sama rozmyślnie podarła sukienkę i kulejąc wróciła na dziedziniec. Nigdy nie widziałam kogoś bardziej zbolatego. To ona była bohaterką, a na zwycięzcę nikt nie zwracał uwagi. Oglądałam to wszystko z boku i widziałam, jak było naprawdę.

- Jakie to typowe dla niej! O tak, Cecylia umie sobie dawać radę. Znacznie gorzej jest z Sunnivą. Próbowałam dodać tej dziewczynie trochę odwagi, ale ona jest taka lękliwa.

Pociesza mnie świadomość, że Sunniva ma was. Tarald też jest dla niej miły.

Irja milczała, jak zaklęta. Twarz jej posmutniała i Silje zaczęła podejrzewać, że kryje się za tym jakiś dramat.

Dobra, czuła Irja! I tak całkowicie pozbawiona jakiegokolwiek wdzięku, jeśli chodzi o wygląd.

Tymczasem Taralda to bardzo interesowało. Silje popatrzyła na ręce dziewczyny, duże niczym wiosła, spoczywające na podolku, a potem na jej kanciastą twarz. Ale oczy Irji promieniowały ciepłem, jeśli tylko ktoś zdobył się na to, by w nie spojrzeć.

Silje zaczęła mówić o czym innym.

- Weź lusterko, leży tam, na stole, i zobacz co z tego wynikło.

Irja posłusznie sięgnęła po lusterko.

- Zrobiłam przedziałek pośrodku, zaczesalam włosy z czoła i ułożyłam miękko tutaj, przy uszach.

- Ale czy w ten sposób moja beznadziejna twarz nie będzie się wydawać jeszcze większa?

- Przeciwnie, wygląda na mniejszą w obramowaniu włosów. Teraz zaplotę włosy z tyłu w dwa ścisłe warkocze...

Potrzebowała na to trochę czasu, więc zapytała Irję o jej domowe sprawy.

Była to długa i beznadziejna historia. Żadnej radości, tylko mordęga i awantury.

Śmiertelność niemowląt w całej parafii była ogromna, ale potomstwo gospodarzy z Eikeby odznaczało się jakąś niezwykłą odpornością. To prawdziwa udręka mieszkać w takiej ciasnocie, jak tam. Irja nigdy nie miała własnego kąta, toteż wyczekiwała dni spędzanych w Lipowej Alei jak upragnionej okazji, bo mogła trochę odetchnąć.

Na początku, gdy dopiero zaczynała pomagać w Lipowej Alei, Silje krępowała się trochę podsuwać dziewczynce, bądź co bądź towarzyszce zabaw własnych wnuków, te drobne datki - jakiś grosz czy trochę jedzenia. Teraz przekonała się jednak, że postępuje słusznie.

Choć Irja tego nie mówiła, wyszło i tak na jaw, że jej rodzice bardzo liczyli na te prezenty, jako swoje najpewniejsze dochody, i że nigdy nie pozwoliliby córce leniuchować w Lipowej Alei, nie zajmować się niczym pożytecznym. To by była strata czasu. Najwyraźniej uważali, że Irja ma stałe zajęcie u pani Silje. A jej przyjaźni z całą rodziną nie pojmowali. Gdyby o tym wiedzieli, chyba by po prostu zabrali dziewczynę do domu.

Silje pomyślała z poczuciem winy, że musi jej płacić bardziej regularnie. Nie wiedziała dotąd, że te drobne grosze znaczyły tak wiele. Ale tyle było gąb do wyżywienia w Eikeby. Nic dziwnego, że Irja w dzieciństwie chorowała.

Jakaż to szkoda! Jaka szkoda tej wspaniałej dziewczyny, która mogłaby być znakomitą żoną i matką dla najlepszego chłopca. Jej ojciec, który wydawał za mąż swoje córki, jedną po drugiej, i sam wybierał zięciów, zdecydował, że Irja za mąż nie wyjdzie, zostanie w domu, by pomagać starym rodzicom. Mógł podjąć taką decyzję bez wahania, nie było obaw, że jakiś konkurent z własnej woli będzie się o nią starał. Mężczyźni bali się dziewcząt z takimi wadami bo zazwyczaj miały one kłopoty z rodzeniem dzieci. A mówiąc dzieci, mieli oczywiście na myśli synów. Było czymś normalnym, że mężczyzna pytany o to, ile ma dzieci, odpowiadał: „Mam czworo dzieci”, a po chwili dodawał: „I trzy córki”.

Irja robiła się smutna, ilekroć mówiła o swojej przyszłości. Pielęgnowanie surowych, gderliwych rodziców nie wydawało jej się szczególnie pociągające.

- No, przejrzyj się teraz w lusterku - powiedziała Silje, by zmienić temat. - Jeszcze upnę warkocze wysoko i ozdobię włosy perełkami. Oprócz tego opaska z pereł na czoło, o tak! I jeszcze trochę pudru na twarz, wyjmij go z szuflady, z tamtej! Tak, ten. Nos ci się świeci jak latarnia, tak nie można. Gdzie jest dzisiaj Sunniva?

- Ja... widziałam ją i Taralda, szli... drogą przez pole.

- Dokąd? - zapytała Silje ostrzej, niż by rzeczywiście chciała.

- Nie wiem. Po prostu pobiegli przed siebie.

Mój Boże, mam nadzieję, że Tengel tego nie widział, pomyślała Silje. Muszę jednak z nimi porozmawiać.

Głośno zaś spytała:

- No? I co o tym myślisz?

Irja na widok swego odbicia w lustrze straciła dech.

- Jak ja ładnie wyglądam - szepnęła.

- Bo ty jesteś ładna - oświadczyła Silje spokojnie, choć świadoma, że trochę przesadza. Z

drugiej jednak strony trzeba przyznać, że w tym dość beznadziejnym wyglądzie Irji było jakieś trudne do określenia piękno.

- Te opaski z perłami możesz zatrzymać, zresztą i tak nie są prawdziwe.

- Dziękuję - wyszeptała Irja ze łzami w oczach. - Dziękuję, droga pani Silje!

W tej samej chwili do pokoju weszła Sunniva, a za nią Tarald.

- Dzień dobry, babciu - szczebiotała Sunniva z promiennymi oczyma. - Jak się czujesz?

- Dziękuję, dość dobrze. Gdzie byłaś?

- Po prostu chodziłam - odparła Sunniva tak niepewnie, że wydawało się to podejrzone.

Tarald także przywitał się z babką: Irja, która stała obok w swojej nowej fryzurze pełna nadziei, doczekała się jedynie krótkiego:

- Cześć, to ty dzisiaj jesteś u babci? Świetnie.

Blask w oczach Irji powoli gasł. Silje mogłaby obić tych dwoje młodych, ale nie miała wątpliwości, że myślami są zupełnie gdzie indziej.

Sunniva wydawała się bardziej pewna siebie niż zazwyczaj. Śmiała się, a jej oczy płonęły, gdy patrzyła na Taralda. Słuchała z zachwytem, gdy opowiadał co widzieli po drodze.

W końcu jednak spojrzała na Irję i dostrzegła przemianę.

- Irja! - aż gwizdnęła z przejęcia. - Czy ty się przebrałaś?

Irja, prosta i nieśmiała wiejska dziewczyna, rozpaczliwie szukała wzroku Silje.

- To ja upięłam jej włosy - rzekła starsza pani spokojnie. - Uważam, że wygląda bardzo ładnie.

Dzięki Bogu Tarald miał tyle serca, żeby zrozumieć, jak przykro zrobiło się Irji. Zwykle nie był zanedo sprostregawczy.

- I ja tak uważam - oświadczył. - Do twarzy ci w tym uczesaniu.

Sunniva zmieszała się. Nie chciała jej przecież zranić.

- Ja, oczywiście, też jestem tego zdania - powiedziała pospiesznie. - Po prostu ledwo cię poznałam. Chodź, pójdziemy do kuchni. Jestem głodna.

- Mogę iść? - zapytała Irja.

- Naturalnie, idź - uśmiechnęła się Silje. - Dam sobie radę.

- Zaraz wrócę. Czy pani życzy sobie czegoś z kuchni?

- Taaak - Silje wahała się trochę. - Tak, kawałek placka na miodzie, jeśli jesteś tak dobra.

Właściwie już może sobie na to pozwolić. Miała pięćdziesiąt sześć lat i przez cały czas, odkąd Sol zartowała, że Silje za dużo je, dzielnie odmawiała sobie swego ukochanego placeka na miodzie. Teraz jednak przestało to mieć znaczenie. Zresztą chciała sobie sprawić trochę przyjemności, na pociechę, przy tej bolącej nodze.

Nie malowała już teraz tyle, co dawniej. Zaczęła znowu trochę tkąć, ale to okazało się za bardzo męczące.

Poprzestała więc na wykonaniu od czasu do czasu jakiejś małej akwareli, takiej jak ta, którą malowała dzisiaj. Było jakoś tak, jakby wszystko, za co się brała, rozrastało się przed nią niczym wielka, trudna do zdobycia góra. I ubrania zwisały na niej, za duże, musiała zacząć je zwężać.

Placek na miodzie mógłby nawet okazać się pożyteczny.

W ciągu dnia Tengel bywał stale zajęty. Uczył młodego Tarjeia, razem odwiedzali chorych, a poza tym obaj eksperymentowali z dawnymi, tajemniczymi ziołami i mieszankami rodu Ludzi Lodu.

Często bystry umysł wnuka zdumiewał Tengela niepomierne. Uważał, że on sam jest zdolny, ale Tarjei przewyższał go pod każdym względem. Analizował zioła, próbował odkryć, co decyduje o tym, że poszczególne rośliny działają tak, jak działają. Pewnego razu sprawdzał na sobie mieszanki różnych medykamentów i w rezultacie przerażony Tengel musiał użyć wszystkich swoich sił i umiejętności, by go przywrócić do życia. Gdy chłopiec w końcu się ocknął, wykrzykiwał przejęty:

- Teraz już wiem! Tych ziół nie możemy stosować łącznie, one do siebie nie pasują.

- Czy musisz aż narażać własne życie, żeby się o tym przekonać? zapytał Tengel, zły ze strachu.

Ale czuli się ze sobą znakomicie. Silje uśmiechnęła się na wspomnienie ich poważnych min, gdy Tarjei dążył do wyjaśnienia czegoś i Tengel, który sam nigdy nie pytał dlaczego, usilnie starał się znaleźć odpowiedź.

To Sunniva przyniosła placek. Śmiała się rozbawiona.

- Kucharki prosiły, żebym pomyśla jakieś drewniane wiadra, ale ja chciałam porozmawiać z babcią, więc wyręczyłam się Irją.

- Nie powinnaś była tego robić! Irja dostała ode mnie inne polecenie.

Oczy Sunnivy zrobiły się duże i żałosne.

- Czy babcia nie chce ze mną rozmawiać? Może mam zawołać Irję?

- Nie, nie, moje dziecko, oczywiście, że nie. Myślałam tylko... Och, zapomnij o tym. O czym to

chciałaś ze mną mówić?

Sunniva wzięła ze stołu lusterko i przyglądała się sobie badawczo, wyraźnie zadowolona z tego, co widzi. Potem je odłożyła i westchnęła głęboko, uśmiechając się przy tym słodko.

- Taka jestem szczęśliwa, babciu!

- To świetnie - rzekła Silje z wahaniem, bo nie bardzo podobała się jej ta rozmowa. - Czy Tarald jest w kuchni?

- Nie, musiał wrócić do Grastensholm.

Nim Sunniva zdążyła wystąpić z nie bardzo przez babkę pożądanymi zwierzeniami, ta ostatnia powiedziała pospiesznie:

- Kochana Sunnivo... myślę, że nie powinnaś się tak często spotykać z Taraldem.

Dziewczyna patrzyła na nią, nie rozumiejąc o co chodzi.

- Ale dlaczego?

- Jesteście zbyt blisko ze sobą spokrewnieni.

- To pokrewieństwo trzeciego stopnia. Czy to za blisko? Ależ ludzie mogą zawierać małżeństwo w takiej sytuacji. Nawet rodzeństwo może!

- Tak, ale Ludzie Lodu mają specjalne cechy.

- Ech, to dawne baśnie! Takie tam gadanie!

- Nie, Sunnivo, to nie jest tylko gadanie! Czy uważasz, że dziadek Tengel jest podobny do większości ludzi?

- Nie, zdaję sobie sprawę, że dziadek wygląda trochę dziwnie, ale on jest przecież najwspanialszym człowiekiem na świecie.

I szepnęła cichutko sama do siebie:

- Zaraz po Taraldzie.

Nagle zaczęła płakać, chowając twarz w dłoniach. Cecylia może pojechać do Danii, bo wy wszyscy ją lubicie. Tarjei i dziadek zawsze są razem. Ciotka Charlotta uwielbia Taralda i jego rodzice także. Babcia też woli mieć Irję do pomocy. Tylko mnie nikt nie lubi, ja jestem tylko nieszczęśliwym przypadkiem, którym musieliście się zająć. Dobrze wiem, że babcia nie 37

chciała mnie tutaj, kiedy byłam mała, i oddała mnie Dagowi i Liv. A teraz chce mi babcia odebrać jedyne człowieka, któremu na mnie zależy?

Silje była wstrząśnięta. Jak ta dziewczyna może myśleć, że nikt jej nie chce?

- Ależ Sunnivo, na Boga - jęknęła, kładąc swoją szczupłą dłoń na ramieniu dziewczyny. -

Oddałam cię pod opiekę Liv i Dagowi, bo nie miałam już dość sił i cierpliwości na to, żeby wychowywać małe dziecko. Muszę ci coś wyznać. Kiedy moje dzieci były małe - twoja matka i Dag, Liv i Are - byłam chyba najgorszą gospodynią w całej Norwegii. Kochałam ich tak, jak teraz kocham ciebie i wszystkie wnuki, ale Boże mój, jakaż ja byłam niecierpliwa, jakże często miotałam się po domu. Dag mógłby ci powiedzieć, jak wiadra i ścierki latały po izbie, kiedy byłam wściekła. Mógłby ci opowiedzieć o tym, jak uciekałam do lasu, kiedy było za dużo roboty, albo jak przypalałam kaszę. Ubrania dzieci były tak okropnie uszyte, że sąsiedzi się śmiali. A przecież byłam wówczas młoda i silna. Kiedy człowiek robi się starszy, nie jest już w stanie podolać wszystkim obowiązkom i całemu zamieszaniu, jakie nieuchronnie w domu wywołuje obecność małego dziecka. Liv jest urodzoną matką, ja nie.

Sunniva przestała płakać. Na nieszczęśliwej dziecinnej twarzyczce o bezradnych oczach pojawiło się zdumienie i coś jakby odrobina nadziei.

- Rozumiem, że czasami czujesz się porzucona - mówiła dalej Silje. - Nie masz ani matki, ani ojca. Ale musisz wiedzieć, że wszyscy w obu naszych domach kochają cię, ba, nawet ubóstwiają, bo jesteś takim małym bezbronny stworzeniem.

Blady uśmiech przemknął po łagodnej buzi.

Sunniva była delikatna, tego nie można było nie dostrzegać. Była słaba, nie umiała nikomu stawić oporu. Samą swoją postawą wywoływała opiekuńcze uczucia ludzi i wsysała w siebie wszelką troskliwość, jak wysuszona gąbka, ale sama bardzo niewiele dawała w zamian.

Piękne rysy twarzy nie miały w sobie nic z siły Sol, rysy matki wymieszały się z rysami Heminga. Sunniva odziedziczyła też wiele z jego słabości. Skłonność do unikania trudności, do życia kosztem innych, wykorzystania ich dobrej woli. W okresie dorastania trzymała się zwłaszcza silnej i rosnącej Irji. To ona wykonywała wszystkie ciężkie prace i była oparciem dla Sunnivy.

Jednocześnie Sunniva była urzekająco miłą istotą, której nikt nie chciał wyrządzić krzywdy i która wciąż jakby przepraszała, że żyje.

Silje przytuliła ją do siebie.

- A co się tyczy Taralda...

Dziewczyna spłonęła rumieńcem.

- Co się tyczy Taralda, to nie mamy nic przeciwko temu, żebyście byli przyjaciółmi. Możecie, oczywiście, pomarzyć trochę razem, trzymać się za ręce, może czasami pocałować jedno drugie i w ogóle lubić się. Ale nigdy nie wolno wam posunąć się dalej. Nigdy!

Sunniva wyglądała na zaszokowaną tym, że babcia rozmawia z nią o takich sprawach.

- Ależ nigdy o niczym takim nawet nie myśleliśmy! Chociaż bardzo byśmy chcieli się pobrać.

Silje oniemiała na chwilę. Czy ta dziewczyna naprawdę wie tak mało?

- Nawet mowy być o tym nie może! - krzyknęła zdecydowanie, bo w tym akurat zgadzała się z Tengelem. - Raczej zerwiesz tę przyjaźń.

- Och, nie! - Sunniva jęknęła tak, jakby świst wiatru przedzierał się przez szparę w drzwiach.

- No to możecie sobie uprawiać ten wasz mały flirt i pozwolić mu, by z czasem wysechł, jak woda na piasku, sam z siebie. To wygaśnie, na pewno. Zobaczysz!

- Och, babcia jest taka dobra, ale niczego nie rozumie. Babcia nie wie, co to znaczy kogoś kochać!

Silje z trudem zachowała powagę. Udała, że kaszle, a potem powiedziała surowo:

- Ale jedną rzecz musisz mi obiecać: nie przekraczajcie granicy tego, co przystoi! Nigdy!

- Oczywiście, babciu. Mogę ci to obiecać bez trudu.

Nie wątpię, pomyślała Silje.

Wieczorem opowiedziała o tej rozmowie Tengelowi. Słuchał, zaciskając zęby.

- Sunniva nie wie, o czym mówi. Muszę poważnie porozmawiać z Taraldem.

- Tak, koniecznie porozmawiaj, bądź tak dobry. Martwi mnie to, a nie przypuszczam, że udało mi się dzisiaj opanować sytuacji. Czy nie sądzisz, że historia się znowu powtarza? Liv i Dag wychowywali się razem, jak rodzeństwo. I zakochali się w sobie. Wszystko skończyło się dobrze, ponieważ Dag nie jest z nami spokrewniony. Tarald i Sunniva także dorastali w jednym domu, i teraz widocznie ich kolej. Nasz dom zdaje się stwarzać znakomitą atmosferę dla miłości!

- Tak, to prawda. Ale tym razem nie możemy na to pozwolić. Muszę porozmawiać z Taraldem. Z Dagem także, on też powinien im powiedzieć parę słów.

- Dobrze. A ja rozmawiam z Liv.

39

Irja leżała w łóżku, w domu, na Eikeby i próbowała stłumić płacz. Przełykała ślinę i z trudem usiłowała zdławić narastający szloch. Nos miała zatkaany i musiała go wyczyścić, ale nie mogła, bo leżała w szerokim rodzinnym łóżu, wciśnięta pomiędzy młodsze siostry.

Bracia spali w drugim łóżku, a w trzecim rodzice z najmniejszymi dziećmi. W izbie obok sypiały małżeństwa ze swoimi dziećmi, jej ciotki i wujkowie, a także starsze rodzeństwo ze swoimi

rodzinami. Jedna z tych par właśnie się kochała i Irja starała się nie słyszeć dochodzących ją odgłosów; wstrętem napawało ją, że musi być świadkiem takich intymnych wydarzeń. Ale w tym domu zawsze się coś takiego działo. Zresztą, zdaniem Irji, najgorsze ze wszystkiego było słyszeć rodziców. Błagalne szepty matki, żeby nie, burkliwą niecierpliwość ojca.

Irja płakała. Nie udało jej się powstrzymać łez. Zazwyczaj nie użalała się nad sobą, nie chciała tego, ale dziś ciężar wydawał się zbyt wielki. Przytłaczał ją własny los, przyszłość, która nie istniała.

Tarald...

Nie, nie wolno jej o nim myśleć, nie ma prawa, to na nic, bo przecież on nie jest dla niej.

Zresztą on już dokonał wyboru, a jej przeznaczeniem będzie pielęgnowanie rodziców, kiedy się zestarzeją. To dobre zajęcie, przywilej, za który powinna być wdzięczna.

Dlaczego więc buntowała się przeciw temu z całej duszy? Czy nigdy nie pozbędzie się tego dławiącego uczucia, które ogarnia ją na myśl o przyszłości?

- Całe, długie życie...

* * *

Nie doszło jednak do rozmowy Tengela z Taraldem ani nikim innym. Akurat teraz nie było na to czasu, miały bowiem miejsce dwa wydarzenia, następujące szybko, jedno po drugim.

Młody hrabia Strahlenhelm i jego żona przybyli z licznym orszakiem, by zabrać Cecylię.

Liv stała na schodach domu w Grastensholm, pociągała nosem i wycierała oczy podczas nie mającego końca pożegnania. Dag miał tysiące napomnień, które wypowiadał matowym głosem, a Charlotta wprost nie posiadała się z radości. Pomyśleć tylko - jej wnuczka w królewskiej służbie! Co prawda nie miała się opiekować królewskimi dziećmi z prawego łoża, tymi, które odziedziczą tron, ale jednak! Zresztą to także nie było potomstwo nieślubne, dzieci, które król miał z Kirsten Munk zostały uznane. Prawie przez wszystkich. Wiedziała, że są to dwie małe dziewczynki, a może też i chłopiec? Nie była pewna - jedno dziecko chyba zmarło...

Co chwila obejmowała Cecylię. Łzy płynęły jej z oczu, ale śmiała się uszczęśliwiona.

O, co za radość!

40

W końcu odjechali, orszak zniknął w dole, przy kościele. Cała rodzina machała jeszcze długo na pożegnanie. Bardzo długo widzieli także rękę machającej Cecylii. W końcu odległość stała się zbyt duża.

Silje widziała ich z okna w Lipowej Alei. Cecylia pożegnała się z babką już poprzedniego wieczora. Czarująca dziewczyna, ta Cecylia. Może nie tak olśniewająco piękna jak wiele kobiet w rodzie Ludzi

Lodu, ale wdziękiem i siłą psychiczną przewyższała wszystkie.

Silje czuła, że będzie tęsknić za tą swoją radosną wnuczką.

Zaledwie w trzy dni później, gdy wszyscy byli w Grastensholm i jedli obiad - Silje także, bo noga dokuczała jej nieco mniej - przybiegł posłaniec: pastor prosił do siebie Tengela.

Ten wstał, nie zwlekając.

- Pastor? - Charlotta była zdziwiona. - On raczej nie ma zwyczaju prosić cię o cokolwiek.

- Chyba nigdy przedtem nie był chory - powiedział Dag cierpko.

Już od dawna w okolicy nikt nie lękał się groźnego wyglądu Tengela. Jego nienaturalnie szerokie, sterczące barki wydawały się chorym raczej zabezpieczeniem, czy też niosącą pociechę osłoną. Lecz uduchowiony, kostyczny pastor wciąż zachowywał wobec Tengela pewien dystans. Zresztą ten ostatni nie należał do parafian zbyt regularnie uczęszczających do kościoła.

Tengel wyruszył natychmiast konno. Rodzina kończyła obiad. A ponieważ składał się on z wielu dań, wciąż jeszcze siedzieli przy stole, gdy w hallu dał się słyszeć głos wracającego Tengela. Rozmawiał z kimś ze służby. Zdumieni usłyszeli, że mówi:

- Uważaj, nie dotykaj mnie.

- Już z powrotem? - wymamrotał Are. - Prędko to poszło.

Tengel wszedł do jadalni szybkim, nerwowym krokiem.

- No dobrze - powiedziała Charlotta. - Zdążysz jeszcze coś zjeść. Usiądź!

Ale on pozostał przy drzwiach.

Silje przeczuwała coś złego.

- Co się stało, Tengelu?

Wyjaśnił wszystko jednym, jedynym słowem:

- Zaraza!

41

ROZDZIAŁ IV

- Zaraza!

Meta otworzyła usta jak do krzyku, i przytuliła do siebie dwóch młodszych synów. Ręka Sunnivy poszukała pod stołem dłoni Taralda. Liv szepnęła:

- Dzięki ci, dobry Boże, że Cecylia zdążyła wyjechać!
- Czy sytuacja jest już bardzo poważna? - spytała Silje zatroskana.
- Są chorzy w dwóch gospodarstwach, po tamtej stronie wsi. I jeden służący na plebanii.

Wracam stamtąd i nie chcę tutaj niczego dotykać. Zaraz muszę iść.

- Nie! - jęknęła Silje.

- Muszę. Oni mają tylko mnie. I pastor dziękuje Bogu, że w naszej parafii, jako jedynej w okolicy, jest ktoś znający się na leczeniu.

Tengel uśmiechnął się krzywo.

- Najlepszy w Norwegii, tak się właśnie pastor wyraził.

- A jaka to zaraza? - spytała znowu Silje, która spotkała się już w życiu z różnymi odmianami morowego powietrza. Słowo zaraza było wspólnym określeniem dla wszystkich chorób zakaźnych.

- Krwawa biegunka - odparł Tengel.

Silje i Charlotta jęknęły. To straszne! Krwawa biegunka to choroba podobna do tyfusu albo do cholery, w bardzo krótkim czasie pozbawia ciało wody, w wyniku gwałtownej biegunki, często z krwią. Zakażeni mrą jak muchy.

- Pójdę z dziadkiem - oświadczył Tarjei i wstał.

- Nie, na Boga! - krzyknął Tengel. - Zabraniam ci!

- Ale ja się nie boję.

- Nie wolno ci przywlec zarazy do domu, mój chłopcze! I ja nie mogę cię utracić. Ciebie nie, Tarjei! To przecież ty masz przenieść dziedzictwo do następnych pokoleń. Nie mogę utracić nikogo z was, czy tego nie rozumiecie?

- A my? - wtrącił dobrodusznie Jacob Skille. - Czy my możemy utracić cię?

42

Pozostali bąkali coś na potwierdzenie, że zgadzają się z Jacobem. Tengel był wzruszony, lecz pokrywał to szorstkością.

- Ktoś przecież musi pomóc tym nieszczęsnym ludziom!

- Tak - przyznał Tarjei. - Ale to szaleństwo, żeby dziadek robił wszystko sam. Nikt długo nie wytrzyma takiego wysiłku. A wtedy parafia zostanie pozbawiona wszelkiej pomocy.

Irja, która towarzyszyła Silje i pomogła jej przyjść tu, na górę, także wstała.

- Gdybyście pozwolili sobie pomóc, panie Tengelu, zrobiłabym to jak najchętniej.

- I zawlokła zarazę do Eikeby, gdzie mieszka tylu ludzi? Nie! Dziękuję ci, Irjo, i tobie, Tarjei, ale wy nic nie rozumiecie. Ja muszę się izolować. Pewnie nie pokażę się w domu przez długi czas...

- Och, Tengelu! - jęknęła Silje. - Tak nie wolno! Czy mogę pójść z tobą?

Uśmiechnął się do niej pospiesznie.

- Na pewno dam sobie radę. Nie mogę wciągnąć w to młodych.

Tarjei wykrzyknął:

- To niech dziadek pozwoli mi izolować się razem z dziadkiem. Dziadku, ja mam teorię.

- Tarjei! - jęknęła błagalnie Meta, jego matka - nie martw nas tak bardzo.

- Ja też chcę iść z panem Tengelem - powiedziała Irja. - Nie boję się. A jeżeli się zarazę, to niech tam, i tak jest nas na Eikeby za dużo.

Napotkała wzrok Silje i musiała spuścić oczy. Pani Silje rozumiała. Pani Silje wiedziała. W jej oczach było tyle zrozumienia i tyle współczującej bezradności. Tak bardzo chciałyby pomóc Irji, ale nie umiały.

- Irjo, moje dziecko - szepnął Tengel, poruszony jej ofiarnością.

Sunniva kuliła się w ramionach Taralda.

- Tak się boję! A co będzie, jeśli się zarazimy? Pomyśleć, że mogłabym umrzeć! I Tarald.

On objął ją opiekuńczo ramieniem.

- Będę cię chronił, kochanie.

Tengel nakazał ostrym tonem:

43

- Nie wychodźcie z domu! I nikogo nie wpuszczajcie! Nigdy nie wychodźcie na zewnątrz.

Nawet pomiędzy Grastensholm a Lipową Aleją nie wolno się nikomu poruszać. Teraz pojedę do domu i zabiorę potrzebne rzeczy. Nie zobaczymy się długo.

- Tengelu! - krzyknęła Silje, próbując wstać, lecz noga odmówiła jej posłuszeństwa.

- Nie dotykaj mnie - rzekł Tengel pospiesznie. - I nie bój się, tak łatwo się mnie nie pozbędziesz.

Tarjei nie dawał za wygraną. Jego twarz o niezwykle wyrazistych rysach i szerokim, wypukłym czole wyrażała absolutne zdecydowanie.

- Dziadku, w tych warunkach dziadek nie da sobie rady. Pójdę, czy dziadek chce, czy nie.

Ktoś musi dbać też o dziadka.

- Ja też pójdę z wami i będę pomagać - oświadczyła Irja z uporem. To za duże obciążenie na jedną osobę. A jeśli przyrzeknę, że nawet się nie zbliżę do Eikeby, czy to wystarczy?

- Uparte dzieciaki - powiedział Tengel poruszony. - No dobrze! Chodźcie. Bóg jeden wie jak jesteście mi potrzebni. Ale nie wolno wam dotykać chorych, tego wam stanowczo zabraniam!

Meta dopadła do syna.

- Tarjei, nie możemy cię utracić z powodu jakiejś zarazy! Do innych rzeczy zostałeś stworzony.

- Uspokój się mamó - odparł Tarjei. - Na pewno nic mi nie będzie. Wydaje mi się, że wiem jak powinniśmy postępować. A to jest najważniejsze, prawda, dziadku?

Tengel, który już niejednego nauczył się od swego bystrego wnuka, skinął poważnie głową, a w jego oczach pojawił się błysk smutnego uśmiechu.

- Tak, to jest najważniejsze. Trond, biegnij do Eikeby i powiedz, że Irja nie będzie przez jakiś czas przychodzić do domu, dobrze? Dziękuję ci. A ty, Taraldzie, dopilnuj, żeby Klaus odwiózł

babcię Silje do domu powozem. Sunnivo, ty wracaj do Lipowej Alei i zostań u babci, dopóki niebezpieczeństwo nie minie. Teraz, pod nieobecność Irji, będziesz babci potrzebna.

Potem wszyscy troje opuścili pokój. Silje starała się jak mogła panować nad sobą, ale nie zdołała powstrzymać łez.

- Zawsze byłam taka dumna z mojego Tengela. Ale teraz wołałabym, żeby był całkiem zwyczajnym człowiekiem.

44

- Wszystko pójdzie dobrze - uspokajała ją Liv, lecz głos jej drżał. - Myślę, że teraz powinniśmy się pożegnać i niech każdy robi, co do niego należy. Nie zobaczymy się przez jakiś czas, mamó. Trzymajcie się jakoś wszyscy w Lipowej Alei.

Sunniva była bliska hysterii ze strachu.

- Ja chcę zostać z Taraldem - powtarzała raz po raz, wychodząc z babką na dziedziniec. -

On obiecał, że będzie się mną opiekował. Ja nie mogę mieszkać w Lipowej Alei. A co będzie, jeśli dziadek Tengel przyniesie zarazę do domu?

W końcu udręczona Liv powiedziała:

- Pozwól jej tu zostać, mammo! W tym stanie będzie dla ciebie tylko ciężarem.

Silje wahała się. Nie miała ochoty zostawić Sunnivy razem z Taraldem, choć akurat teraz wydało się jej się to wszystko czymś zgoła niewinnym.

- No dobrze, jeśli jesteś taka dobra, Liv...

- Oczywiście!

- Dag, zadbaj o to, żeby Tarald i Sunniva nie zostawali zbyt często sam na sam - poprosiła Silje swego wychowanka, gdy pomagał jej wsiąść do powozu.

- Rozumiem. Będę tego pilnował, mammo Silje - obiecał.

W końcu pożegnali się. Niektórzy z nich widzieli się po raz ostatni, ale o tym jeszcze nie wiedzieli...

Tarjei nie przestawał mówić, niezwykle ożywiony, idąc wraz z Irją do Lipowej Alei u boku jadącego konno Tengela.

Tengel próbował nie patrzeć na drzewo Silje. Za każdym razem, gdy na nie spoglądał, przenikał go dreszcz niepokoju i rozumiał teraz jej niechęć do tych lip, nad którymi kiedyś wypowiedział zaklęcia.

- Przede wszystkim, dziadku, musimy się bardzo starannie umyć. Wiesz, ja mam swoją teorię na temat skąd się biorą takie choroby brzucha.

Tengel skinął głową.

- Chętnie się umyję, jeżeli chcesz.

- To konieczne, dziadku! I trzeba się myć za każdym razem, po zbliżeniu się do chorego.

- Nie ma aż tyle wody! - roześmiał się Tengel.

45

- Ale musimy się myć! To naprawdę poważna sprawa! Ja myślę, że zło przedostaje się do wnętrza człowieka przez usta.

- Myślisz, że to złe duchy? No, możliwe.

- Dziadku, nie! Chyba nie wierzysz w złe duchy! Ja nie wiem jak choroba wchodzi w człowieka, ale myślę, że woda może ją pokonać.

- Pitna woda? O to ci chodzi?

- Nie, nie na Boga! Nie wolno niczego pić! Trzeba się myć! Bardzo często. I chciałbym żebyśmy wszyscy, i dziadek, i Irja, i ja, zasłaniali nosy i usta tak, aby zło nie przedostawało się do nas. Wiś nas teraz potrzebuje. Jakie dziadek ma środki lecznicze?

Tengel wyliczał z pamięci:

- Czarne jagody, ziele pięciornika, ziele przewrotnika, podbiał, dziurawiec, krwiściąg leczniczy, krwawnik, rumianek... Te wszystkie zioła wstrzymują biegunkę.

- To na pewno dobrze, ale ja myślę, że czystość jest najważniejsza.

- Tak, tylko, że w jednym się mylisz, Tarjei. Nie znasz krwawej biegunki. Ona kompletnie pozbawia ciało wód, wysusza je. Chory musi pić.

Tarjei wciąż miał wątpliwości.

- Tak, oczywiście, pewnie dziadek ma rację.

Tengel uśmiechnął się leciutko. Jaki ten chłopiec jest dociekliwy, to prawdziwa duma rodziny.

A w ogóle Tengel nie bardzo chciał być pouczany przez trzynastolatka. Choć sam nie miał żadnego wykształcenia, w ciągu swego długiego życia wiele się nauczył.

Tarjei przeczuwał jednak coś ważnego, jeśli chodzi o sprawę czystości.

Irja, ciężko stąpając, szła obok niego. Nie miała odwagi się odezwać.

- Wiesz Tarjei - rzekł Tengel, kiedy zbliżali się do niemal zupełnie wyludnionego domu w Lipowej Alei. - Zastanowiłem się nad tym pić. A jakby tak dawać im piwo? Czy myślisz, że piwo jest bardziej czyste niż woda?

- Piwo? No, nie wiem, naprawdę - odparł chłopiec niepewnie. Ale wódka powinna być czysta.

- Nie możemy przecież upić wszystkich w okolicy - roześmiał się Tengel.

46

- Dlaczego nie? Jeśli sytuacja tego wymaga? Odkryłem coś w związku z wodą - powiedział

po chwili Tarjei w zamyśleniu. - Kiedyś zagotowałem mocno zabrudzoną wodę i ona się od tego zrobiła prawie zupełnie czysta.

- Myślałem o tym samym. Nie wiem czy to ma jakieś znaczenie, ale niech ludzie sami wybierają - wódka, lub gotowana woda! Wiem, w każdym razie, co wybiorą mężczyźni...

Zebrał służbę i wyjaśnił, co się stało. Ci, którzy zdecydowali się zostać w Lipowej Alei, nie będą mogli odwiedzać rodzin, jeśli zaś ktoś chce pójść do domu, to nie wolno mu wracać.

Musi tam pozostać, dopóki dzwony kościelne nie obwieszczą radośnie, że zaraza minęła.

Większość w popłochu odeszła do swoich rodzin, ale ci nieliczni, których jedynym domem była Lipowa Aleja, zostali wierni, by służyć swojej umiłowanej pani Silje i całej rodzinie gospodarzy. Klaus, który przywiózł Silje z Grastensholm, pobiegł kłusem do swojej zagrody w lesie, z przerażeniem w oczach zamknął się w izbie razem z Rosą i swoimi na wpół

dorosłymi dziećmi i zatarasował drzwi wszystkim, co znalazł pod ręką. Potem usiadł na łóżku i spoglądając na drzwi obgryzał paznokcie, jakby się spodziewał, że zaraza przyjdzie osobiście i wślizgnie się przez dziurkę od klucza. Wiedział, że odpowiedzialność za rodzinę wymaga odeń czujności.

W tym czasie Tengel i jego dwoje pomocników zebrali wszystko, co mogło być im potrzebne, wydali odpowiednie zalecenia co do zasad zachowania ostrożności i opuścili Lipową Aleję.

Tengel widział powóz, w którym Silje z rodziną wracała z Grastensholm, ale nie zatrzymał się ani nie poczekał na nich.

Zaczęli od plebanii. Najpierw poprosili pastora, by wyprawił posłańca do wszystkich zagród we wsi i przekazał polecenia dotyczące izolowania chorych, mycia się i konieczności gotowania wody. Tengel zabronił też pastorowi bicia w kościelny dzwon, wiedział bowiem z doświadczenia, że ludzie, słysząc dzwon, zaczynają biegać od zagrody do zagrody, by zapytać co się stało.

Poprosili też o jakieś niewielkie pomieszczenie, w którym mogliby zamieszkać i złożyć swoje przybory. Pastor wcale nie był zachwycony, że właśnie jego obejście miało stać się punktem zbiorczym, nie mógł im jednak odmówić, bo, jak powiedział Tengel, zaraza już i tak przybyła do jego domu.

Pierwszym pacjentem, którym musieli się zająć, był służący pastora.

Jak się okazało, ów parobek odwiedził przed paroma dniami zagrody, gdzie ludzie chorowali.

Tengel dał mu wywaru z ziół i udzielił tych samych ostrzeżeń, co pastorowi. Uśmiechnął się przy tym leciutko pod szmatką osłaniającą dolną część twarzy. On wraz z Irją wypełniali dokładnie to, co powiedział Tarjei. Myli się starannie po każdym zetknięciu z chorym. Spalili jego zakażone ubranie i obiecali przyjść znowu wieczorem. Zakazali mu wychodzić i 47

przyjmować gości, nie wolno mu było nic jeść, powinien natomiast pić przegotowaną wodę, którą przyniosła Irja.

- Mam tu leżeć i umierać w samotności?

Tengel uśmiechnął się uspokajająco.

- Wcale nie musisz umierać, nie jesteś ciężko chory i na pewno z tego wyjdiesz, jeśli tylko będziesz postępował tak, jak ci mówimy.

- I żebyś nie wkładał palców do ust - upomniał Tarjei.

- Co? Dlaczego nie?

- Bo choroba usadawia się na nie mytych palcach - wyjaśnił Tarjei i tym razem nawet Tengel popatrzył na niego z podziwem.

- Ileż ten chłopak ma w głowie! Chory jednak przyglądał się swoim palcom śmiertelnie przerażony.

- Poza tym twój gospodarz na pewno tu przyjdzie, by pomodlić się wraz z tobą - dodał Tarjei ze smutkiem, zanim opuścili plebanię.

Dużo gorzej miały się sprawy w dwóch zagrodach na skraju wsi. Wszyscy troje byli wstrząśnięci.

- Jak długo to trwa? - zapytał Tengel.

Gospodarz popatrzył na nich jakby byli zesłanymi na ratunek aniołami.

Leżał w łóżku, podobnie jak inni domownicy. Zewsząd widać było wysuszone twarze i trawione gorączką oczy. I ten odór...!

- My nie wiedzieliśmy - wyjąkał gospodarz. - Nie wiedzieliśmy, co to jest. Najpierw zachorował parobek, a potem to już jedno po drugim.

Tengel odwrócił się do swoich pomocników.

- Wracajcie do domu - powiedział spokojnie. - Tu jest zbyt niebezpiecznie.

Oboje młodzi potrząsnęli jednak głowami i stali nadal, jak przyrośnięci do podłogi. Serce Irji biło mocno ze strachu, ale nigdy by nie zostawiła pana Tengela na łaskę losu. Tarjei myślał

bardziej naukowo. Tutaj mógł sprawdzić swoje teorie.

Tengel westchnął ciężko. Poczul się nagle bardzo stary i bezradny.

48

- Gdzie jest ten parobek?

Gospodarz wskazał jeden z kątów. Rozpoznali w półmroku mężczyznę. Kogoś tak wychudzonego nigdy przedtem nie widzieli. Chory pojękiwał słabo, z otwartymi ustami, i ledwo zdołał odwrócić głowę.

- Posłuchaj mnie - powiedział Tengel. - Gdzie zostałeś zarażony?

Stary wydał z siebie zboląły jęk.

- Czy spotkałeś ostatnio jakiś obcych ludzi?

Tym razem także nie było wyraźnej odpowiedzi.

- Chodziłeś do sąsiadów?

Chory z trudem wykrztusił z siebie: - Nie.

Młoda córka gospodarzy, z potarganymi i przepononymi od gorączki włosami, odezwała się spod kupy szmat, którymi było zarzucone dziecięce łóżko.

- On chodził do Tonsberg, w zeszłym tygodniu.

- I była tam zaraza?

- Nie wiem. Ale wielu ludzi chorowało, tak nam powiedział po powrocie do domu.

- No? To przynajmniej wiemy skąd choroba nadchodzi. Teraz będzie zadanie dla was dzieci.

Irjo! Pobiegiesz do zagrody Helle, tej przy drodze do sąsiedniej parafii. Nie wchodź do środka, tylko zawołaj ich i powiedz, że muszą postawić na straży dwóch silnych mężczyzn, najlepiej uzbrojonych w karabin. Muszą pilnować drogi we dnie i w nocy. Nie wolno im nikogo przepuszczać, ani idących ze wsi, ani do wsi. Poproś też, by wysłali kogoś do Skogtorp, na drugim końcu parafii, i przekazali wiadomość, że tam mają postąpić tak samo.

Powiedz, że to polecenie Tengela, który chce uchronić parafię przed rozprzestrzenieniem się zarazy. Zrozumiałaś?

Wymawiał swoje imię z taką godnością, jaką akurat teraz chciał mu nadać.

Irja skinęła głową i natychmiast pobiegła. Droga nie była daleka.

Tengel najchętniej wysłałby wnuka, żeby trzymać go jak najdalej od tej dotkniętej zarazą okolicy, ale Tarjei nie potrafił okazać swojej woli tak, by go potraktowano poważnie. Gdy patrzył na swego ukochanego następcę, jak krząta się pomiędzy tymi wszystkimi zakażonymi przedmiotami, doznawał skurczu serca. Ten chłopiec został przeznaczony do rzeczy wielkich.

49

Stara babcia w rodzinnym łóżku żegnała się raz po raz.

- Żaden poganin się do mnie nie zbliży, o nie! Modlitwa pastora, to jedyne, co może tutaj pomóc. On może nas uwolnić od tego karzącego miecza Szatana. Dlaczego pastor nie przychodzi?

- Tak, warto by zapytać - mruknął Tengel. Głośno zaś rzekł:

- Jeśli chcesz tu leżeć babciu i czekać na niego, to proszę bardzo. Ja się tymczasem zajmę innymi.

- Wiedziałałam, że tak się stanie - nie przestawała zawodzić starucha. - Widziałam znak na niebie. Chmura przybrała postać krzyża. To była przestroga.

- Nie, nieprawda - zaprotestowała gospodyni, leżąca obok na tym samym łóżku. - To gospodyni z Lille Tjesnbruket. Ona jest na nas zła, bo nasze krowy dają więcej mleka niż u nich. To wszystko jej sprawka, mówię wam!

- Bzdury! - przeciął Tengel ostro. - To jest choroba, która przyszła z Tonsberg i dotknęła cały dystrykt. Nie rzucajcie paskudnych podejrzeń na niewinnych!

Irja wróciła zdyszana ze wsi i zameldowała, że polecenie zostało wykonane. Ludzie obiecali postępować tak, jak Tengel kazał.

- Dobrze, dziękuję ci, Irjo!

Przez cały czas dwoje dzieci płakało rozdzierająco; jedno zdrowym, mocnym głosem, drugie pochlipywało żałośnie. Irja rozejrzała się wśród tego nieszczęścia i ogarnęło ją gwałtowne uczucie bardzo przypominające strach. A w każdym razie pragnienie, by choć jeszcze raz w życiu móc zobaczyć Taralda.

Natychmiast jednak otrząsnęła się z tego i głęboko wciągnęła powietrze, gotowa pomagać.

- Co robimy, Tarjei? - zapytał cicho Tengel. - Od czego powinniśmy zacząć?

- Musimy tu zrobić porządek. Nikomu nie pomożemy, dopóki wszystko tonie w brudzie i gnoju.

- Czy jest w domu ktoś zdrowy? - zawołał Tengel.

- Tak, moja córka i jedna ze służących - odparł gospodarz. - Ale nie pozwoliłem im pozostać tutaj z nami. Są w starym domu.

Przywołano śmiertelnie przerażone dziewczyny; obie miały po około dwadzieścia lat.

Tengel powiedział zdecydowanie:

50

- Skoro nie zachorowałyście przez cały czas, to chyba nie macie się czego bać. Jesteście odporne na chorobę. Chodźcie więc i pomóżcie nam!

Jego autorytet i osobowość były tak silne, że dziewczyny usłuchały. Wysprzątano stary dom, by tam przenieść chorych, po czym przystąpiono do generalnego czyszczenia. Obie młode kobiety miały za zadanie przygotować na podwórzu balię z gorącą wodą. Z pomocą Irji rozpoczęto kąpiel wszystkich chorych, jednego po drugim. Zdejmowane z nich ubrania palono, a chorych szorowano od stóp do głów. Już to samo wystarczyło, by poczuli, że choroba jeszcze ich do końca nie pokonała. Starą

babcię wykąpano jako ostatnią - Tengel dotrzymał obietnicy i zostawił ją w spokoju, aż w końcu przestraszyła się, że o niej zapomnieli i zaczęła krzyczeć głośno, przejmująco wzywając pomocy.

W starym domu gotowano źródlaną wodę i po kąpieli podawano ją chorym do picia.

Wszyscy dostali też po łyku wódki, którą Tengel podkradł pastorowi z jego obfitych zapasów.

Przy drzwiach ustawiano wiadra, a ponieważ picie bardzo szybko przeleciało przez wysuszone ciała, chorych trzeba było prawie natychmiast wysadzać na wiadra. Tengel nie chciał dopuścić, by posłania znowu zostały zabrudzone.

W końcu wszyscy zostali ulokowani w starym domu, z wyjątkiem parobka, który umarł im dosłownie na rękach, kiedy próbowali go zdjąć z zasłanego gałganami łóżka. Zawinęli go w te łachy i pochowali na skraju lasu. Tengel ustawił na grobie krzyż i poprosił Irje o sprowadzenie pastora, by się nad nim pomodlił.

Obie zdrowe dziewczyny miały teraz pielęgnować chorych, podawać im, możliwie jak najczęściej, gotowaną wodę do picia i dbać, by leżeli w cieplej, suchej pościeli.

Tengel spaliłby najchętniej cały dom mieszkalny, ale to dla ubogich chłopów byłaby zbyt wielka strata. Nie mieli czasu na wymycie izby, Tengel zamknął więc dom na klucz i zabronił

wchodzić komukolwiek do środka, dopóki wyraźnie im na to nie zezwoli.

Na dziedzińcu Irja myła się tak zaciekle w gorącej wodzie, że o mało się nie utopiła.

Szorowała się i parskła.

Tengel podszedł do niej.

- Boisz się - zapytał łagodnie.

Spojrzała zdumiona.

- Czy się boję? Nie, wcale nie, teraz już nie. Tylko tak mi przykro z powodu tych ludzi. Bo jak oni muszą się bać.

- Tak - przyznał Tengel i także zaczął się myć. Po chwili przyłączył się do nich Tarjei.

- Ilu z nich przeżyje? - zapytała Irja.

51

- Trudno powiedzieć. Będę się cieszył, jeśli uda się nam uratować choćby jednego. Ale uważam, że wykonaliśmy kawał dobrej roboty, dzieci. Tylko, że niektórzy już są skazani, między innymi to małe dziecko...

- O, nie! - jęknęła Irja.

- Taka jest smutna rzeczywistość, moja droga. To słabe dziecko, od samego urodzenia. No, skoro jesteście już gotowi, przejdziemy do drugiej zagrody.

Tutaj ludzie chorowali krócej i było ich mniej, więc zaprowadzenie porządku nie wymagało takiego wysiłku. Także i tu nie musieli pracować sami, pomagał im młody gospodarz, który nie bał się zarazy. Chorych przeniesiono do dużej izby i starannie wyczyszczono sypialnie.

Na wszystko jednak potrzeba czasu. Gdy nareszcie skończyli, dzień minął i nastał wieczór.

Cała trójka, śmiertelnie zmęczona, wróciła więc do małego domku na plebanii, zaglądając jeszcze po drodze do wylęknionego służącego pastora.

Sam pastor zszedł do nich później, gdy prali swoje ubrania i rozwieszali nad paleniskiem do suszenia.

- Ja chyba nie powinienem zachodzić do was, spotykam tyle dzieci Bożych w parafii...

- Wkrótce może pastor już nikogo nie spotkać - powiedział Tengel złośliwie. - Nie chciałby pastor pójść z nami jutro i pomóc? Wielu dopytuje się o kapłana.

- Ach, tak? No, takie jest właściwie święte powołanie ojca duchownego. A jak wygląda sytuacja?

- W zagrodzie Svartmyr kiepsko. Ale inni powinni się z tego wygrzebać mniejszym kosztem.

- Czy choroba będzie się rozprzestrzeniać?

- Raczej tak. Na przykład służący pastora został zarażony. Zrobiliśmy jednak wszystko, by powstrzymać zarazę.

- To kara Boża? Co takiego uczyniły moje owieczki, że na to zasłużyły?

- Nic - uciął Tengel ostro. - Człowiek doświadcza takich rzeczy na swojej drodze życia.

- Nie bez przyczyny - odparł pastor uszczypliwie. - Bezbożność, panie Tengelu! Oto jest odpowiedź! Bicz pański dosięga bezbożników, ot co!

- Tak, jutro rano będziemy musieli pochować niemowlę - rzekł Tengel, a Tarjei, który dobrze go znał, wyczuł w jego głosie tłumiony gniew.

Pastor bez słowa opuścił izbę.

Nie wyszedł z nimi do chorych następnego ranka, zresztą żadne z nich ma to nie liczyć.

Wysłał natomiast swego diakona, przyszęłego pastora, który zimą odbywał studia, a latem wypełniał w zastępstwie proboszcza prostsze posługi kościelne. Diakon był młodym, miłym człowiekiem, obdarzonym szczerą wiarą, rozmawiał więc z chorymi i zajmował się ich duchowymi dolegliwościami, podczas gdy pozostała trójka starała się ulżyć cielesnym.

Irja była tego dnia spokojniejsza i nieco chłodniej patrzyła na świat. W nocy długo nie mogła zasnąć; leżała w małym, nieznanym domu, wsłuchana w miarowe oddechy pana Tengela i jego wnuka. Jakże inaczej wyglądało wszystko u nich, w Eikeby! Jak wspaniale jest mieć łóżko tylko dla siebie, mimo że człowiek czuje się trochę samotnie. Z szacunkiem myślała o swoich towarzyszach, o tym starym, dumnym mężczyźnie i jego młodziutkim wnuku, obdarzonym tak jasnym, byстрыm umysłem. Przyjazne uczucia do nich wypełniły teraz znaczną część tego miejsca w jej sercu, które najchętniej wypełniałaby radością, że Tarald jest przy niej. Ale to się nigdy nie spełni. Zamiast radości odczuwała jedynie wciąż obecną gorycz, że nie może przestać o nim myśleć. I tęsknotę.

Och, jak okrutne potrafi być życie!

Teraz, w jasnym świetle dnia, wszystkie te myśli na szczęście uleciały.

Współpraca pomiędzy czworgiem niosących pomoc ludzi układała się znakomicie.

Wprawdzie nocą w zagrodzie Svartmyr zmarło dwoje chorych, w tym, tak jak przewidywał

Tengel, owo słabowite niemowlę, ale pojawiła się nadzieja na uratowanie innych; jeden mały chłopiec wstał już nawet z łóżka i zaczął chodzić. Tego dnia wyczyścili wszystkie pomieszczenia w domu mieszkalnym.

Około południa nadeszła jednak wiadomość, której lękali się najbardziej: jeszcze jedno obejście zostało dotknięte epidemią.

Myli się właśnie na dziedzińcu po brudnej robocie w domu. Irja czuła, że jest jej niedobrze i pragnęła znaleźć się wiele mil stąd, ale pozostała nieugięta, zdecydowana, że wytrzyma.

Tamci przecież trwają, więc i ona musi, przekonywała samą siebie, nie podejrzewając, że wszyscy jej towarzysze myślą dokładnie to samo.

- Gdybyśmy tylko wcześniej wiedzieli o chorobie - mrucał Tengel z irytacją, wkładając na powrót koszulę. - Moglibyśmy uratować więcej ludzi i powstrzymać morowe powietrze zanim zdążyło się rozprzestrzenić! No, chodźmy!

Irja, która po raz pierwszy zobaczyła jego niezwykle barki oraz mocno owłosioną pierś i teraz gapiła się szeroko otwartymi oczami, ocknęła się z zadumy. Nie pojmowała jak Silje mogła żyć z kimś tak bardzo podobnym do zwierzęcia, a jednocześnie ogarnął ją jakiś niezrozumiały smutek. Może dlatego, iż w głębi duszy czuła, że to jest jednak bardzo piękne, gdy dwoje ludzi tak sobie nawzajem odpowiada i że taka budząca groźę istota, jak Tengel, mogła znaleźć miłość i wytchnienie u tak pięknej i czulej kobiety.

Czy ona sama spotka kiedyś mężczyznę, który ją pokocha, nie bacząc na jej ułomność?

Nie, tego, rzecz jasna, nie powinna się spodziewać! Wybór należy przecież zwykle do mężczyzny, a oni dostrzegają tylko najładniejsze dziewczęta. Irja nie znaczy nic!

Nie zwlekając poszli do zagrody, w której ostatnio wybuchła zaraza i, rzeczywiście, udało się ją im uprzędzić. Wielu chorych uratowali od śmierci.

Tej nocy w ich małym domku na probostwie spał także student. Jeden kąć oddzielono od izby zasłoną i powstała w ten sposób nieduża komórka dla Irji. Żeby wszystko było obyczajnie. Kiedy byli tylko Tarjei i Tengel, nie miało to specjalnego znaczenia, lecz przyszły pastor musiał uważać na to, co wypada.

Okazał się on zresztą niebywale sympatycznym i prostym człowiekiem, przyjmującym wszystko co się wokół działo z wielką naturalnością.

Następny dzień był ciężki. Zmarł jeden chory ze Svartmyr i jeden w sąsiednim domostwie, a zaraza wybuchła w dwóch innych miejscach. Tego wieczoru po prostu zwalili się na posłania, gdy tylko zdążyli się umyć i przebrać. Irja nie pojmowała, jak jej skóra znosi takie nieustanne mycie. To nie mogło być szczególnie zdrowe.

Dni mijały - brutalne, wypełnione harówką. Oni jednak wiedzieli, że zaraza zaciskałaby swoje kleszcze dużo mocniej i rozprzestrzeniała się szybciej, gdyby nie ich wysiłki. Wciąż więcej było zagród, które jej uniknęły, niż tych, na które spadła. A nawet udało się w kilku dotkniętych nią gospodarstwach jakby trzymać ją w szachu. Lecz mimo to dzwony żałobne biły co dzień. Nie zdołali całkowicie zapobiec tragedii.

Los uderzał raz za razem.

Pewnego dnia przybiegł posłaniec z Grastensholm. Zaraza dotarła także tam.

Tengela oblał zimny pot. Nie odważył się spytać, kto zachorował.

W tym samym czasie zaraziła się Irja. Jej wyczerpany organizm nie miał dość sił, by przeciwstawić się chorobie. A zaledwie w godzinę później taki sam los spotkał diakona.

Tengel był na skraju wytrzymałości. Tarjei również. Ostatnie ciosy były wyjątkowo dotkliwe.

Ludzie Lodu są silni, powtarzał sobie Tengel, gdy włókł się razem z wnukiem do Grastensholm, śmiertelnie zaniepokojony o to, co tam zastaną.

Najpierw zachorowała Charlotta, po niej Jacob Skille. Także u Daga pojawiły się już pierwsze objawy.

Tengela paraliżował strach, ale jego myśli krążyły nieustannie wokół jednego: nikt z potomków Ludzi Lodu dotychczas nie zachorował! Ani Liv, ani Tarald, ani Sunniva.

Liv robiła, co mogła, aby pomóc swoim bliskim. Nie ustawała w wysiłkach, ufnie towarzysząc Tengelowi. On z kolei myślał o Irji i diakonie, którzy samotni i opuszczeni leżeli w małym domku na plebanii. Pomagali tak wielu ludziom, a teraz nie było nikogo, kto by im przyszedł

z pomocą.

Ale nie mógł opuścić Grastensholm, akurat teraz nie. Wysłał tylko swego małego jeszcze, ale silnego wnuka, by zajrzał do nich i obszedł wszystkie dotknięte nieszczęściem zagrody, dokonując codziennej inspekcji. Charlotta była w takim stanie, że Tengel nie miał odwagi jej zostawić, nawet na krótko! Żywił nadzieję, że parafia wybaczy mu, iż cały dzień poświęcił

chorym w Grastensholm.

Na probostwie Irja leżała z uczuciem, że znalazła się na dnie nieszczęścia. Więc jednak mnie to nie ominęło, myślała z żalem. Na jaki okropny, upokarzający koniec mi przyszło! Nie ma w tym ani śladu piękna. Dobrze chociaż, że Tarald tego nie widzi.

Kto będzie mnie oplakiwał? Czy ludzie nie powiedzą raczej: to najlepsze, co tę biedną dziewczynę mogło spotkać, bo i czegoż mogła się ona w życiu spodziewać? Właściwie przecież zawsze chciałam umrzeć, czyż nie? - próbowała przekonać samą siebie. Czy nie pragnęłam zachorować i cierpieć tak bardzo, by śmierć wydawała się wybawieniem i bym przyjęła ją bez lęku? Tylko, że teraz nie wydaje mi się to najlepszym pomysłem.

Irja bała się i nie mogła temu zaprzeczyć. Bardzo pragnęła mieć kogoś przy sobie, najchętniej pana Tengela, choć zarazem chciałyby zniknąć, ukryć swoją nędzę.

Diakon był w równie ciężkim stanie; uświadamiała to sobie z przerażającą wyrazistością.

Chciała go prosić, by się za nią modlił, lecz nawet nie mogła poruszyć wysuszonymi na wiór wargami. Woda do picia, którą miała przy łóżku, skończyła się, gorączka paliła ciało, pulsowało jej w skroniach i znowu poczuła bolesne skurcze w żołądku, ostrzegające, że zaraz będzie musiała iść do wiadra w sieni. Ale już nie była w stanie się podnieść!

- Boże! - modliła się w duchu. - Pomóż mi! Choć tak mało jestem warta, chciałabym żyć, mimo wszystko! Chciałabym zobaczyć wiosną przylaszczki w ogrodzie Grastensholm, chciałabym zobaczyć tarniny na Eikeby i kota pani Silje i... Nie, nie, fantazja mnie ponosi.

Tengel myślał z niepokojem o tych dwojgu leżących samotnie na plebanii. Tarjei jeszcze nie wrócił - co z nim? O Boże, a jeśli i on zachorował podczas tej wędrówki po całej parafii?

Charlotta zawinęła się szybko, po prostu nie miała wcale odporności, żeby przeciwstawić się chorobie. Skonała w ramionach Tengela. Ostatnie słowa, jakie zdołała wyszeptać, brzmiały:

- Dag?

- Wyjdzie z tego. Jest silny.

- Bogu dzięki! A Jacob?

55

- Nie wiem, Charlotto. Ale boję się, że może nie być tak dobrze.

Przyjęła to ze skinieniem głowy.

- Dbaj o moich bliskich, Tengelu!

- Wiesz, że zrobię wszystko, co w mojej mocy - zapewnił wzruszony.

- Dzięki ci za długie lata przyjaźni - szepnęła jeszcze.

- I tobie dzięki, Charlotto!

Uśmiechnęła się:

- Tengel dobry - dobiegło do niego ledwo dosłyszalnie, jak westchnienie. I to był koniec.

W trzy godziny później Jacob Skille podążył za swoją małżonką.

Liv przez cały czas była przy Dag, nie opuszczała go ani na moment. I rzeczywiście zaczęło wyglądać na to, że Dag przezwycięży chorobę.

Silje... myślał Tengel, gdy bezgranicznie smutny opuszczał Grastensholm. Silje nie należy do Ludzi Lodu. Drobna Meta także nie. One nie miałyby siły na walkę z chorobą.

Na razie jednak morowe powietrze nie dosięgło Lipowej Alei.

I tak miało już pozostać. Zaraza zaczęła powoli wygasać, aż w końcu dała za wygraną.

Choć trzeba powiedzieć, że żadna parafia w dystrykcie Akershus nie poradziła sobie z nią tak łatwo jak Grastensholm.

Eikeby pozostało nietknięte. Tengel pomyślał wprawdzie, cokolwiek bluźnierczo, że akurat tam bardzo by się przydało gruntowne mycie, lecz natychmiast tego pożałował. Także Klaus mógł ze zdumieniem stwierdzić, że zaraza ominęła jego dom. A gdy już w to uwierzył, obejmował po kolei całą swoją rodzinę i płakał ze szczęścia.

Do ostatnich zadań Tengela w zmaganiach z krwawą biegunką należały próby ratowania Irji i młodego diakona. Zbyt długo leżeli pozostawieni sami sobie. Kiedy siedział przy łóżku dziewczyny i wkładał świeżą bieliznę na jej przyciężkie, nieforemne ciało, pomyślał jakie to jest niesprawiedliwe, że taka piękna dusza obiera sobie za mieszkanie takie pozbawione urody członki. Nogi Irji były krzywe jak młyńskie koło, kręgosłup przypominał literę S i odnosiło się wrażenie, że biodra i klatka

piersiowa łączą się z sobą bez najmniejszego przewężenia tam, gdzie powinna być talia. Biedactwo. Uśmiechała się do niego blado, jakby przepaszając za swój wygląd i za tę swoją upokarzającą sytuację. Tengel uśmiechał się także, pragnąc dodać jej odwagi.

56

Cud ponad wszystkie cudy, ale Irja i diakon mimo wszystko przeżyli. Los bywa jednak podstępny i pastor, który odprawiał pogrzeby najszybciej jak potrafił, a poza tym w ogóle nie pokazywał się w parafii, wpadł w bezlitosne szpony zarazy. Ale wtedy nie wspomniął już ani słowem o karze na bezbożników.

Dzwon żałobny bił po raz ostatni właśnie po jego zgonie. Niedługo potem dzwonnik mógł ogłosić radosną wieść:

Zaraza została pokonana!

57

ROZDZIAŁ V

Parafia utraciła pastora. Rada kościelna zwróciła się zatem do młodego diakona z prośbą, by go zastąpił. Podczas zarazy ratował ludzi z bezgranicznym poświęceniem, nie bacząc na własne bezpieczeństwo i oni potrafili to docenić. Przybył biskup, by wyświęcić nowego proboszcza i wszyscy byli zadowoleni. Lepszego pastora nie mogli sobie życzyć.

Pewnego dnia zgromadzili się ludzie z całej wsi i tłumnie poszli do Lipowej Alei, z darem dla Tengela. Była to Biblia, którą z pomocą diakona kupili za zebrane pieniądze. Tengel, głęboko wzruszony, przyjął dar, mając u boku swych pomocników: Irję i wnuka Tarjeia. W głębi duszy zastanawiał się wprawdzie, czy wręczenie mu akurat Biblii nie miało jakiegoś ukrytego sensu. Czy nie chcieli delikatnie napomnieć go w ten sposób, że powinien swoje zbłąkane myśli skierować na właściwą drogę? Czy powodowała nimi troska o jego duszę? A może, całkiem po prostu, chcieli mu ofiarować coś, co uważali za cenne?

Rozmyślał o tym, podtrzymując mocno wychudłe ramię Irji, zbyt jeszcze słabej, by stać o własnych siłach.

Najstarszy mieszkaniec wsi podziękował im za ofiarność i za cud, który sprawili. Obecny przy tym młody diakon - wówczas jeszcze nie wyświęcony - także otrzymał należne mu podziękowania. Tengel opowiedział o niezwykłej teorii swego wnuka, Tarjeia, co do leczenia zarazy i o tym, że okazała się ona krokiem we właściwym kierunku. Silje przez cały czas ocierała ukradkiem oczy i czuła się taka dumna, dumna z nich wszystkich. To była naprawdę wielka, wspaniała chwila!

Wszystkie trudy ostatnich tygodni wyczerpały Tengela doszczętnie, nic więc dziwnego, że przez parę dni nie wstawał z łóżka. Zauważył nawet, że to wspaniale być samemu pielęgowanym i zastanawiał się, dlaczego wcześniej tego nie odkrył.

Dobiegały go uderzenia siekiery i zgrzyty piły w alei.

Are usuwał właśnie drzewo; które nagle straciło liście i uschło, a teraz, przy najbliższej burzy, mogło zwalić się na drogę. To była lipa Charlotty.

Tengel nie chciał myśleć o alei...

Powoli spokój spływał na parafię, ludzie znowu zajęli się codziennymi sprawami a Tengel mógł nareszcie zwołać planowane spotkanie z dziećmi i wnukami.

Och, jak boleśnie odczuwali nieobecność Charlotty! Jacoba, oczywiście, także, ale on był za życia postacią mniej widoczną niż energiczna baronowa Meiden. Wraz z nią odeszła cała epoka, wszyscy sobie to uświadamiali i nikt nie potrafił jeszcze o niej mówić. Rana była zbyt świeża. Smutek zbyt głęboki.

58

Irja także została zaproszona, co zresztą wszyscy uznali za rzecz naturalną. Stała się już częścią ich życia. A Silje wprost nie wyobrażała sobie, by mogła zostać bez jej pomocy. Irja była niezastąpiona, zawsze wiedziała, co Silje myśli lub czego sobie życzy.

W ostatnich dniach nadszedł list od Cecylii i Liv przeczytała go zebranych. Poczta z Danii szła bardzo długo i Cecylia nie wiedziała jeszcze nic o tragedii, jaka rozegrała się w domu.

„Kochana mamó i ojczó!” - czytała Liv. – „Och, jak daleko jestem teraz od Grastensholm!

Taka byłam niepewna siebie i oszołomiona, kiedy zaczynałam pracę. Ale znacie przecież swoją szaloną córkę, która nigdy nie przyznaje się do porażki. Nie dawałam więc niczego po sobie poznać. Właściwie podróż miałam bardzo dobrą, moi opiekunowie wszystko przygotowali i zajęli się mną. Dziękuję, dziadku, za lekarstwo przeciw morskiej chorobie, naprawdę pomagało. Rozdawałam je na prawo i lewo i dzięki temu stałam się ogromnie popularna. Zwłaszcza młoda hrabina Strahlenhelm była wdzięczna. Ona jest czarująca i dla mnie miła. Opowiedzcie to babci Charlocie! Będzie bardzo dumna!”.

Po tych słowach zaległa na chwilę smutna cisza. Liv musiała dyskretnie wytrzeć nos.

„Wczoraj hrabia Strahlenhelm towarzyszył mi na dwór królewski, gdzie zostałam przedstawiona. Jego Wysokości nie miałam szczęścia widzieć, ale za to napatrzyłam się aż za dużo pani Kirsten. Myślę, że jej nie lubię. Patrzyła na mnie, jakbym była powietrzem i powiedziała: - Baronówna Meiden? Czy ona sobie wyobraża, że należy do szlachetnie urodzonych? Myśli, że jest kimś? - Wcale też nie chce płacić za moją pracę. Jakby wyświadczała mi wielki zaszczyt i to ja powinnam za niego płacić. Będę jednak dostawać moją pensję, mimo wszystko, za jej plecami. Mówią, że ona jest niebywale skąpa. Teraz znowu oczekuje dziecka. Ja poznałam tylko dwie małe dziewczynki, jedna z nich ma na imię Anna, zdaje mi się. To nimi właśnie mam się zajmować. Biedne dzieci!”

List kończył się barwnymi opisami, jak wspaniałe jest wszystko na zamku.

Gdy już skomentowali te wiadomości, ucieszeni i przejęci radością Cecylii, odezwał się Tengel.

- Wszyscy, mniej lub bardziej szczegółowo, słyszeliście historię o Ludziach Lodu, więc nie muszę tu jej powtarzać...

- To dobrze - przerwał mu Trond. - Bo znamy ją na pamięć.

Tengel odwrócił się i zmierzył chłopca wzrokiem.

- Tak. Ale sprawa nieoczekiwanie stała się bardzo aktualna. Koniecznie musimy o niej porozmawiać.

Trond milczał zawstydzony.

59

- A zatem, raz jeszcze sprawa dotyczy Tengela Złego, który czterysta lat temu postanowił

zaprzedać swoje życie Szatanowi. Jak wiecie, ja w Szatana nie wierzę. On nie istnieje, za nasze grzechy powinniśmy odpowiadać sami, nie zaś zrzucać winę na niego. Ale ów pierwszy Tengel był człowiekiem wyjątkowo złym, a jego umiejętności, jeśli chodzi o czary, wprost nieograniczone. Temu zaprzeczyć nie możemy. Jak wiecie, zło stało się dziedziczne, przechodzi w naszym rodzie z pokolenia na pokolenie. Wam zostało to oszczędzone, i jestem z tego bardzo rad. Wiecie też, że Tengel zakopał naczynie z wywarem, który pomaga przywołać Szatana. Dopóki to naczynie spoczywa w ziemi, dopóty na potomstwie Tengela ciążyć będzie przekleństwo. Tengel Zły pragnął bowiem, aby ktoś z nas stał się równie zły jak on i służył Szatanowi. Nie zostaniemy uwolnieni, póki nie znajdziemy naczynia. A zatem, czy w to podanie wierzymy, czy nie, pozostaje faktem, że od czasu do czasu pojawiają się w naszym rodzie nieludzkie, powiedziałbym, osoby.

Tarjei przerwał:

- Czy to oznacza, że w naszej rodzinie może urodzić się ktoś, kto będzie wiedział więcej o sprawach ponadnaturalnych niż inni na świecie?

- Tak, dokładnie to. Ale taki człowiek wciąż jeszcze się nie narodził. Wiemy wszakże, iż nasze dziedzictwo dotyczy nie tylko zła. Wiąże się z nim ogromna wiedza o sprawach tajemnych. A także wielki zbiór starych przepisów i recept. Postanowiłem, że ten zbiór odziedziczy Tarjei, uważam bowiem, że potrafi on wykorzystać te skarby w najwłaściwszy sposób. Teraz jedyni żyjący potomkowie pierwszego Tengela z Ludzi Lodu siedzą w tym pokoju: ja sam, Liv, Are, Sunniva...

Dziewczyna drgnęła i ocknęła się z pełnego zachwyty zapatrzenia w Taralda.

Liv wtrąciła pospiesznie:

- I jeszcze Cecylia, ojczec. Nie ma jej z nami.

- Tak, rzeczywiście, to prawda. Zaczynam się chyba starzeć.

Z tym nikt się jednak nie zgodził.

Tengel mówił dalej: - Zatem ja, Liv, Are, Sunniva, Cecylia i Tarald, a także trzy łobuziaki Arego: Tarjei, Trond i Brand.

Twarze chłopców, siedzących rzędem na ławie pod surowym nadzorem Mety, rozjaśniły się na dźwięk wypowiedzianych przez dziadka ich własnych imion. Wszyscy trzej ubóstwiali Tengela.

- Jest więc nas dziewięcioro. Dziewięć osób, które noszą w sobie to straszne dziedzictwo.

Mieliście szczęście, że nikogo z was zło nie dotknęło. I wielu spośród nas żywi nadzieję, że zarodki zła powoli wygasają. Ale nie wiem, czy jest aż tak dobrze!

60

Wszyscy czuli, że Tengel zbliża się właśnie do istoty sprawy.

- Musimy uczynić wszystko, co w naszej mocy, żeby osłabić przeklęte dziedzictwo. To zaś oznacza, że ciągle musimy wprowadzać świeżą krew do naszego rodu. Ja sam w młodości chciałem spowodować, by dziedzictwo wygasło, by nie zostało przekazane dalej i postanowiłem nigdy się nie żenić. Wkrótce jednak uświadomiłem sobie, że byłoby to wyjście nieludzkie i niczego takiego nie mogę nakazać żadnemu z was. Ożeniłem się z Silje, osobą w żaden sposób z nami nie spokrewnioną. Liv wyszła za mąż za Daga, który też nie jest naszym krewnym, choć wychował się w naszym domu. Are wybrał Metę, pochodzącą aż ze Skanii. I teraz, moje wnuki, proszę i zalecam wam: w żadnym razie nie zawierajcie związków małżeńskich w obrębie naszej rodziny! To mogłoby mieć katastrofalne następstwa. I przekazcie ten zakaz dalej, waszym przyszłym dzieciom i wnukom!

Jasna, przystojna twarz Taralda zrobiła się kredowobiała, a Sunniva wybuchnęła płaczem.

- Dziadku - wykrztusił Tarald. - Właśnie teraz, kiedy dziadek znowu odzyskał siły, chciałem prosić, żeby dziadek zgodził się na wyjątek od tej reguły. Miałem przyjść do dziadka i babci, do mamy i do ojca. Ale dziadek mnie uprzedził. Chcę się ożenić z Sunnivą.

- To niemożliwe! - głos Tengela zabrzmiał ostro, jak cięcie biczem.

- W takim razie nie chcę żadnej innej.

Och, Tarald, jęknęła Silje w duszy. Czy nie widzisz, jak bardzo ranisz Irję? Czy jesteś całkiem ślepy, ty egoistyczny potworze?

Tarald jednak nigdy nawet nie myślał o Irji w ten sposób.

Ona zaś siedziała z rękami na kolanach i wyłamywała palce. Pozwólcie mi stąd wyjść, myślała zrozpaczona. Nie zmuszajcie mnie, bym tego słuchała!

Tengel patrzył ze smutkiem na Taralda.

- Jesteś taki młody, chłopcze. Jeszcze wiele razy zdążysz zmienić zdanie. Sunniva, jako córka Sol i wnuczka mojej siostry, nie może zostać żoną mojego wnuka. To zbyt niebezpieczne. Tyle chyba rozumiesz? Zapomnijcie o sobie nawzajem, póki nie jest za późno. Taka jest moja najszczerza rada.

Niesamowicie pobladły Tarald szepnął ledwie dosłyszalnie:

- Już jest za późno.

Wszyscy dorośli jęknęli, aż echo odbiło się od ścian.

Tengel dyszał ciężko, co nie wróżyło nic dobrego.

61

- Tengelu, nie! - upomniała go żona.

Nikt prócz niej nigdy nie widział Tengela w gniewie. Teraz wybuchł z zatrwającą siłą.

Podszedł do Taralda, odtrącając Silje, która próbowała stanąć między nimi. Sunniva, krzycząc ze strachu, schowała się za plecami Daga.

Tengel chwycił śmiertelnie przerażonego Taralda i potrząsnął nim jak rękawicą.

- Coś ty zrobił, niegodziwcze? Coś ty zrobił?

- Dziadku! Nie! Ratunku! - krzyczał Tarald.

- Wiedziałaś przecież! - syczał Tengel.

Wyglądał teraz jak demon przybywający z piekieł, by zabić jednego ze śmiertelnych.

Wydawał się ogromny, jak jakiś olbrzym, miało się wrażenie, że wypełnia sobą cały pokój, a jego oczy pałały - żółte, unicestwiające.

- Wiedziałaś, że to grozi strasznym niebezpieczeństwem! I mimo wszystko zrobiłaś to!

- Ja nie wierzę w przesady - wrzeszczał Tarald, bliski hysterii.

- Idźcie się bawić chłopcy - powiedział Are do swoich synów.

Dwaj młodszy posłuchali, spłoszeni, lecz Tarjei został przy drzwiach, blady i przerażony.

Dag ocknął się wreszcie z odrętwienia i próbował ratować syna.

- Ojczy! Trzeba się zastanowić, co ojciec robi?

Tengel zawsze odnosił się do Daga z respektem. Toteż i teraz jego gniew opadł równie szybko, jak się pojawił!

- Przesady! - rzekł zmęczony. - Na wszystkich świętych! Żebyż to były przesady!

Wszyscy odetchnęli, poruszeni i strwożeni tym, co zobaczyli.

- Gdybyś widział moją matkę, umierającą po wydaniu na świat takiego monstrum jak ja, to byś nie gadał o przesadach, Taraldzie. Gdybyś widział naszą ukochaną Sol w jej najtrudniejszych chwilach, to byś bardziej uważał na słowa. Dag, ty przecież pamiętasz Hannę i Grimara. Dlaczego nie ostrzegłeś chłopca?

- Ależ zrobiłem to, ojcze. Liv i ja ostrzegaliśmy ich oboje, Sunnive też.

- I mimo wszystko nie posłuchałeś, Taraldzie?

- Myślałem, że przesadzają - odparł urodziwy młodzieniec, teraz bliski płaczu.

62

- A ty, Sunnivo? - wtrąciła się Silje. - Ty przecież obiecywałaś, że nie posuniecie się dalej niż do pocałunków.

- Nie zwalajcie winy na mnie - zaprotestowała gwałtownie Sunniva.

Tengel wyciągnął ją z ukrycia za plecami Daga.

- Nie, nie wolno ci się teraz uchylać od odpowiedzialności, Sunnivo! - rzekł ze złością.

Dziewczyna szlochała ze strachu.

- Teraz pójdziesz ze mną, pozbędziesz się tego płodu. I to natychmiast!

Chwycił ją za rękę i pociągnął za sobą.

- Nie! - wrzeszczała przerażona Sunniva. - Nie, nie, nie! To jest dziecko moje i Taralda i jeśli mi je dziadek odbierze, to ja też sobie odbiorę życie!

Tengel zatrzymał się.

- Jeśli nie pozbędziesz się tego dziecka, to ono zabije ciebie. Rozumiesz to?

- A ja nie wierzę! Nie wierzę w nic z tego... tam...

Do rozmowy wtrąciła się Liv.

- Ojcze... Już od tak dawna nic się nie stało. Wszystkie wasze wnuki są wspaniałe. A Tarald i Sunniva kochają się tak gorąco.

- Liv... dziecko najdroższe, nie mogę brać na siebie takiej odpowiedzialności.

Silje poparła męża.

- Musisz się pozbyć tego dziecka, Sunnivo. Nie rozumiem cię. Przecież obiecałaś mi, że nie posuniecie się za daleko.

- Och, babciu - odparła Sunniva zgnębiona. - Babcia jest taka staroświecka, babcia nie wie nic o miłości. O tym oszołomieniu, które człowieka ogarnia, kiedy...

- Dość, wystarczy Sunnivo! - przerwał jej Tengel gniewnie. - Jeśli ktoś rozumie znaczenie słowa miłość, to właśnie Silje, moja żona. Kochamy się oboje od czterdziestu lat. I możecie w to wierzyć lub nie, ale wciąż jeszcze żyjemy ze sobą! Zapewniam, że nie przemawia przez nas potrzeba osądzania. Ale to nie może się stać! To zbyt poważne, Taraldzie i Sunnivo.

Wasze drogi muszą się rozejść.

63

- W takim razie ja się zabiję - krzyknęła Sunniva i rzuciła się do kredensu, gdzie leżały noże.

Dramatycznym gestem przystawiła sobie ostrze do piersi.

- Sunnivo! - wrzasnął Tarald.

- Och, nie przejmuj się nią, ona próbuje tylko wymusić na nas zgodę - powiedział Tengel. -

Ta dziewczyna nigdy sobie żadnej krzywdy nie robi.

Nóż wypadł na podłogę z metalicznym stuknięciem.

- Nikt się mną nie przejmuje - pochlipywała Sunniva.

- Dziecko kochane - rzekł Tengel. - Gdybyśmy się tobą nie przejmowali, nie byłibyśmy teraz tacy niespokojni.

- Ale my z Taraldem przysięgliśmy sobie, że będziemy się zawsze kochać. Nie możecie nas zmusić do złamania tej przysięgi.

Tarald także zebrał się na odwagę.

- Dziadku, my będziemy kochać to dziecko, nawet jeśli będzie wyglądało tak jak dziadek.

Tengel musiał się uśmiechnąć, mimo przygnębienia.

- Tarald, jak możesz! - syknął Dag.

- No, co znowu? Co ja takiego powiedziałem?

Nagle pojął.

- Dziadku, proszę mi wybaczyć, nie miałem nic złego na myśli.

- Nie przejmuj się tym - Tengel, zmęczony, machnął ręką. - Życie Sunnivy jest ważniejsze.

Ale dziewczyna nie chciała niczego zrozumieć.

- Przecież ani mnie, ani Taraldowi niczego nie brakuje. To musi być piękne dziecko. I kochamy się oboje. Dobry Bóg nie może zrobić nam nic złego.

Silje cierpiała z powodu Irji. Musiało być dla niej straszne, słuchać powtarzanych w kółko miłosnych wyznań Taralda i Sunnivy. Irja jednak siedziała wyprostowana, z bladym, smutnym uśmiechem na wargach, jakby sytuacja tych dwojga młodych sprawiała jej przykrość.

Zresztą tak też i było. Szokująca nowina o dziecku podziałała na nią jak kubeł zimnej wody, sprawiła, że ujrzała samą siebie w innym świetle. Wydała się sobie śmieszna. Teraz 64

naprawdę głęboko współczuła Sunnivie. Irja nie знаła nikogo z tej rodziny dotkniętego złym dziedzictwem, oprócz pana Tengela. A czyż istniał ktoś lepszy od niego? Dlatego nie rozumiała lęku, który doprowadzał go niemal do utraty zmysłów.

Liv zaczęła niepewnie:

- Byłam wtedy chyba za mała, żeby pamiętać Hannę i Grimara, ale przecież oni nie byli tacy źli, ojcze?

- Ja widziałem nie tylko ich. Widziałem także innych. Aż nazbyt wielu.

- Ale to było dawno temu.

- Zdaje mi się, jakbym już kiedyś słyszała tę dyskusję - mruknęła Silje, a Tengel uśmiechnął się na te słowa

- Tak, to prawda. Kiedy Silje oczekiwała swego pierwszego dziecka, dyskutowaliśmy oboje o tym samym. Ja chciałem usunąć płód, ale uległem jej prośbom. I urodziła się Liv.

- No, a mama nie ma przecież żadnych złych cech - wtrącił pospiesznie Tarald. - Nie ma nikogo lepszego od niej.

Tengel skinął głową:

- Takie same rozmowy odbywały się, kiedy Silje chodziła z Arem. Tym razem Sol powstrzymała mnie przed zabiciem płodu.

- Dzięki ci, Sol - szepnęła Meta.

- Faktem jest, że baliśmy się tak samo jak teraz i cierpieliśmy tak samo za każdym razem, kiedy

kolejne dziecko miało się pojawić w naszej rodzinie. Gdy miał się urodzić Tarald, a potem Cecylia i gdy mieli przyjść na świat trzej chłopcy Mety. Pamiętacie zapewne obie, Liv i Meta, jak was błagałem, żebyście nie decydowały się na urodzenie dziecka...

Obie kobiety skinęły głowami, potwierdzając jego słowa.

- Ale odstąpiłem od tego, nie nalegałem - powiedział Tengel. - To byłaby niepotrzebna surowość. Zresztą, z drugiej strony, pokrewieństwo z Ludźmi Lodu daje też pewne korzyści.

Pochodzący z tego rodu zwykle nie mają wiele dzieci. Are i Meta, ze swoją trójką, osiągnęli rezultat rzadko spotykany.

Chwilę milczał. Zastanawiał się i widać było wyraźnie, że bawi się tą myślą.

- No więc? - powiedziała naburmuszona Sunniva. - Za każdym razem popełniał dziadek błąd. Dzieci się rodziły, zawsze takie, jak trzeba. Dlaczego ja miałabym urodzić inne?

65

- Czy nie wytłumaczyłem tego dostatecznie wyraźnie? Jesteście zbyt blisko ze sobą spokrewnieni. I pamiętaj o obu porodach Silje! Oba były tak ciężkie, że za każdym razem jej życie wisiało na włosku! Naprawdę była bliska śmierci!

- Tak, ale to chyba z tego powodu, że babcia nie miała dość sił. Ja natomiast jestem niezwykle silna.

- Czyżby? - Tengel uśmiechnął się ironicznie. - Kiedy jednak przychodzi co do czego, jesteś prawdziwą biedulką. I jakoś nigdy nie widziałem, żebyś się podejmowała najcięższych robót.

Ładna, lalkowata buzia Sunnivy skrzywiła się znowu do płaczu.

- Nikt mnie nie rozumie!

Tarald natychmiast znalazł się przy niej i pogłodził ją po policzku.

- Ja cię rozumiem, Sunnivo, przecież o tym wiesz.

Tengel westchnął.

- A co wy o tym sądzicie? Silje? Dag, Liv, Are, Meta? Nie mam już sił walczyć dłużej sam.

- Ja zgadzam się z tobą - odparła Silje.

- To niesprawiedliwe! - zawołała Sunniva. - Babcia wywalczyła sobie prawo urodzenia obojga dzieci, a ja nie mogę mieć nawet jednego!

Tarjei, o którym wszyscy zapomnieli, wtrącił cicho.

- Dziadek Tengel ma rację, Sunnivo. Jeśli w rodzinie istnieje jakieś obciążenie, to członkowie rodziny nie powinni zawierać pomiędzy sobą małżeństw. Bo dzieci mogą urodzić się z tym obciążeniem.

- Co ty o tym wiesz? - parsknęła Sunniva. - Ty zawsze jesteś taki strasznie mądry!

Popisujesz się tylko!

- A ty, Dag? - zapytał Tengel, nie zwracając uwagi na Sunnivę.

- No, nie wiem. Ale mam trochę wątpliwości.

- Dotychczas wszystko układało się tak dobrze - powiedziała Liv z wahaniem.

Are skinął głową.

- Wszystkie dzieci są wspaniałe.

Meta myślała to samo co Are. Jak zawsze.

66

Oboje młodzi wstrzymali dech.

Tengel usiadł obok Silje. Był bardzo zmęczony.

Oni wszyscy się mylą, myślał. Jest jeszcze ktoś, kto nosi w sobie dziedzictwo zła. Nie tak dawno znowu dostrzegłem żółty, koci błysk w pewnej parze oczu. Nic mi się nie wydawało poprzednio, widziałem dobrze. Jedno z moich wnucząt jest obciążone!

Właściwie to już podjął decyzję. Ten płód trzeba usunąć, ale działając otwarcie daleko nie zaszedł. Będzie musiał podać Sunnivie odpowiedni środek tak, by niczego nie zauważyła.

Tym razem nie ma żadnej Sol, która by mogła go powstrzymać!

Myśl o Sol sprawiła jednak, że przypomniał sobie o czym innym. Ona też próbowała zabić nie narodzone dziecko - Sunnivę. Ale jej się to nie udało. Sol, która umiała przynajmniej tyle samo, co on. Stracił wszelkie iluzje co do Sol. Był pewien, że miała wielu kochanków i przypuszczalnie uśmierciła wiele płodów. Ostatnie dziecko jednak miało zbyt silną wolę życia.

- Róbcie, co chcecie - oznajmił bezsilny. - Ale przy pierwszych oznakach, że z Sunnivą dzieje się coś niedobrego, usuwam ciążę, czy to jasne?

Wszyscy się zgadzali. Młoda para padła sobie w ramiona z radosnymi okrzykami. Irja uśmiechała się, ale jej oczy stały się czarne z żalu i osamotnienia. Robiła jednak, co mogła, by cieszyć się razem ze wszystkimi.

Tengel wstał i ruszył ku schodom prowadzącym do sypialni.

- Tylko pamiętajcie, że trzeba szybko wziąć ślub, przeklęte smarkacze!

Silje poszła za nim. Wchodziła na górę z wysiłkiem. Mąż zaczekał, by ją wesprzeć.

- Może przeniesiemy się na dół, Silje? Uniknęłabyś tych schodów.

- No wiesz, to byłoby przyznanie się do porażki. A poza tym musielibyśmy przenosić się znowu, kiedy mi się poprawi.

- Tak, masz rację - roześmiał się z nadzieją, że ten śmiech zabrzmi szczerze.

- Czy pomyślałeś o tym, Tengelu - rzekła po chwili, siadając ciężko na skraju łóżka. - Czy pomyślałeś, że kiedy urodzi nam się pierwszy prawnuk, to ja będę znała już ludzi z siedmiu pokoleń?

- Jak to? Jakim sposobem?

- Posłuchaj tylko. Pamiętam jeszcze matkę mojej babki. To są trzy pokolenia wstecz. Sama należę do czwartego. No i teraz będą trzy pokolenia po mnie. Dzieci, wnuki i prawnuki.

67

- Tak, masz rację. Myślę, że to niezwykle.

- Prawda?

- W takim razie ja też muszę ci coś wyznać. Będę znał osiem pokoleń! Bo ja pamiętam jeszcze babkę mojego dziadka! To była prawdziwa stara wiedźma. A ci z naszego rodu, którzy przynoszą na świat dziedzictwo zła, żyją bardzo długo, wiesz przecież. Za to nigdy nie widziałem swojej matki, tak że chyba nie mam się czym przechwalać.

Gdy już pomógł Silje położyć się do łóżka i dał jej ziołowego naparu na sen, stał jeszcze długo i patrzył na swoją śpiącą żonę. Serce miał ciężkie, jak ołów.

Innym potrafię pomóc, myślał. Pomagałem setkom, ba, tysiącom ludzi. A dla niej, którą kocham więcej niż własne życie, nie mogę zrobić nic. Jeśli ona odejdzie, to i ja nie potrafię dłużej żyć. Jej lipa w alei zaczyna chorować, Silje jeszcze tego nie zauważyła, lecz Are już wie. A wczoraj zauważył to również Tarjei. Prosiłem ich, by milczeli.

Tengel westchnął ciężko, z lękiem. Znam tę chorobę. Szybko, bardzo szybko, będę musiał

obciąć jej nogę nad kolanem, żeby zło nie rozeszło się poprzez szpik po całym ciele. Na tę chorobę nie mam lekarstwa. Na razie jeszcze moje ciepłe dłonie przynoszą jej ukojenie, wkrótce jednak i to pomagać będzie na bardzo krótko. Wkrótce też nie będzie mogła brać silniejszych środków na uśmierzanie bólu.

Och, jakie życie bywa okrutnie niesprawiedliwe.

Silje zauważyła, że chociaż Liv i Dag odnosili się do Sunnivy bardzo życzliwie, to jednak pragnęli innej przyszłości dla swojego jedyne go syna. Nawet nie to, że chcieli go posłać na studia, bo Tarald był urodzonym gospodarzem i pragnął całkowicie się temu zajęciu poświęcić. Był jednak baronem, a to zobowiązuje. Nie powodował nimi w żadnym razie snobizm, mieli po prostu wątpliwości, czy Sunniva jest tą najlepszą kandydatką na panią Grastensholm.

Takie Silja odnosiła wrażenie. I to sprawiła, że wzięła stronę Sunnivy, mimo iż w gruncie rzeczy zgadzała się z rodzicami Taralda. To chyba naturalne, że współczuła tej dziewczynie.

Pragnęła, by Sunniva czuła się akceptowana. Pewność i wiara w siebie to cechy, na których jej stanowczo nie zbywało.

Sama też starała się być dla niej szczególnie miła w tym trudnym okresie, gdy nieoczekiwane przeciwko młodemu zostało skierowane tyle niechęci.

Tarald musiał sobie radzić sam. To on powinien był wiedzieć lepiej, a poza tym często traktował swoją przyszłość zbyt lekkomyślnie. Teraz zobaczył do czego to prowadzi, jeśli się nikogo nie słucha, tak, jakby człowiek był tylko sam na świecie.

68

Uważali, że ślub powinien być cichy i dyskretny, tylko dla najbliższych. Ale Sunniva chciała mieć mnóstwo gości. Po licznych wahaniach, także moralnej natury, rodzina zgodziła się -

ze względu na Sunnivę.

Irja została, rzecz jasna, także zaproszona, lecz wymówiła się pilnymi zajęciami w domu na Eikeby.

- Rozumiem cię - powiedziała Silje któregoś dnia, gdy Irja przyszła jej pomagać.

- Tak, pani Silje, pani jedna wie, jak się czuję.

- I nikomu nic nie powiedziałam.

- Bardzo za to dziękuję! Przez chwilę myślałam, że już mi przeszło, to było wtedy, kiedy oni powiedzieli, że spodziewają się dziecka. Ale teraz jest jeszcze gorzej. Kiedy on patrzy na mnie tymi czarnymi, gorącymi oczyma i uśmiecha się tak, jakbym była dla niego kimś wyjątkowym, kręci mi się w głowie i muszę się powstrzymywać, żeby go nie dotknąć.

- O, znam ja to dobrze z czasów własnej młodości - uśmiechnęła się Silje. - Kiedy cierpiałam, beznadziejnie zakochana w Tengelu.

- Tak, tak. Nie ma chyba nic bardziej idiotycznego niż odrzucona dziewczyna, która siedzi i szlocha na ślubie ukochanego. Przecież nigdy nie liczyłam na to, że on zechce na mnie spojrzeć, ale co zrobić z głupim sercem?

- Masz rację - przyznała Silje, ściskając jej dłoń. - Serce nigdy nie słucha głosu rozsądku, to pewne!

- Baronowa Meiden prosiła mnie, żebym w najbliższym czasie była z Sunnivą tak często, jak tylko mogę. - powiedziała Irja bezbarwnie. - A ja, naturalnie, obiecałam, bo Sunniva, Tarald i ja zawsze byliśmy dobrymi przyjaciółmi. Ale tak się boję, że mojemu beznadziejnemu sercu sprawi ta ból. A co będzie, jeśli zacznę płakać?

Silje nigdy nie brała jakoś pod uwagę, że „baronowa Meiden” to jej własna córka, Liv.

- Gdyby ci było za ciężko, to zrzuć winę na mnie, Irjo. Powiedz, że ja cię prosiłam o pomoc.

Możesz tu przyjść i wypłakać się do woli.

- Dziękuję, jak to dobrze. Bo naprawdę bardzo bym chciała pomóc tej delikatnej, kochanej Sunnivicie. A wygląda na to, że ona też bardzo liczy na moją przyjaźń.

- O, w to wierzę - mruknęła Silje. - Jesteś takim dobrym dzieckiem, Irjo. Tengel jest tobą zachwycony.

Twarz Irji rozjaśniła się z radości.

69

- Naprawdę?

- Oczywiście! Chciałabym... Nie, nie mogę mówić takich rzeczy.

- Co takiego?

- Nie, tak nie można, Sunnivę przecież także bardzo kochamy.

Irja nie była taka głupia, żeby się nie domyśleć, co Silje chciała powiedzieć. Odwróciła się szybko, żeby nie było widać wyrazu jej twarzy.

- Próbowałam zdusić w sobie to uczucie - powiedziała po chwili. Bo to po prostu idiotyczne czerwienić się na widok mężczyzny, który świata nie widzi poza inną kobietą. Ma zamiar się z nią ożenić i jest ojcem jej dziecka. Który - proszę mi wybaczyć - spędza noce w jej objęciach. Nigdy mi się nie śniło, że mogłabym być aż taka głupia, zawsze zresztą uważałam, że tego rodzaju myśli są trochę chorobliwe. O, pani Silje, złościłam się sama na siebie, tłukłam głową o ścianę i starałam się wzbudzić w sobie zainteresowanie dla innych młodych mężczyzn, nie zastanawiając się, czy będą mnie chcieli, czy nie. Ale moje nierozsądne serce zawsze się temu sprzeciwiało. Sama siebie nienawidzę.

- Irjo, kochanie - szepnęła Silje serdecznie, starając się pocieszyć tę dużą, niezdarną dziewczynę. - Co gorsza, uważam, że ty jesteś za dobra dla tego szczeniaka, mojego wnuka! I co my zrobimy z tym twoim sercem?

- Tego nie wiem, niestety! - Irja zgnębiona próbowała się roześmiać. - Ale że jestem za dobra dla Taralda, o nie, to niemożliwe! Dla niego nikt nie jest dość dobry!

- Nie wolno ci na niego patrzeć aż tak bezkrytycznie, Irjo! Jeśli mam być szczerą, uważam, że oni są najmniej udanymi z moich wnuków. On i Sunniva.

- Może, ale są przecież tacy młodzi!

- Ty masz dokładnie tyle lat, co oni.

Irja roześmiała się.

- I co, uważa pani, że jestem szczególnie rozsądna?

Silje roześmiała się także.

- No, rzeczywiście, chyba masz rację.

Sunniva miała się dobrze. Jeśli zdarzało się czasami, że coś ją bolało, starała się nie zwracać na to uwagi. Wprost przeciwnie, była ostentacyjnie dzielna i zręczna, by dziadek Tengel nie mógł mieć żadnych zastrzeżeń do stanu jej zdrowia. Nikt jednak nie wiedział, jak wiele swojej pracy przerzucała na Irję, która tej zimy i wiosny właściwie już na stałe 70

zamieszkała w Grastensholm. Ktoś, kto się nie przemęcza do tego stopnia jak Sunniva, nie ma kłopotów, by wyglądać zdrowo i ładnie.

Było tak, jak Tengel się obawiał: środek, który miał wywołać poronienie nie zadziałał.

Sunniva także czepiała się mocno życia, nim przyszła na świat, mimo usilnych starań Sol, by się jej pozbyć.

Nic więcej nie można było zrobić. Pozostawało tylko czekać i mieć nadzieję.

71

ROZDZIAŁ VI

Cecylia siedziała oniemiała w swojej sypialni, we Frederiksborg, jednym z licznych królewskich zamków w Danii, i wpatrywała się przed siebie. W ręce trzymała list od matki.

Babcia i dziadek umarli?

A jej przy nich nie było!

Kochana babcia Charlotta, zawsze taka ruchliwa i serdeczna. Jak to możliwe, że nie żyje?

Cecylia miała wrażenie, że nie zniesie tej myśli. Ale to, niestety, prawda, nie sen. Musi się jakoś z

tym pogodzić.

I dziadek Jacob! Wiedziała oczywiście, że nie był jej prawdziwym dziadkiem, ale dla wnuków nie miało to żadnego znaczenia. Nigdy nie znały innego dziadka, a on zawsze był z nimi, odkąd pamiętały. Cecylia często biegała do niego po pomoc w tym lub owym, bo wszystko potrafił. Był duży, przyjazny i dawał poczucie bezpieczeństwa. Na ogół ludzie nie specjalnie się z nim liczyli, zawsze pozostawał w cieniu swojej energicznej małżonki, lecz dla rodziny był jak opoka i jeśli chodzi o Grastensholm, to wiedział wszystko.

Za jego czasów majątek był naprawdę w znakomitym stanie. Dziadek wciąż coś naprawiał albo ulepszał i zawsze wszystko mu się udawało.

A teraz także i jego zabrakło.

Ojciec też chorował podczas zarazy, i Irja. Ale oni wyzdrowieli.

„Miałaś szczęście, że wyjechałaś - pisała matka. - Choć tobie by chyba i tak nie groziło niebezpieczeństwo, bo my z Ludzi Lodu zawsze dajemy sobie radę”.

Cecylia poczuła nagle dojmującą tęsknotę za domem. I to nie po raz pierwszy!

Jej duńska wyprawa nie okazała się dokładnie tym, o czym marzyła. Siedziała teraz oto w wiejskim zamku i patrzyła jak zimowy mrok spływa powoli na mokrą, przejmująco zimną Zelandię. Przeniknęła ją dreszcz i skuliła się jeszcze bardziej w fotelu przed kominkiem.

W tej części zamku była sama. Tylko dwie małe królewskie córeczki spały w pokoju obok.

Służba mieszkała w innym skrzydle, a pani Kirsten ze swoim dworem pojechała na bal do sąsiedniego majątku. Króla Christiana w ogóle we Frederiksborg nie było.

Pokój wypełniały ciężkie meble w wytwornym, renesansowym stylu. Wszędzie ciemne, połyskliwe drewno. Służba szeptała o duchach, które straszą w tym skrzydle zamku.

Podniecające, pomyślała Cecylia ponuro. Złościło ją, że musiała się do tego przyznać, ale naprawdę trochę się bała.

72

A teraz ta straszna wiadomość o śmierci dziadków. Wszelka radość życia i odwaga opuściły ją nagle.

Zresztą i praca, którą wykonywała, też nie dawała szczególnego zadowolenia. Prawie każdego dnia dochodziło do spięć z ochmistrzynią dworu. Z panią Kirsten sprawy wcale nie układały się lepiej. Była tylko trzy lata starsza od Cecylii, ale jej pycha była zabójcza.

Najgorsze jednak, że stosowała niezwykle surowe zasady wychowawcze wobec małej Anny

Catheriny. Ileż to razy Cecylia musiała potajemnie pocieszać dziecko! Sophie Elisabeth była jeszcze za mała na bicie, ale dostanie za swoje w odpowiednim czasie, i o tym Cecylia myślała z lękiem. Ona sama, w rodzinnym domu, nigdy nie była tak surowo karana. I to za byle co! Nawet za rzeczy i zachowania dla trzyletniego dziecka zupełnie naturalne. Cecylię głęboko poruszała sytuacja dziecka, lecz jej skargi nie odnosiły skutku. Wręcz przeciwnie!

Powozy wjechały na dziedziniec i hałaśliwa, rozbawiona gromada ludzi wlała się do zamku.

Najwyraźniej przyjęcie dobiegło końca, wyglądało jednak na to, że dwór ma ochotę nadal balować w dużej sali zamkowej, o ile mogła wyciągać wnioski z tego, co słyszała.

Cecylia wciąż siedziała bez ruchu w swoim fotelu. Wiadomość o śmierci dziadków całkowicie odebrała jej chęć snu.

A więc Tarald i Sunniva wzięli ślub!

Ta myśl ją niepokoiła, nie sprawiała jej prawdziwej radości. Czy oni wiedzieli, co robią, czy też to takie młodzieńcze szaleństwo? Żadne z nich przecież nie spotkało jeszcze zbyt wielu rówieśników.

Cecylia nie wiedziała nic o dziecku, którego oczekiwała Sunniva. Liv nie zdobyła się, by jej o tym napisać. Jeszcze nie teraz.

W korytarzu rozległy się szybkie kroki i nagle drzwi otworzyły się gwałtownie. Do środka wszedł młody mężczyzna.

Początkowo nie zauważył Cecylii. Rzucił swój płaszcz na komodę i pogwizdując podszedł do kominka. Dopiero wtedy ją spostrzegł.

- O, przepraszam! - powiedział zmieszany. - Nie wiedziałem, że ktoś tutaj jest.

Cecylia pospiesznie podciągnęła nogi i ukryła pod spódnicą bosc stopy. Zbyt była zaskoczona, by cokolwiek odpowiedzieć.

Mężczyzna wziął swój, dopiero co odrzucony płaszcz i zamierzał wyjść.

- Proszę mi wybaczyć, to zwykle był mój pokój... Ale pani nie sprawia wrażenia szczególnie zadowolonej. Czy wydarzyło się coś smutnego?

W jego głosie brzmiało tyle życzliwości, że Cecylia zdobyła się na uśmiech.

73

- Wszystko jest smutne! - odparła cicho. - Akurat teraz nie widzę żadnych jasnych stron życia.

Nieznajomy znowu podszedł bliżej.

- Aż tak źle? - zapytał. - Czy mógłbym coś dla pani zrobić.

Cecylia zawsze była otwarta i ufna.

- O tak, wielkie dzięki, gdyby pan mógł tylko usiąść tu przy mnie na krótką chwilę i spróbować przekonać mnie, że istnieje mnóstwo rzeczy, z których można się w życiu cieszyć! Och, proszę mi wybaczyć, to niestosowna prośba.

- Nie, nie - zaprotestował szczerze i zapytał czy może usiąść w drugim fotelu. - Wie pani, ja sam też często potrzebuję kogoś, kto by mi opowiadał o wszystkim, co na świecie wartościowe.

- Pan? - zapytała zdumiona. - Ależ pan wygląda tak... Pan wygląda jak ktoś, kto ma wszystko!

Był to bardzo przystojny mężczyzna, zdaniem Cecylii zbliżał się do trzydziestki.

Ciemnobrązowe włosy, przystrzyżone równo nad czołem, z tyłu opadały na ramiona. Było coś dostojnego i czystego w jego męskiej twarzy, ale z brązowych oczu wycierał smutek, a gdy przyjrzała mu się bliżej, dostrzegła jakby zmarszczkę goryczy wokół zaciśniętych cierpko ust. Ubranie nosił wspaniałe, ale był na balu, więc włożył pewnie co miał

najlepszego.

- Wszystko? - roześmiał się krótko, choć nie zabrzmiało to zbyt radośnie. - Owszem, ale bywa tak, że można mieć wszystko, a tak naprawdę nie mieć nic. Och, proszę mi wybaczyć!

Nazywam się Alexander Paladin, należę do ludzi króla, jestem kapitanem jego gwardii przybocznej. Moim dziadkiem ze strony matki był książę Schwartzburga, ja sam jednak jestem tylko margrabią. Pusty tytuł, bez znaczenia.

- Paladin... czy nie znaczy to tyle, co rycerz?

Twarz przybysza rozjaśnił na chwilę uśmiech.

- Owszem. Ja się też zresztą czuję jak rycerz. Niestety, jestem ostatnim z rodu, więc nazwisko pewnie zaginie.

Chyba niekoniecznie tak musi być, pomyślała Cecylia, ale nie odważyła się wypowiedzieć tak poufalej uwagi.

- A ja mam na imię Cecylia i jestem córką barona Daga Christiana Meidena - przedstawiła się.

74

- Jest pani Norweżką?

- Tak. Pracuję tutaj jako opiekunka królewskich dzieci.

- Acha! - rzekł wolno i znowu usiadł wygodniej w fotelu. - To pani jest tą osobą, która ma odwagę przeciwstawiać się ochmistrzyńni! Jest pani naprawdę dzielna! Zarówno ona, jak Kirsten szukają

sposobu, żeby zrobić z pani siekane kotlety.

- Po prostu nie lubię, kiedy bije się małe dzieci.

- Tak - rzekł w zamyśleniu. - Ma pani rację. Takie traktowanie może spowodować nieodwracalne zmiany psychiczne.

Cecylia spojrzała na niego pytająco, lecz on już zmienił temat.

- Jak widzę, uważa pani, że życie jest ciężkie. I ten list w pani ręce. Czy to on ma taki ponury wpływ na pani nastrój?

- Niestety, tak. Moi dziadkowie zmarli w wyniku epidemii. Być może komuś postronnemu nie wydaje się to takie straszne, ale oni znaczyli dla mnie bardzo wiele. Mimo wieku byli tacy cudownie młodzieńczy, pełni życia.

- Rozumiem panią. Tacy ludzie zawsze pozostawiają po sobie pustkę.

- Tak, właśnie. Mam wielu krewnych o takim usposobieniu. Dziadkowie ze strony matki są zupełnie fantastyczni! Powinien by pan ich spotkać. Jestem pewna, że pan by ich rozumiał. I rodziców także mam wspaniałych.

- Dlaczego więc jest pani taka przygnębiona? - zapytał rozbawiony jej szczerym ożywieniem.

Cecylia machnęła ręką.

- Po prostu dlatego, że tak się wszystko zbiegło. Wiadomość o śmierci dziadków, te niełatwe stosunki tutaj, gdzie pracuję, czuję się niechciana przez wszystkich, z wyjątkiem dzieci... A jeszcze pogoda... Proszę spojrzeć na to szare, rozmokłe paskudztwo na zewnątrz! I te ponure pokoje. Przede wszystkim jednak dokucza mi samotność. Tak daleko od pogodnej atmosfery naszego domu, której chyba nie doceniałam, mieszkając tam...

- Kiedy jest się w pani wieku, tęsknota jest czymś naturalnym.

- Chyba tak. Wprawdzie, w każdej chwili mogłabym pojechać do domu, ale to by było jak przyznanie się do porażki. Poza tym myślę, że jestem potrzebna tym małym.

75

- W najwyższej mierze - potwierdził gość. - Niech pani trwa przy swoim, a ja będę panią wspierał. Nie mam wprawdzie wpływu na panią Kirsten ani na to drugie babsko, mam za to wpływ na króla. A to ma swoją wagę.

Nie zwrócił uwagi na to, że pośrednio wyraził się o pani Kirsten babsko. To chyba nie bardzo świadczy o uszanowaniu dla małżonki Jego Wysokości.

- Dziękuję - odparła Cecylia, przyglądając mu się badawczo. - Ale i pan nie wygląda radośnie. Czy

jest coś, w czym ja mogłabym pomóc panu?

Wyprostował się i westchnął.

- Jest pani spostrzegawcza. Ale pomóc mi...? Nie, tego pani nie może. Muszę jednak wyznać, że właśnie cała moja egzystencja zawisała na włosku, miła panno Cecyljo.

Cecylia pomyślała, że margrabia jest zapewne poważnie chory, jego wygląd mógłby na to wskazywać. Szkoda takiego przystojnego mężczyzny, westchnęła.

- Nie jestem chyba najlepszym towarzyszem dla pani - uśmiechnął się z poczuciem winy. -

Obarczam panią swoimi zmartwieniami.

- Po pierwsze nie powiedział pan jeszcze ani słowa o swoich zmartwieniach, a po drugie przy panu zapomniałam o moich - zaprotestowała Cecylia. - Czy mogę zaproponować panu kieliszek wina?

- Nie, dziękuję. Już i tak wypilem za dużo dzisiejszego wieczora. To dla mnie niebezpieczne.

- Chciałabym zapytać, proszę mi wybaczyć, ale czy pan jest chory, margrabio Paladin?

Margrabia przygryzł wargi. Po chwili wstał, pogładził ją delikatnie po policzku. Wzrok miał łagodny i smutny.

- Dobranoc, norweska panienko! I dzięki za tę chwilę!

Cecylia zerwała się na równe nogi.

- Chyba pana nie uraziłam?

- Nie, oczywiście, że nie - zapewnił, przyglądając się z uśmiechem jej bosym stopom. - Tylko chodzi o to, że akurat teraz odczułem głęboką potrzebę zwierzenia się pani. A tego nie powinienem robić. Niech się więc pani opiekuje dziećmi króla. I proszę pamiętać, że pomogę pani w razie jakichś kłopotów!

Po tych słowach wyszedł. Słyszała jego oddalające się w korytarzu kroki.

76

Cecylia kładła się do łóżka zamyślona. Jej własne zmartwienia wydawały się teraz bardziej odległe, w ich miejsce pojawił się smutek.

Mimo wszystko minęło sporo czasu, nim zasnęła.

* * *

Are chodził po posiadłości należącej do Lipowej Alei i spoglądał w niebo. Gorące, czerwcowe

słońce stało nad polami. Była niedziela i zbierało się na burzę, na prawdziwą burzę z piorunami.

Wszystkie pola pokrywało niezbyt jeszcze wyrosnięte zboże. Ulewa nie powinna wyrządzić takich szkód jak wtedy, gdy zboża są już dojrzałe, ale i tak miał nadzieję, że ulewy nie będzie. Nadmiar wody nie jest korzystny.

- Chmurzy się. Musimy wracać do domu - oznajmił dwóm swoim młodszym synom, którzy deptali mu po piętach. Brand, najmłodszy, słuchał z powagą mądrych słów ojca na temat uprawy roli, Trond zaś, średni, skakał przez rów, w tę i w tamtą stronę, całkiem pochłonięty zabawą.

Tarjei został w domu. Na ogół trzymał się z dala od gospodarstwa, jego myśli zajęte były zupełnie innymi sprawami. Od jesieni miał zacząć w Oslo naukę w szkole dla księży, bo innej nie było, a zresztą powołanie kapłańskie uważano w parafii za coś najpiękniejszego.

Tarjei jednak nie zamierzał zostać księdzem. Traktował tę szkołę jako pomost do uniwersytetu w Tybindze, gdzie naprawdę mógł się czegoś nauczyć. Tam studiował jego mistrz, którego chciał naśladować, Johann Kepler, i może, marzył Tarjei, będzie mógł kiedyś spotkać tego wielkiego matematyka i astronoma!

Ludzie z Lipowej Alei byli zawsze cierniem w oku starego pastora, tego który zmarł, gdy w okolicy szalała zaraza. Nie był nawet taki okropnie stary, tylko poglądy miał ciasne, skostniałe. Zżymał się na myśl o tym, iż w parafii jeszcze jacyś inni ludzie, oprócz niego, mogliby czytać i pisać. To by go w pewnym sensie pomniejszało w oczach parafian. Że asesor, baron Dag Meiden, posiadał te umiejętności, to rzecz naturalna i należało ją uznać.

Ale żeby kobiety...? Matka asesora, baronowa Charlotta, uczyła ich wszystkich od wczesnego dzieciństwa. Okropieństwo! Pastor, gdyby mógł, spaliłby ją na stosie jako czarownicę. Na przeszkodzie stał jednak pan Tengel. Wysoko postawieni panowie w Akershus nie pozwalali zaczepiać Tengela ani nikogo z jego rodziny.

Tak więc wszystkie dzieci i wnuki, które uczyła, posiadały część tych umiejętności, które w żadnym razie nie powinny być dostępne zwyczajnym ludziom. Jacyś smarkacze, którzy - to musiał przyznać - wiedzieli więcej niż on sam.

Pastor oburzał się tak bardzo, że o mało nie dostał z tego powodu wrzodu żołądka.

Natomiast do młodego pastora, tego, który w okresie choroby starego proboszcza był diakonem, wszyscy odnosili się z wielką życzliwością. Miał na imię Martin, więc gdy został

77

pastorem, nazywano go panem Martiniusem. Kształcił się w Trondheim, przy katedrze Nidaros. Praca w kościele w Grastensholm była częścią przygotowania się do służby parafialnej i nikt bardziej niż on sam nie był zdumiony tym, jak szybko został pastorem.

Zaraza jednak poczyniła ogromne spustoszenia szczególnie wśród duchowieństwa, większość

pastorów bowiem - w przeciwieństwie do jego przełożonego, proboszcza z Grastensholm - z całym samozaparciem i poświęceniem odwiedzała chorych.

Młody pastor świetnie wiedział, że to pan Tengel i jego wnuk Tarjei uratowali mu życie. I mimo że Tengel nigdy nie pokazywał się w kościele ani też nie przejawiał żadnego zainteresowania wiarą, nawiązał się między nimi stosunek głębokiego zrozumienia.

Gdy Are i chłopcy wrócili do Lipowej Alei, zastali dom wyludniony.

Are poszedł na górę, do Silje, która teraz już prawie nie wstawała z łóżka.

- Gdzie są wszyscy?

- Jeśli mówiąc „wszyscy” masz na myśli swojego ojca, to pobiegł do Grastensholm - odparła Silje wesoło. - Gdyby malec się pospieszył, to mógłby się urodzić jako niedzielne dziecko.

- A, czyli czas nadszedł - mruknął Are, zdjęty niepokojem, który odczuwają wszyscy, gdy ma się narodzić nowe dziecko. - Tarjei był dzisiaj w domu. Gdzie on się podziewa?

- A jak myślisz? Przecież nie odstępuje dziadka ani na krok, a już zwłaszcza jeżeli chodzi o takie interesujące wizyty u chorych.

- Wygląda na to, że mama jest zadowolona.

- Owszem. Sunniva była przez cały czas taka zdrowa. A kiedy sobie przypomnę jak okropnie ja się czułam, kiedy rodziłam Liv, to wierzę, że wszystko pójdzie dobrze, Are. Pomyśl, mój pierwszy prawnuk!

- Oczywiście, że wszystko pójdzie dobrze!

- Ja wiem, że tak będzie - potwierdziła Silje spokojnie. - Bo Hanna przepowiedziała mi, że czeka mnie w życiu jeden wielki smutek. A ból, jaki odczuwałam po śmierci Sol był tak wielki, że nie może być nic gorszego. Więc jeśli chodzi o Sunnivę, to na pewno wszystko dobrze się skończy.

- Na pewno. Tylko czy Tarjei powinien być przy porodzie, matko? Mimo wszystko on ma dopiero czternaście lat. Czy nie posuwamy się za daleko?

- Tarjei nie jest zwyczajnym chłopcem, jak wiesz. On na wszystko patrzy z naukowego punktu widzenia. To będzie dla niego nowe doświadczenie.

Are wyglądał przez okno.

78

- Jeden ma siedemdziesiąt trzy lata, a drugi czternaście... Można być pewnym, że Sunniva otrzyma odpowiednią pomoc!

- Lepiej nikt by jej nie pomógł. A zresztą jest tam przecież Liv i Irja, i Tengel posłał po położną. Sunniva jest w najlepszych rękach.

- Czy wezwaliście pastora?

Uśmiech na wargach Silje zgasł.

- Dlaczego mielibyśmy to robić?

- Żeby pobłogosławił dziecko, to miałem na myśli - odparł Are pospiesznie.

- No, to chyba nie będzie takie pilne. Pastora wzywa się tylko, kiedy trzeba dziecko jak najszybciej ochrzcić. Uff, powietrze jest dzisiaj takie ciężkie, nie ma czym oddychać.

- O, tak, naprawdę nie ma czym. Będzie okropna burza.

- Nie, tylko nie to! Bardzo nie lubię burzy! Nie ma się gdzie przed nią schować. Piorun wszędzie człowieka znajdzie.

- Czy już kiedyś matkę znalazł? - uśmiechnął się Are.

- Nie, ale nigdy nie wiadomo.

- Lipowa Aleja jest dosyć bezpieczna. Grastensholm leży wyżej.

- Jeśli chciałeś mnie uspokoić, to ci się nie udało, niestety.

- Tak, rzeczywiście chciałem - przyznał Are, podśmiewając się po kryjomu z niepokoju matki.

Taka była wzruszająca w tym swoim naiwnym lęku wobec sił natury. Mimo całego doświadczenia, jakie w życiu zgromadziła i wbrew wszelkiej wiedzy, zachowała jakąś prymitywną prostotę; było w tym wiele uroku.

Niezwykła wydawała mu się myśl, że jego rodzona siostra zostanie teraz babką. Lata minęły prawie niedostrzegalnie!

Sam Are bardzo się zmienił. Był spokojny, opanowany, zrównoważony i przywiązany do ziemi, miał teraz trzydzieści pięć lat. Kochał swoich chłopców i Metę, chociaż irytował się czasem, gdy w trudnych sytuacjach działała po prostu niemądrze. Albo gdy, jako gospodyni, nie zawsze ze wszystkim nadążała. Ale można było na niej polegać w każdej sytuacji i powrót do niej, do domu, po ciężkim dniu pracy był ukojeniem.

Na swego najstarszego syna, Tarjeia, zawsze patrzył ze zdumieniem. Nie mógł pojąć skąd jemu wzięło się takie inteligentne dziecko. Tarjei bardziej był wnukiem Tengela niż jego i Mety synem.

- Czy mógłbyś przynieść mi szal, Are? - poprosiła Silje. - Tak mnie dzisiaj bolą plecy. To chyba ta burza.

- Tak, reumatyzm jest przykry - powiedział Are, będący jednym z niewielu, którzy podejrzewali, że choroba matki to coś znacznie poważniejszego niż reumatyzm.

Tengel nie zdobył się na obcięcie jej nogi. Taka interwencja kończyła się przeważnie śmiercią. Bezsilny patrzył, jak choroba się rozprzestrzenia i wciąż nierozumnie marzył o cudzie.

Silje starannie owinęła się szalem. Była przejęta i podniecona tym, co miało się wydarzyć w Grastensholm.

Poprzedniego dnia ona i Irja odbyły krótką rozmowę.

- Słyszę, że Liv i Sunniva prosiły cię, żebyś była przy porodzie? - zapytała Silje. - Będiesz w stanie?

Irja wahała się przez chwilę, zanim odpowiedziała,

- Czy mogę powiedzieć coś w sekrecie, pani Silje? Wczoraj spotkałam jednego chłopca z majątku Helle. I on... zapytał czy może przychodzić do mnie w konkury. Pani wie pewnie, że to bardzo przyzwoita propozycja.

- Oczywiście - uśmiechnęła się Silje. - Ja także miałam konkurentów kiedyś, we wczesnej młodości. No i co odpowiedziałaś?

- No... to było takie nieoczekiwane. Powiedziałam, że muszę się zastanowić. On jest bardzo miły.

Wszystko to razem było kłamstwem, wymyślonym naprędce przez Irję. Wiedziała bowiem, że pani Silje martwi się z jej powodu. A pani Silje nie powinna mieć zmartwień, taka jest teraz słaba.

- Czyli otrząsnęłaś się z tego? - zawołała Silje ożywiona.

- Z tego z Taraldem? Tak, Bogu dzięki. I powiedziałam Sunnivie, że bardzo chętnie przyjdę.

- Och, jak to dobrze! Sunniva tak strasznie potrzebuje twojej pomocy, naprawdę.

Tak, Irja wiedziała o tym. Czasami podejrzewała wprawdzie, że Sunniva wie o jej słabości do Taralda i świadomie ją dręczy, demonstrując w jej obecności jak bardzo są oboje szczęśliwi i 80

upokarzając ją poprzez krytyczne uwagi w obecności Taralda. Choć z drugiej strony trudno uwierzyć, że Sunniva mogłaby być taka wyrachowana. Ona jest po prostu bezmyślna.

A miłość Irji do Taralda? Och, to chyba nieśmiertelne uczucie. Nienawidziła tej miłości, ale nie potrafiła się od niej uwolnić.

Mrok opadał powoli na Grastensholm, bardziej ponury niż zwykle, z powodu granatowoczarnych

chmur.

I w końcu burza się rozpętała.

Liv, czuwająca w pokoju, gdzie leżała Sunniva, popatrzyła spłoszona przez okno i pomyślała o wysokiej zamkowej wieży, która wprost przyciągała do siebie pioruny. Dag i Tarald w pokoju myśleli to samo.

Wszyscy gonili resztkami sił po całym dniu czuwania w strasznym napięciu przy łóżku Sunnivy. Najbardziej zmęczona była naturalnie ona sama. Powieki jej zapuchły od powtarzających się silnych skurczów, a łzy płynęły nieprzerwanie. Dag i Tarald zostali teraz odesłani do sąsiedniego pokoju, bo rozwiązanie mogło nastąpić w każdej chwili. Bóle trwały już od dawna, choć jak dotychczas bez żadnych widocznych rezultatów.

Sunniva desperacko ścisnęła rękę Liv, a Irja ścierała jej pot z czoła. Byłoby przesadą twierdzić, że Sunniva jest dzielna i wytrzymała, ale też nie można oczekiwać wielkiej wytrzymałości po całym dniu takich męczarni.

Tengel był zgnębiony, a wzrok położnej wyrażał całkowitą dezorientację. Nie rozumiała co się dzieje. Dziecko powinno się już było urodzić...

Tylko Tarjei patrzył na wszystko trzeźwo i z zainteresowaniem. Bywał ze swoim ojcem w oborze i odbierał już różne małe zwierzęta, lecz dziś po raz pierwszy oglądał narodziny człowieka.

Na zewnątrz grzmoty stawały się coraz groźniejsze, burza jakby podpełzła bliżej. Powietrze w pokoju stawało się boleśnie ciężkie.

- Czy to się nigdy nie skończy? - jęczała Sunniva zirytowana. - Pojęcia nie macie, jak ja cierpię!

Oni zaś nie byli w stanie jej odpowiadać. Powtarzała to samo od wielu godzin. Nagle wstrzymała oddech i krzyknęła, jakby ją przebijano nożem. Tengel, stojący najbliżej, syknął

przerażony:

- Wyjdź, Tarjei! Wyjdź natychmiast!

- Ale ja miałem przecież...

81

- Wyjdź!

Urażony, niczego nie rozumiejąc, wyszedł Tarjei do czekających obok dwóch mężczyzn. W

drzwiach obejrzał się jeszcze i zobaczył, że wszyscy rzucili się do Sunnivy, która krzyczała nieprzerwanie, jakby postradała zmysły.

Krzyk Irji i Liv był jeszcze głośniejszy.

Dag, Tarald i Tarjei słuchali, oniemiaли ze zgrozy.

Za drzwiami dobiegały oszalałe wrzaski Sunnivy, głośnie polecenia Tengela i tupot szybkich kroków. Paniczne krzyki mieszały się, wszystko łączyło się w jeden chaos.

Irja wysunęła głowę przez drzwi. Twarz miała kredowobiałą, jakby lada chwila miała zemdleć, ubranie zalane krwią.

- Sprowadźcie pastora! Szybko!

- Zaraz jadę! - krzyknął Dag i poczuł, że ból przenika go jak ostrze noża.

- O, mój Boże - jęknął Tarald półgłosem. - Muszę tam wejść!

Tarjei zastąpił mu drogę.

- Nie, nie rób tego! Dziadek odesłał mnie nie bez powodu.

Twarz Taralda była zmieniona ze strachu.

- Sunniva - szeptał.

Przerażeni stwierdzili nagle, że wśród głosów dobiegających z tamtego pokoju brak jednego: jej rozdzierającego serce krzyku.

I nagle umilkło wszystko. Za drzwiami zaległa śmiertelna cisza.

Tengel poczuł, że wzrok mu mętnieje i widzi niewyraźnie. Głęboko wciągał powietrze, by powstrzymać łzy i przecierał oczy.

Odczuwał wokół siebie tylko przerażenie. Liv drżała na całym ciele, a twarz jej poszarzała.

Irja przykucnęła pod ścianą i płakała gorzko. Położna opadła na krzesło, bezradna, wstrząśnięta, niezdolna do najmniejszego ruchu!

W łóżku leżała Sunniva, rozszarpana, martwa.

A w pięknej kołysce przygotowanej zawczasu...

Nie zauważyli, że drzwi się otworzyły i do pokoju wszedł z wahaniem przerażony Tarald.

82

- Czy już po wszystkim? - zapytał i nieporadnie próbował uśmiechnąć się z nadzieją.

Liv pospiesznie rozpostarła prześcieradło na ciele Sunnivy.

Ale nie mogła przecież zasłonić wszystkich upiornych czerwonych plam w pokoju.

- Czy ona śpi? - spytał znowu Tarald niepewnie.

Pytanie było zupełnie bezsensowne, wszyscy widzieli wyraźnie, jak desperacko młody człowiek stara się utrzymać choćby cień dawnej radości. Któż by bowiem spał z wyrazem takiego bólu i lęku na twarzy?

Nikt nie zdobył się na to, by mu odpowiedzieć.

Nikt też nie był w stanie go zatrzymać, gdy ruszył w stronę kołyski.

Tengela zdjął strach, gdy zobaczył, że wnuk znieruchomiał niczym słup soli. Jakby został sparaliżowany i nie miał sił podźwignąć się z tego pochylenia nad kołyską. I jakby mu wzrok skamieniał.

Nikt nie zauważył, że do pokoju wślizgnął się Tarjei.

Tarald ocknął się w końcu i powoli wracał do życia. Błądził otępiałym wzrokiem po pokoju, a gdy spojrział na Sunnivę, zrozumiał wreszcie, w jak głębokim pograżona jest śnie.

Wydał z siebie jakby jęk albo na pół zdławiony krzyk zgrozy i wybiegł z pokoju, a potem z zamku, w ulewę, która się teraz rozpętała na dobre, i długo, bardzo długo pędził przez las, aż w końcu przystanął, kompletnie rozbity i załamany.

Oczy Tengela wyrażały już tylko smutek i żal. Jego dłoń zamknęła się na ręce Tarjeia.

Chłopiec stał i wpatrywał się w kołyskę. To, co tam widział, nawet jego trzeźwy, realistyczny umysł napawało zgrozą.

- Nieszczęsne dziecko - powiedział w końcu i to wyzwoliło u zebranych nieco cieplejsze uczucia niż tylko wstręt do nowonarodzonego.

- Tak - potwierdził Tengel cicho. - Masz rację.

Dziecko leżało z przymkniętymi oczyma. Nie krzyczało, poruszało tylko od czasu do czasu rączkami i nóżkami jakby w skurczach. Barki miało nieproporcjonalnie szerokie, z wystającymi kośćmi, które mogły rzeczywiście z czasem przypominać barki Tengela. Głowa dziecka wyrastała jakby wprost z beczkowatego ciała, a ręce były długie jak u małpy.

Smolście czarne włosy porastały większą część ciała. Twarz natomiast...

Tarjei i wszyscy pozostali, którzy nigdy nie widzieli Grimara, nie wierzyli własnym oczom. Nie przypuszczali nawet, że mogło istnieć coś równie odpychającego.

Liv przypominała sobie tamtych dwoje starych z lodowej doliny jak przez mgłę, uważała jednak, że to monstrum tutaj, w kołysce, jest dziesięć razy okropniejsze.

Mimo to jednak przenikała ją jakaś bolesna czułość dla tego nieszczęsnego maleństwa.

Przybył pastor w towarzystwie Daga. Tengel wyszedł im naprzeciw i wyjaśnił, co się stało.

Twarz Daga zrobiła się szara.

- Panie Martiniusie, trzeba go chyba jak najszybciej ochrzcić, prawda? I czy zechce się pastor pomodlić za jego biedną matkę?

- Naturalnie.

Weszli do pokoju zmarłej. Potrzebowali czasu, by otrząsnąć się z szoku, jakiego doznali na widok chłopca, choć byli przygotowani na to, co zobaczą. Oprócz Tengela Dag był tutaj jedynym, który pamiętał Hannę i Grimara. Przyszłość jawiła mu się teraz niby ciemny tunel.

Jego własna przyszłość, przede wszystkim jednak przyszłość tego malca w kołysce.

- Jakie imię dziecko otrzyma? - zapytał pastor, a w jego młodych, życzliwych oczach tliło się głębokie współczucie dla dotkniętej tragedią rodziny.

- Nie ma tu jego ojca - odparł Dag, głośno przełykając ślinę. - Gdybym jednak mógł coś powiedzieć, to proponowałbym Kolgrim. A Tarald może mu później nadać jeszcze drugie imię.

Pastor skinął głową.

Wszyscy uważali, że Kolgrim to odpowiednie imię. Słowo grim znaczy straszny, okropny; kol to węgiel, a przecież chłopiec był czarny jak węgiel.

- A czy ja także mogłabym mu nadać drugie imię? - zapytała Liv.

- Jakie?

- Upragniony.

Irja znowu wybuchnęła płaczem. Liv naprawdę rozumiała bardzo wiele.

- Niech się tak stanie - zgodził się pan Martinius.

Tak więc owo straszne małe monstrum zostało ochrzczone jako Kolgrim Upragniony.

Podczas ceremonii chrztu stało się coś wstrząsającego.

Matką chrzestną chłopca miała być Liv. Potrzebowała jednak całej siły woli, żeby wziąć go na ręce.

Z czasem będzie lepiej, pocieszała się w duchu. Gdy przywykniemy do niego.

Wtedy nieoczekiwanie dziecko otworzyło oczy. Wszyscy jęknęli mimo woli. Dziecko nie wydało z siebie najmniejszego nawet dźwięku, tylko jego przymrużone, kocio-zielone oczy wpatrywały się w Liv. Myśl, która w tym momencie przyszła jej do głowy była tak okropna, że Liv nigdy potem nie odważyła się wypowiedzieć jej głośno, wobec nikogo.

Pomyślała mianowicie: jakim sposobem takie maleńkie, nowonarodzone dziecko może wyglądać na istotę tak złą? To przecież niemożliwe!

Tengel także dostrzegł wyraz oczu małego. Przeraził się śmiertelnie i poczuł, że ogarnia go straszliwe zmęczenie. Pamiętał własne dzieciństwo. Czy to dziecko miało również doświadczyć tego wszystkiego, co stało się jego udziałem?

Gdy już zajęto się udreńczonym, martwym ciałem Sunnivy i gdy wszystko, co należało zrobić, zostało zrobione, Tengel poprosił, by Tarjei poszedł z nim do innego pokoju.

- Wiesz już, że to ty masz przejąć wszelkie środki lecznicze, cały zapas, jaki należy do Ludzi Lodu, prawda? Rozmawiałem już o tym z Liv, Dagem i twoim ojcem.

Chłopiec potwierdził skinieniem głowy.

- Tarjei, posłuchaj mnie teraz, to sprawa niezwykle ważna: nigdy, ale to nigdy nie pozwól, by cokolwiek z tego zbioru znalazło się kiedykolwiek w rękach tego nowonarodzonego chłopca!

On nie może dostać nawet najmniejszego źdźbła ziela, nic. I nigdy mu nie przekazuj tego, co umiesz! Rozumiesz mnie?

- Tak, dziadku. Ja też widziałem jego wzrok. To mogłoby być nawet interesujące, gdyby nie było takie tragiczne.

- Tarjei, mój przyjacielu - rzekł Tengel kładąc ciężko dłonie na ramionach chłopca. - Nie zapominaj nigdy, że przede wszystkim jesteś człowiekiem! Dopiero potem możesz być uczonym.

- Będę o tym pamiętał, dziadku.

Tengel wrócił do Liv i Daga.

- Powiedźcie mi... Czy chcielibyście, żebym ja... żebym dał coś dziecku? Zanim wszyscy się dowiedzą, że ono żyje?

- Nie, ojczy, proszę - jęknął Dag. - Rozumiem, co ojciec ma na myśli, ale to jest mój wnuk i chociaż przeraził nas jego widok i boimy się o jego przyszłość, to... No, to dziwne, oczywiście, ale ja czuję jakieś przywiązanie do tego biednego robaczka.

- Ja także - poparła męża Liv. - Właśnie o tym rozmawialiśmy. Chcemy spróbować mu pomóc, dać mu oparcie w życiu. Ojciec opowiadał nam o swoim trudnym dzieciństwie.

Obiecujemy, że on nie będzie musiał niczego podobnego przeżywać.

Tengel skinął głową na znak, że przyjmuje tę obietnicę.

- Z czasem chłopiec się zmieni. Włosy na jego ciele znikną wkrótce, a rysy znacznie złagodnieją. Wiecie przecież, że żadne nowonarodzone dziecko nie jest urodziwe.

- To prawda - rzekła Liv.

Tengel jakby się wahał przez chwilę.

- Pozwólcie mi jednak, bym zdał się w tym na was i wam wszystko przekazał. Nie jestem już w stanie temu podołać.

- Oczywiście! Dzięki za dotychczasową pomoc, ojcze!

Myśleli, że chodzi mu o wszystkie straszne przeżycia i lęki związane z porodem.

Pragnął ich oboje uściskać, ale to by ich pewnie zastanowiło.

- I ja wam dziękuję, moje dzieci! Przekażcie Taraldowi moje najlepsze pozdrowienia i powiedzcie mu, by nie zapomniiał, że to dziecko jest małą żywą istotą, która go potrzebuje.

- Powiniennem chyba pójść i odszukać go - zastanawiał się Dag.

- Nie. On sam wróci. Kiedy ten dławiący, ostry ból z powodu śmierci Sunnivy trochę przycichnie.

- Zajmiemy się chłopcem, ojcze - zapewniła Liv. Wyglądała na bardzo zmęczoną i przybitą.

- Irja obiecała, że mi pomoże. Jeśli tylko mama będzie mogła się bez niej obejść.

Tengel odwrócił się do Irji i pogłaskał ją po policzku. Nie zauważyła przedtem, że ten silny mężczyzna tak się zestarzał!

- Teraz jesteś tutaj bardziej potrzebna. Błogosławione dziecko!

Po chwili Tengel opuścił Grastensholm.

Deszcz przestał padać, ale burza wciąż swoim zwyczajem krążyła nad okolicą i teraz poczęła się znowu przybliżać.

Tengel szedł wolno ścieżką w stronę domu. Był taki zmęczony, taki śmiertelnie zmęczony!

Nie mógł nawet wyprostować swoich potężnych barków.

Ze względu na Silje starał się wyglądać młodo i krzepko. Teraz jednak czuł, że naprawdę ma siedemdziesiąt trzy lata. To podeszły wiek. Niewielu ludzi dożywa późniejszego.

Przystanął i popatrzył w ołowiane, nocne niebo. W domu leżała Silje i, pełna nadziei, oczekiwała wiadomości o swoim pierwszym prawnuku. Taka była dzielna, że prawie nigdy nie skarżyła się na bóle, a zresztą wierzyła, że dokucza jej tylko reumatyzm.

Teraz on miał jej rzucić w twarz wiadomość o strasznej tragedii. O śmierci Sunnivy. I o tym monstrum w kołysce.

To by ją załamało! Zniszczyłoby całą jej odwagę, radość życia. Bo nikt tak się nie troszczył o osieroconą Sunnivę, jak właśnie ona.

Nie mógł dłużej powstrzymać rozpaczliwego szlochu, który wyrwał się z jego piersi.

Wyszeptał ku ciemnym burzowym chmurom:

- No, jesteś teraz zadowolony z tego, co zrobiłeś przeklęty, zły Tengelu? Tam w górze pewnie ciebie nie ma, ale burzowa chmura może wysłuchać przekleństwa w twoim imieniu.

Wiesz, jak zatrąłeś życie moje i mojej ukochanej żony? Oczywiście, na pewno wiesz, jesteś teraz szczęśliwy i triumfujący. Wygrałeś, jeszcze raz wygrałeś!

Droga do domu zabrała Tengelowi dużo czasu. Wiedział dobrze, co się stało. Wiedział, że dzisiejszej nocy przyszło na świat zło. Zdarzało się, że wśród potomstwa Ludzi Lodu rodziły się potwory będące wcieleniem zła. To dziecko jest jednym z nich. Przypuszczalnie nie pozostaje bez znaczenia fakt, że jego dziadkiem jest Heming Zabójca Wójta. W tym człowieku bowiem dobra było niewiele.

Tengel chciał spać. Nie czuł się na siłach od nowa przejść przez to wszystko. Towarzyszyć temu chłopcu i raz jeszcze przeżywać swoje przejmujące dzieciństwo. Nie czuł się na siłach raz jeszcze stanąć do walki z ludzką głupotą.

W końcu burza zagnała go do domu. Nie od razu jednak udał się do siebie. Najpierw wszedł

do nowej, pięknej części, którą wybudował Are. Wiedział, że drzwi zostawiono otwarte na wypadek, gdyby Tarjei wrócił, ale chłopiec wolał przenocować w Grastensholm. Tengel wślizgnął się bezszelestnie do pokoju chłopców.

Po chwili obudził się Trond.

- Dziadek?

Tengel usiadł na krawędzi łóżka, zaraz obudził się także Brand.

- Chciałem tylko na was popatrzeć - szepnął Tengel. - I powiedzieć, że bardzo was kocham.

Te słowa uszczęśliwiły chłopców.

87

- My też dziadka kochamy - zapewniali, obejmując ramionami jego szyję.

Długo tak siedzieli, ale chłopcy nie zauważyli, że dziadek płacze. W końcu uwolnił się z ich uścisków i życzył dobrej nocy.

- Powiedzcie ojcu i mamie - szepnął - że ich także bardzo kocham.

Gdy wszedł do mieszkania, Silje siedziała w łóżku.

- No? No i jak poszło?

Mówiła wysokim, niecierpliwym głosem.

Tengel pochylił się, by podnieść szal, który upadł na podłogę. Jego głos był wyraźnie zdławiony i musiał to jakoś ukryć.

- O dobrze, wszystko świetnie!

- Tak? Ale powiedz nareszcie! Jesteśmy pradziadkami?

Tengel wyprostował się i powiedział z ożywieniem:

- Oczywiście, że jesteśmy! Duży, wspaniały chłopak!

- Naprawdę? - zawołała radośnie. - Nic mu nie jest?

- Nic w ogóle. Żadnych wad!

- A Sunniva?

- Sunniva czuje się dobrze. Wszyscy są tacy szczęśliwi.

- Och Tengelu, Tengelu! A myśmy tak się martwili, całkiem bez powodu. Wiedziałam, że wszystko się dobrze skończy. Słuchaj, czy ja bym mogła tam jutro pojechać? Mogę jechać do Grastensholm, odwiedzić ich? Zobaczyć nowego potomka?

Tengel musiał wciągnąć głęboko powietrze, nim zdołał odpowiedzieć.

- Oczywiście! Wszystko urządzimy. Możemy wziąć powóz i pojechać okrężną drogą.

- Och, jak się cieszę, ale czy ty nie jesteś przeziębiony? Masz chrypę!

- Chyba tak, zaraz sobie coś przygotowuję, Silje - mówił dalej. - Musimy uczcić narodziny prawnuka! Przyniosę butelkę wina. To już ostatnia i na dodatek na wpół opróżniona, ale wystarczy dla nas dwojga. A poza tym potrzebuję czegoś na przeziębienie.

- Teraz? Mamy pić w środku nocy? - śmiała się ożywiona. - Świetnie, niech będzie!

88

Tengel przystanął na chwilę.

- I wiesz...! Zapomniałem ci powiedzieć, że Tarjei i ja... udało nam się zrobić mieszankę ziół i mamy nadzieję, że powinna pomóc na twój reumatyzm. Nie tylko na bóle, ale i na sam reumatyzm.

- Nie, naprawdę? To by było wspaniałe, bo jeśli mam być szczerą, to bóle stają się niekiedy trudne do zniesienia. I taka się zrobiłam chuda. Jakby mi ten reumatyzm całkiem odbierał

apetyt.

Pogłaskał ją pospiesznie.

- Zaraz wypróbujemy tę mieszankę! Razem z winem, bo zioła są gorzkie. Tylko nie uśnij, dopóki wszystkiego nie przygotowuję. Silje znowu się roześmiała, a Tengel szybko zszedł na dół, do pokoju, którego Tarjei i on używali jako pracowni. Nie znalazł niestety żadnego nowego lekarstwa, choć Bóg jeden tylko wie, jak bardzo się starał.

Zamiast cudownej mieszanki wyjął dwie swoje najbardziej niebezpieczne trucizny. Jedna to silny narkotyk, wywołujący dobry nastrój, a potem piękne sny. Nalał jej sobie do małej szklanki i pospiesznie wypił, potem wlał taką samą porcję dla Silje.

Następnie sięgnął po drugi środek. Ręka mu drgnęła i zawahał się na moment. Opanował

się jednak, chwycił woreczek, wsypał sporą dawkę jego zawartości do butelki z winem i potrząsnął, żeby wszystko się wymieszało. Wytarł nos i oczy, po czym wrócił do żony.

- Proszę. Najpierw ta mała szklaneczka. To jest lekarstwo. Smakuje dość obrzydliwie, więc musisz to zaraz spłukać winem.

- Jak każesz - roześmiała się i zmarszczyła nos, gdy poczuła zapach lekarstwa.

- Silje, ty jesteś przecież prawie naga! - upomniał ją surowo. I to z twoim reumatyzmem!

Wyszukał najładniejszą nocną koszulę żony i pomógł jej przy wkładaniu. Sam także przebrał

się w nocną bieliznę, której używał na ogół rzadko.

- Nie powinienem marznąć - wyjaśnił.

Silje przytuliła się do niego.

- Wiesz, tak się bałam, kiedy leżałam tutaj sama, podczas burzy. Ale wiedziałam przecież, że oni, tam, potrzebowali ciebie bardziej niż ja. Nie muszę ci jednak mówić, jak się ucieszyłam, kiedy usłyszałam, że otwierasz drzwi.

Tym razem udało mu się uśmiechnąć naprawdę. Środek oszałamiający zaczynał działać.

- Za naszego wnuka, Silje! Wypijmy!

89

- Wypijmy, Tengelu! O, jak mi teraz dobrze!

Wypili wino, a potem leżeli spokojnie obok siebie, wsłuchując się w burzę, która znowu zdawała się oddalać.

- Czuję się tak wspaniale - szepnęła Silje zdumiona. - Czy to możliwe, że już działa lekarstwo na reumatyzm?

- Niewykluczone.

Tengel także czuł, że ogarnia go euforia, owo uniesienie, będące następstwem zażycia środka oszałamiającego.

- Tengelu, czy tęskniłeś kiedykolwiek do lodowej doliny?

- Nie. To chyba dziwne, ale nigdy. - A ty?

- Nie, żyło nam się przecież tak fantastycznie tu, w Lipowej Alei. A pamiętasz, Tengelu, jak kiedyś w dolinie kochaliśmy się na dworze, za domem?

Uśmiechnął się. Świadomość okrutnej prawdy gdzieś się ulotniła, przeniósł się znowu w lata młodości i wierzył, że to młoda Silje spoczywa na jego ramieniu. Przeżywał znowu pełnię szczęścia.

Silje przysunęła się jeszcze bliżej, westchnęła zadowolona i zasnęła. Wkrótce potem zasnął

także on.

Na zewnątrz burza odeszła gdzieś nad horyzont. Przedtem jednak, w jej gwałtownym porywie padła najbardziej uszkodzona lipa w alei. Została wyrwana z ziemi wraz z korzeniami, a waląc się pociągnęła za sobą drzewo rosnące po przeciwnej stronie drogi.

90

ROZDZIAŁ VII

Liv szła z naręczem kwiatów przez mały cmentarzyk, ku nowo wzniesionemu kamieniowi nagrobnemu. Potem stała przez chwilę, po raz kolejny odczytując wykuty w kamieniu napis: Tengel
Dobry z rodu Ludzi Lodu

1548 - 1621

Małżonka Silje Arngrimsdotter

1564 - 1621

Miłość była waszą szlachetną cnotą

- Pozostaniecie z nami na zawsze - szepnęła Liv. - Na zawsze!

U dołu kamiennej płyty znajdował się jeszcze jeden napis:

Sol Angelika z rodu Ludzi Lodu

1579 - 1602

Na wieczną pamiątkę

Sol nie miała własnego grobu. Rozczarowane władze zajęły się jej martwym ciałem tamtego ranka, kiedy miało ono być poddane wymyślnym torturom. Prawdopodobnie ciało Sol zostało spalone, a prochy wrzucone do masowego grobu. Dag zabiegał o wydanie mu zwłok siostry, lecz otrzymał kategoryczną odmowę.

Dlatego też Liv, Dag i Are postanowili wyryć ten napis na kamieniu nagrobnym rodziców.

Sama Sol byłaby prawdopodobnie wściekła, gdyby wiedziała, że jej imię umieszczono na chrześcijańskim cmentarzu, o tym jednak jej przyrodnie rodzeństwo nie wiedziało. Wierzyli, że postąpili jak należało i to ich uspokoiło. Teraz Sol nie była już sama.

Liv zatrzymała wzrok na imionach rodziców.

Ja wiem, co się stało ojciec. I nie mam do ojca o to pretensji. Postąpił ojciec słusznie, zarówno ze względu na siebie jak i na mamę. Ona przecież była skazana na śmierć, a ojciec bez mamy żyć by nie mógł. Na pewno ojciec oszczędził mamie straszliwej świadomości choroby i trudnych do zniesienia cierpień. Ale my jesteśmy bez was obojga tacy samotni!

Także pan Martinius rozumiał jak to się stało, że Tengel i Silje odeszli tej samej nocy. Nic jednak nie dał po sobie poznać, po prostu i bez żadnych komentarzy pochował na chrześcijańskim cmentarzu Tengela - ateistę, samobójcę i człowieka, który uśmiercił żonę, 91

by oszczędzić jej cierpień. Rozdzielić tych dwojga po śmierci, tego by nie potrafił. Zresztą zostali tu pochowani gorsi od Tengela poganie, nawet jeśli formalnie należeli do kościoła.

Pastor wyraził też zgodę, by wyryto imię Sol na kamieniu nagrobnym. Tamte wydarzenia rozegrały się dawno temu, nikt już nie pamiętał polowania na czarownice. A pan Martinius nie znał bardziej szczerych i bardziej uczciwych ludzi niż potomstwo rodu Meidenów i rodu Ludzi Lodu.

Liv błędziła myślami wokół spraw rodziny. Zastanawiała się jak długo byłby jeszcze z nimi Tengel, gdyby nie odebrał sobie życia.

Zdawał się być w jakiś sensie nieśmiertelny. Hanna... Prawie nie pamiętała Hanny. Ale była to osoba strasznie stara, a mogłaby zapewne być jeszcze starsza, gdyby nie została zamordowana.

Z dreszczem grozy Liv pomyślała o swoim wnuku. Ile lat mógłby on... Wyprostowała się. Ja go kocham, szepnęła zrozpaczona sama do siebie. Tak właśnie jest!

Ułożyła kwiaty w stojących na grobie wazonach i naląła im wody, po czym odeszła parę kroków dalej, gdzie mieścił się grobowiec Meidenów. Spoczywała tu stara baronowa, przy niej Charlotta i Jacob. A niedawno wstawiono nową trumnę, trumnę Sunnivy, żony Taralda.

Tutaj Liv złożyła resztę przyniesionych kwiatów.

Obok krypty siedział, jak zwykle, jej syn. Delikatnie położyła mu dłoń na ramieniu.

- W każdym razie ona była osobą kochaną - rzekła, chcąc go pocieszyć.

Tarald wstał.

- Och, mama niczego nie rozumie! Nic mama nie wie o tym smutku, który pali moje wnętrze i wprost mnie zżera!

Odszedł pospiesznie, a Liv ogarnęły wyrzuty sumienia, że to jej obecność wygnała go stąd.

Takiego zamiaru przecież nie miała.

Pastor, pan Martinius, stanął w drzwiach kościoła i dostrzegł Liv przy grobowcu. Podeszedł, by się z nią przywitać.

Przez chwilę rozmawiali o pogodzie i o wietrze, a w końcu pastor rzekł:

- Wygląda pani dziś na zmartwioną, pani baronowo...

Liv drgnęła.

92

- Naprawdę? No, tak, chyba tak. Martwi mnie nie tylko głęboki smutek mego syna. Teraz chodzi także o Cecylię, naszą córkę, która pracuje w Kopenhadze, na królewskim dworze.

Pan Martinius stał, jakby czekając na dalsze wyjaśnienia. Wiele słyszał o Cecylii.

- Nie jest szczęśliwa, panie Martiniusie. Z dziećmi króla co prawda układa się wszystko dobrze, Cecylia opiekuje się teraz dwojgiem. Dziewczynką, imieniem Leonora Christina, a ostatnio, ku wielkiemu zadowoleniu króla, także małym chłopczykiem. Ale matka dzieci, pani Kirsten, nie jest dla Cecylii miła. I Cecylia nie może przyjechać do domu z wizytą i...uff, nie, nie mogę już więcej narzekać! Słyszałam, że pan zamierza się ożenić, panie Martiniusie.

Tak się cieszę!

- Dziękuję! Tak, mam zamiar się ożenić. Ona jest moją młodzieńczą miłością, jeśli tak można powiedzieć. Ma na imię Julia, nasi rodzice byli sąsiadami. Julia jest córką proboszcza z katedry. To czarująca dziewczyna, taka czysta i bardzo piękna. Kiedy byłem małym chłopcem, mogłem o niej tylko marzyć, ale gdy zostałem pastorem, odważyłem się jej oświadczyć. I proszę sobie wyobrazić, Julia powiedziała tak!

- O, jeszcze by tego brakowało, żeby odmówiła! - roześmiała się Liv. - Też bym się zgodziła, gdybym była na jej miejscu. No, ale proszę mnie źle nie zrozumieć, ja mam swojego Daga.

On też jest moją młodzieńczą miłością. Tak więc jesteście oboje wierni, pastor i ja.

- Tak, na to wygląda - uśmiechnął się.

- Ona ma przyjaciela - powiedziała Liv w zamyśleniu.

Pan Martinius przeraził się.

- Kto? Moja Julia?

- Nie, nie! Proszę mi wybaczyć, po prostu głośno myślałam. Cecylia. Ma przyjaciela, który jej pomaga w razie nieporozumień z panią Kirsten i tą jej okropną ochmistrzynią. Jest margrabią, nazywa się Alexander Paladin...

- Znakomite nazwisko! To musi zobowiązywać, jak mi się wydaje.

- Tak. Ale jakoś się nie mogę rozeznąć w tej przyjaźni. Cecylia wydaje się taka jakaś...

biedna, kiedy o nim pisze. Tak jakby ona była trochę zakochana, on natomiast nie, jeśli pastor rozumie, co mam na myśli. Ale w każdym razie otrzymała pochwałę od króla Christiana za swą życzliwość dla dzieci. Król często dzieci odwiedza, a one mu pewnie opowiadają z miłością o Cecylii, tak ona pisze, i król jest z niej bardzo zadowolony. Ów margrabia także napomknął królowi parę słów na jej temat, jeśli dobrze zrozumiałam.

Ochmistrzyni chce się jej pozbyć, ale nie może, bo Cecylia cieszy się sympatią króla. Uff!

Martwi mnie to! Gdybym chociaż mogła pojechać i ją odwiedzić! Tymczasem mamy małe zmartwienie tutaj w Grastensholm, więc nie mogę zostawić wszystkiego i odjechać...

93

Umilkła. Zmartwienie miało na imię Kolgrim i nie było, niestety, wcale takie małe.

Po śmierci Tengela coś się stało z Arem. On, który był zawsze najbardziej anonimową postacią wśród swojego rodzeństwa, jakby wyszedł nagle z cienia, w którym dotychczas żył.

Nabrał nieoczekiwanie godności i powagi, w jego zachowaniu pojawiło się coś władczego -

był to teraz prawdziwy pater familias. Jego respekt wobec Tengela był zawsze tak wielki, że podporządkował mu swoją wolę i poglądy, nie zdając sobie nawet z tego sprawy. Tengel także nie wiedział, jak wielki ma wpływ na młodszego syna. Chyba żadne z dzieci nie kochało ojca tak bardzo jak Are. Tylko jakby sobie tego nie uświadamiał. Teraz jednak odziedziczył Lipową Aleję, miał przejąć gospodarstwo i traktował to zadanie z najwyższą powagą!

Meta od dawna obserwowała jak jej mąż dojrzewa i staje się prawdziwym gospodarzem, choć majątek odziedziczył przecież nieduży. To, czego Are dokonał z biegiem lat, było imponujące. Ale dopiero teraz stawało się widoczne. I on, i Meta stwierdzili, że inni gospodarze w okolicy zaczynają

brać z niego przykład, naśladować jego pomysły, wiele rzeczy robić tak jak on. Przyjęli jego metodę pozyskiwania nowych pól z nieużytków i lasów.

Nauczyli się od Arego jak najlepiej i najbardziej rozsądnie wykorzystywać lasy, a także wybierać najbardziej dorodne kłosa i ich ziarno przeznaczając na przyszłoroczny siew...

Meta była tak dumna, że mogłaby oddać za niego życie. Zwłaszcza że i ona została uznana za jedną z najlepszych gospodyń w okolicy.

Tyle tylko, że inne gospodynie nic nie wiedziały o jej przeszłości! Żadna nawet się nie domyślała, że Meta była kiedyś przerażonym bękartem pewnej skańskiej ładaczniczki. Małą żebraczką, której uczucia były w dzieciństwie boleśnie łamane i ranione niezliczoną ilość razy. Która jednak miała dość siły, by się z tego podźwignąć i dowieść, że jest godna miłości Arego.

Trzej dorodni chłopcy stanowili, rzecz jasna, dumę rodziców. Ba, to co prezentował sobą Tarjei, cała jego mądrość, wykraczało znacznie poza ich myślowe horyzonty. Are bywał

nawet trochę skrępowany, kiedy rozmawiał ze starszym synem, jakby przeproszał za własne prostactwo.

Znacznie łatwiej rozmawiało mu się z Trondem. Bywał trochę złośliwy, to prawda, podobnie zresztą jak jego kuzynka Cecylia. Trond jednak, zdaniem Arego i Mety, był inteligentny w łatwiejszy do przyjęcia sposób niż Tarjei, poczucie humoru miał prostsze i bardziej zwyczajne.

Mimo to żywili wątpliwości, czy to właśnie on nadaje się najlepiej na dziedzica Lipowej Alei.

Nikt nie pracował tak szybko jak Trond przy zbiorze siana, nikt nie zadawał tylu pytań i nikt nie miał takich zręcznych dłoni. Ale czy jest dostatecznie wytrwały i uparty?

Dziedzicem był, oczywiście, Tarjei, pierworodny syn. Nikomu jednak nie przyszłoby do głowy wyznaczać go na gospodarza. Jego czekała zupełnie inna przyszłość.

94

Nie, to już raczej o najmłodszym, Brandzie, myślało się jako o następcy.

Brand kochał ziemię tak samo jak jego ojciec, żył tylko gospodarstwem. Czy jednak godzi się pominąć Tronda? Na szczęście z odpowiedzią na to pytanie można poczekać. Dzieci często rozwijają się zupełnie inaczej niż się początkowo sądzi.

W skrytości ducha dla Arego ukochanym dzieckiem był Brand, podobnie jak Trond był

ukochanym dzieckiem Mety. Ale żadne z nich nigdy tego nie okazywało.

Tarjei? On był zawsze oczkiem w głowie Tengela. Teraz nikt nie miał odwagi traktować go jak dziecka. Był na to po prostu zbyt dojrzały.

Bo też tak naprawdę tylko kuzynka Cecylia mogła się z nim mierzyć.

Cecylia zaś pokonywała w Danii kolejne stopnie dworskiej kariery i została w końcu swego rodzaju guwernantką Anne Catherine. Nie tak znowu wielu rzeczy można było nauczyć takie małe dziecko, ale miała z dziewczynką bardzo dobry kontakt, a to uważała za najważniejsze. Że dziecko ma kogoś, przy kim czuje się bezpieczne. Pięknych słówek i pochwał małym, oczywiście, nie brakowało, lecz prawdziwa troskliwość rzadko gościła w tych dużych, nagich zamkowych ścianach.

Wiadomość o tragedii w domu prawie ją załamała. Postanowiła wtedy odszukać Alexandra Paladina, którego w ostatnich miesiącach widywała jedynie przelotnie, choć wiedziała, że tutaj jest i że czuwa, by ochmistrzyni nie dokuczała jej zanadto.

Zresztą nie było łatwo dokuczyć komuś obdarzonemu takim ciętym językiem jak Cecylia.

Pozycja, jaką zajmowała, wymagała jednak ostrożności.

Pociągnęła za kołatkę u drzwi domu margrabiego, w pobliżu zamku. Otworzył jej służący i, cokolwiek zaskoczony, wpuścił do środka. Poprosił, by zaczekała w hallu i po dłuższej chwili pospiesznych rozmów za zamkniętymi drzwiami wyszedł do niej Alexander Paladin, akurat w momencie, gdy zaczynała się zastanawiać, czy nie popełniła jakiegoś niewybaczalnego błędu zjawiając się tutaj.

Nieco skrepowana wyjąkała, po co przyszła. Znowu utraciła kilkoro swoich najbliższych i pragnie porozmawiać z jedynym w tym obcym kraju człowiekiem, który ją rozumie.

Poprosił ją do bardzo przytulnego, ładnego salonu i przesiedzieli tam, rozmawiając, całe popołudnie i wieczór. Cecylia opowiedziała o swojej niezwyklej rodzinie. Jakaż to ulga, móc wyrzucić z siebie żal po tych trojgu, którzy odeszli, kiedy ona była tak strasznie daleko od nich. Alexander natomiast mówił o dzieciństwie i dorastaniu pod opieką tyranizującej go swoją miłością matki, lecz o swoim dorosłym życiu nie wspominał. Potem rozmawiali o sztuce i literaturze i o różnych wydarzeniach dworskich. Cecylia wiele się dowiedziała i aż pokraśniała uszczęśliwiona, kiedy Alexander pochwalił ją, że znakomicie rozumie wiele spraw.

95

Z przerażeniem stwierdziła, że zrobiło się późno.

- Och, co sobie ludzie o panu pomyślą! - jęknęła. - Psuję panu opinię!

On się jednak roześmiał.

- Mnie, panno Cecyljo? Nic podobnego! Raczej wprost przeciwnie!

Spłoszona, podziękowała za zyczliwość i pospiesznie się pożegnała.

Mimo wszystko Kirsten Munk powiedziała kiedyś do Cecylii:

- Wygląda mi na to, że dobrze pani służy moim dzieciom, panno Meiden. Ale proszę sobie nie wyobrażać, że będę przez to dla pani łaskawsza. Nie podoba mi się pani bezczelny ton wobec mojej ochmistrzyni. W normalnych warunkach odprawiłabym panią z miejsca. Ale udzielę pani jednej rady: niech pani będzie bardziej krytyczna przy wyborze swoich obrońców, panno Cecyljo!

I z szelestem spódnic wyszła z pokoju, zostawiając zdumioną dziewczynę samą.

* * *

W Grastensholm Irja siedziała trzymając Kolgrima na kolanach i próbowała wmusić weń trochę jedzenia. Chłopiec zbliżał się właśnie do końca pierwszego roku życia, był jak na ten wiek duży i silny i miał coś dzikiego w oczach. Z trudem utrzymywano go na wodzy, bo siłą swej woli przerastał innych. Poza tym odnosiło się wrażenie, że nie ma w nim nawet cienia poczucia humoru.

Chmura potarganych loków zwisała nad jego żółtymi oczyma, lecz czarne włosy, które pokrywały większość ciała w chwili urodzenia prawie zupełnie znikły. Na widok jego nieprawdopodobnej twarzy ludzi, mimo wszystko, przenikał dreszcz zgrozy. Nie był już wprawdzie taki brzydki jak w niemowlęctwie, nie. To coś innego było w nim tak okropnie odpychającego, jakieś zło, które trudno określić i wskazać, a które jednak istniało. Tengel wyglądał jak demon, lecz był niezwykle sympatyczny. Kolgrim nie miał w sobie nic miłego.

Dlatego chyba właśnie budził w Irji tyle współczucia.

Opiekowały się nim obie z Liv na zmianę, co było naprawdę niezbędne, bo malec potrafił

zadręczyć człowieka w ciągu kilku godzin. Daga zbyt pochłaniała pracę i chociaż naprawdę bardzo się starał okazać swemu jedynemu wnukowi zainteresowanie i miłość, wszystkie kobiety w domu wiedziały, że z ulgą od niego wychodzi.

Taralda widywano w pobliżu dziecka rzadko albo nigdy.

Wzdrażał się jak spłoszony koń na widok swego syna, jakby wciąż nie mógł pojąć, że taka piękna historia miłosna mogła wydać takie przerażające owoce. Wszystkie wolne chwile

spędzał na cmentarzu, przy grobie Sunnivy, albo pracował jak szalony w majątku. Liv zamartwiała się, widząc jak ten chłopak się męczy, ale Grastensholm niewątpliwie na tym korzystało. Jacob Skille był wprawdzie bardzo zręczny i pracowity, lecz nie do końca rozumiał to skomplikowane przedsięwzięcie, jakim jest duża posiadłość ziemska. Dag natomiast nigdy się tym bliżej nie interesował.

Sam Kolgrim nie ułatwiał kontaktów. Nigdy najmniejszego uśmiechu, nigdy żadnego słówka.

Oczy malca spoglądały na dorosłych surowo, prawie z nienawiścią. Przeważnie zadowalał

się tym, że go pilnują i przemawiają do niego. Jeśli jednak chciał czegoś, na co mu nie pozwalano, jak na przykład wdrapać się po schodach, wpadał we wściekłość, a jego wrzaski niesły się po całej okolicy. Nie płakał, nawet nie krzyczał jak inne dzieci. Po prostu wył albo ryczał jak rozszalały byk.

W takich wypadkach, jeśli Liv była z nim sama, tylko z największym wysiłkiem udawało jej się go uspokoić, ale wychodziła z tego z mnóstwem siniaków na rękach.

Przeważnie jednak zajmowała się nim Irja.

Tamten dzień, przed blisko rokiem, kiedy rozmawiała ze swoimi rodzicami na Eikeby, nie należał do łatwych. Wokół niej tłoczyło się jak zawsze, mnóstwo dzieci, najmłodszy bracia i siostry oraz potomstwo starszego rodzeństwa.

Zmęczona matka patrzyła na nią z drugiej strony stołu:

- Chcesz się przeprowadzić do Grastensholm? Ale dlaczego?

- Pani baronowa prosiła, żebym jej pomogła opiekować się synkiem Taralda.

- Więc masz zostać dziewczyną do dziecka? Mieszkać tam przez cały czas? Co będzie z nami, jeśli przestanieś przychodzić do domu z zapłatą?

- Matko, wiecie przecież, że pani Silje płaciła mi, bo była taka dobra. Ale ona nie żyje, świeć Panie nad jej szlachetną duszą.

Ojciec, nieogolony i brudny na twarzy, powiedział:

- Zostanie więcej miejsca dla nas, kiedy ona się stąd wyprowadzi Tildo! Ale, czy ty dziewczyno naprawdę nie dostaniesz żadnej zapłaty?

- Nie rozmawialiśmy o tym. Nie myślałam o pieniądzach.

- Masz zamiar pracować za darmo? I, rzecz jasna wcale nie pomyślałaś o nas, żebyś tylko ty mogła wspaniale mieszkać we dworze - burczał. - Czy nigdy nie otrzymamy żadnej zapłaty za to, że sprowadziliśmy was na świat? Tylko popatrz! Żenię jedno moje dziecko po drugim, a one co? Po prostu wracają do mnie ze swoimi żonami, mężami i dziećmi. Żadne z 97

was, diabły rogate, nie umie sobie radzić na własną rękę. No to idź, jak chcesz! Będzie przynajmniej jedna gęba mniej do karmienia!

Matka mówiła głośno, by przekrzyczeć panujący w izbie szum:

- Masz żądać zapłaty, ja ci to mówię! I wszystko, co dostaniesz, będziesz przynosiła do domu! Każdego jednego szylinga! Coś nam się chyba należy za tę całą udrękę z tobą.

Irja wiedziała dobrze, że jest najposłuszniejsza ze wszystkich dzieci i zawsze taka była, choć początkowo nie miała siły, by pracować, a potem nie pozwalano jej na pracę w domu, żeby mogła zarabiać pieniądze poza domem. Wiedziała też, że nie należało do zwyczaju, by młodzi ludzie, którzy opuszczali dom, dostawali na służbie zapłatę w gotówce. Marne jedzenie i nędzne posłanie, które nierzadko musieli dzielić z innymi służącymi, to było wszystko, na co mogli liczyć. W każdym razie utrzymywali się w ten sposób przy życiu, powinni więc i tak być wdzięczni. Dlatego też Irja miała

dla rodziców wartość złota. Nawet jeśli nie dawali tego po sobie poznać.

Zresztą rozumiała matkę. Była to kobieta ciężko doświadczona przez życie. Nikt by nie powiedział, że jest tylko o kilka lat starsza od ślicznej, wiotkiej baronowej Liv Meiden. Matka była wychudzona, bezzębna, włosy miała przerzedzone, ręce powykrzywiane i żyłaste i patrzyła na świat matowym, pozbawionym jakichkolwiek złudzeń wzrokiem. I znowu w ciąży, chociaż to musi być chyba jej ostatnie dziecko, myślała Irja. W każdym razie taką miała nadzieję, ze względu na matkę.

Irja tak bardzo nie chciała prosić baronowej o pieniądze. Pragnęła im pomóc, a nie wykorzystywać ich trudną sytuację.

Matka zniżyła głos i szeptała, zasłaniając usta dłonią:

- Czy to prawda, co ludzie gadają, że dziecko jest nienormalne? Że to podmieniec?

- Podmieniec? - prychnęła Irja oburzona. Nie, mogę wam przysiąc, że nie. Żadne trolle nie mogły się dostać do pokoju, żeby podrzucić własnego bękarta.

- No pewnie, że nie - odparła matka, rozczarowana. - Ale o pieniądze powinnaś się upomnieć!

Irja westchnęła. Naprawdę nie wiedziała jak przez to przebrnie. Minał cały pierwszy tydzień, a ona o niczym nawet nie wspomniała.

Uratował ją baron Meiden, Dag.

- Irjo... Wiem, że mama Silje niezwykle cię ceniła. Myślę, że wsuwała ci do kieszeni jakąś monetę od czasu do czasu, prawda?

- Tak, panie baronie. W każdą sobotę. Ale ja bym nie chciała...

98

- Dobrze, dobrze, drogie dziecko! Wiesz przecież, jacy jesteśmy ci wdzięczni za twoją ze szczerego serca płynącą życzliwość i pomoc przy dziecku. Tak naprawdę, jesteśmy od twojej pomocy całkowicie zależni. Wiemy, że ty sama nigdy byś nie zażądała niczego w zamian. Ale zgódź się, że będziemy ci wypłacać parę monet na znak naszej wdzięczności, dobrze?

Irja przełknęła ślinę i skinęła głową potakująco.

Dag, który w miarę upływu czasu tracił coraz więcej włosów, ale za to stawał się coraz okrągłyjszy, pewnie z powodu tych wszystkich obiadów, które musiał zjadać z wysoko postawionymi panami - popatrzył na nią z uśmiechem.

- Mama Silje powiedziała mi także, że tę swoją zapłatę oddajesz do domu, a sobie nic nie zostawiasz. To bardzo ładnie z twojej strony, lecz teraz nie mieszkasz już w domu. Wobec tego zrobimy tak: będę ci płacił jedną większą monetę, którą oddasz rodzicom. Ale dostaniesz też jedną mniejszą, którą zatrzymasz dla siebie i o której nikt nie będzie wiedział.

Właściwie powinno być odwrotnie, ale nie przypuszczam, że na to przystaniesz.

- Nie, panie. Moja matka ma aż nadto gąb do wykarmienia. Dziękuję bardzo - powiedziała na koniec i dygnęła.

Baron wyglądał tak sympatycznie, że Irja się wzruszyła.

Zapukał brodę, pewnie żeby sobie powetować utratę włosów nad czołem. I ubierał się wedle najnowszej mody, w kamizelkę ze skóry łosia, a najchętniej w luźny surdut, który zakrywał

coraz wydatniejszy brzuch. Nosił koszulę o szerokich rękawach i szerokie spodnie, wpuszczone w wysokie buty. Na zakończenie rozmowy położył jej rękę na głowie i uśmiechnął się ciepło. Irja rozbliła z radości jak słońce.

Liv i Dag już dawno przestali zauważać jak niezgrabna i mało urodziwa jest ta dziewczyna.

Widzieli w niej osobę o gorącym sercu, zasługującą na miłość.

Irja często chodziła na cmentarz z bukietem polnych kwiatów. Lubiła posiedzieć obok miejsca wiecznego spoczynku pani Silje, jedynej osoby, która знаła bolesną tajemnicę jej serca.

Dziś był tu także Tarald, rozmawiał przy grobie Sunnivy z pastorem, panem Martiniusem.

Irja zwolniła kroku, wahając się co robić, lecz oni przywołali ją do siebie. Podeszła z nadzieją, że policzki nie płoną jej zbyt mocno.

- Chodź do nas, droga Irjo - zawołał pastor przyjaźnie.

- Rozmawiamy właśnie o zarazie, którą tak dzielnie pomagałaś nam powstrzymać.

99

- Ach, o tym - powiedziała skępowana. - O tak, to był okropny czas! Pamięta pan, panie Martiniusie, jak oboje zachorowaliśmy i leżeliśmy sami w tym pustym domku, każde w swoim kącie? I musieliśmy ustalać, kto kiedy biegnie do wiadra w sieni, żeby się tam ze sobą nie zderzyć? Och, pewnie o takich sprawach się nie mówi - urwała spłoszona.

Pastor śmiał się.

- W takich sytuacjach człowiek nie przejmuje się czymś takim jak obyczaje lub maniery. I zdaje się, panie Taraldzie, że kiedyś się jednak w tej sieni zderzyliśmy. To była nagląca potrzeba, ale mimo wszystko cofnąłem się.

- Żeby poczekać?

- Poczekać? Panie Taraldzie, człowiek z krwawą biegunką nie może czekać. Ale miałem bieliznę na zmianę.

Irja stłumiła śmiech.

- Po wszystkim można się śmiać, ale kiedy to trwa...mój Boże, jak ja się wtedy bałam!

- Ja także. To pan Tengel i młody Tarjei nas uratowali, wiesz o tym na pewno.

- Tak. Ale udreka była okropna. Najgorsze te ostatnie dni, kiedy już nie mieliśmy sił wstać i pan Tengel musiał nam zmienić bieliznę. Myślałam wtedy, że umrę ze wstydu.

- Spodziewałbym się, panie Martiniusie, usłyszeć od pastora, że to Pan Bóg was uratował -

burknął Tarald zaczepnie.

- Dlaczego Bóg miałby uratować akurat mnie i Irję, a pozbawić życia tak wielu ludzi w okolicy? Czy jesteśmy lepsi od innych?

- Zdrowy pogląd - oświadczył Tarald. - I dość niezwykły jak na kapłana.

- Muszę się jednak przyznać, że prosiłem Boga o zachowanie mnie przy życiu. Tak samo jak modliłem się za życie i dusze innych.

- To naturalne - skinął głową Tarald. - Słyszałem, że pastor się ożenił...

Pan Martinius odwrócił się.

- Tak - wymamrotał.

- Jak to dobrze - uśmiechnęła się Irja. - Mądra pastorowa jest wsparciem i dla parafii, i dla samego pastora.

- Tak - westchnął pan Martinius, lecz z taką jakąś goryczą, że spojrzeli na niego zdumieni.

100

Pastor sprawiał jednak wrażenie, jakby nie zauważył, że w ogóle cokolwiek odpowiedział.

Stał pogrążony we własnych myślach, a jego jasne oblicze przybrało wyraz zgnębienia i beznadziejności.

Niczego nie pojmowali. Poznali już jego młodą, bardzo ładną żonę. Mówiono, że wspaniale wypełnia swoje obowiązki pastorewej, odwiedza chorych, energicznie organizuje pomoc dla tych, którzy jej potrzebują, a w trudnych sytuacjach ma zawsze słowo współczucia i pociechy. Nie, pastorowa się nie oszczędzała, a jej śliczny uśmiech znany był szeroko.

Pastor jakby się ocknął.

- Proszę mi wybaczyć, myślałem o czymś innym. Co mówiłaś, Irjo?

- Nic, powiedziałam tylko, że mądra pastorowa jest...

- A tak, rzeczywiście! I nie może być lepszej żony dla pastora niż Julia. Jestem prawdziwym szczęściarzem, że chciała za mnie wyjść!

Oczy rozblęły mu entuzjazmem. Irja potrząsnęła głową, jakby chciała uporządkować swoje wrażenia. O czym pastor myślał przed chwilą?

Dzień był szary, deszcz wisiał w powietrzu nad beznadziejnie mokrymi polami. Tarald odwrócił się znowu do krypty i wyrwał jakiś nieduży chwast, który wyrósł przy murze.

Pastor powiedział cicho:

- Człowiek czuje się lepiej, widząc tak szczerą miłość, panie Taraldzie.

Młody mężczyzna popatrzył na niego jakoś dziwnie, ale nic nie odpowiedział.

- A ty znowu nazbierałaś kwiatów na grób pani Silje? - zwrócił się pastor do Irji.

- Tak, ja... ach zapomniałam wstawić je do wody!

Popatrzyła zmartwiona na przywiędłe rumianki i niebieskie dzwonki które ścisnęła w rękach.

- Wstaw je jak najszybciej, to jeszcze ożyją - rzekł pastor.

Irja zrobiła, jak radził i ustawiła wazon wśród innych bukietów, zdobiących grób Silje i Tengela. Ktoś palił świece, zauważyła. No tak, niedawno obchodzono dzień świętego Olafa i ktoś chciał uświetnić uroczystość.

- Oni byli naprawdę bardzo kochani - powiedział pastor, gdy wszyscy troje opuścili już groby i zmierzali do furtki.

101

- To prawda, ale też nie ma się czemu dziwić - rzekł Tarald, przytrzymując furtkę dla pozostałych. Serce Irji tłukło się w piersi. Pomyśleć, że ona, brzydka, beznadziejna Irja idzie tu sobie, spokojnie rozmawiając z pastorem i Taraldem! Jej biedna matka powinna by to widzieć!

- Co prawda dziadek skrzyczał mnie kiedyś tak, że czułem się mniej wart niż kupka końskiego gnoju na drodze - mówił dalej Tarald. - Ale miał rację, zachowałem się wtedy bardzo nieodpowiedzialnie.

- Nie powinien pan mieć wyrzutów sumienia z powodu Kolgrima - rzekł pan Martinus. -

Takiej miłości, jak wasza, nie można było trzymać na wodzy.

- Och, nie dziecko miałem na myśli - burknął Tarald nieoczekiwanie rozdrażniony. -

- Wiem, że bardzo boleśnie przeżył pan śmierć swojej małżonki.

Tarald stracił panowanie nad sobą.

- Tak, ale to chyba jasne, że tak musiało być! Och mój Boże, dręczą mnie tak okropne wyrzuty sumienia. Muszę tu przychodzić, muszę siedzieć przy jej grobie, bo moja dusza jest czarna jak noc.

- Żadne z was nie mogło nic poradzić na to, co się stało - powiedziała Irja spokojnie. - Ale ja rozumiem ten smutek.

- Smutek? - wybuchnął Tarald. - Czy wy naprawdę nic nie rozumiecie, oboje?

Zatrzymali się przy końcu brzozonej alei, akurat w miejscu, w którym kiedyś, dawno, dawno temu, pewien sługa kościoła padł bez życia, zatruty przez matkę Sunnivy, Sol.

Irja i pastor spojrzeli badawczo na młodego wdowca. Odnosili wrażenie, jakby Tarald pragnął się uwolnić od wyrzutów sumienia, z którymi żył już nazbyt długo.

- To chodzi o zadośćuczynienie - prawie krzyknął. - Bo ona została wydana na śmierć z mojej winy, a ja jej nie kochałem!

Zakrył twarz dłońmi, niezdolny już dłużej znosić tego wstydu.

Przesycona deszczem mgła kładła się ciężko nad okolicą i mogło się wydawać, że stoją na jakiejś wyspie, poza którą jest tylko nicość. Kościół, cmentarz i część alei - to wszystko, co widzieli. Reszta niknęła w wilgotnym тумanie. Zniknęło Grastensholm, zniknęła Lipowa Aleja i okoliczne wzgórza.

- Nie kochał jej pan? - powtórzyła Irja zdrętwiałymi wargami. Nie pojmowała niczego.

Tarald podniósł wzrok, twarz miał jakąś jakby pustą, wykrzywioną grymasem.

102

- To było oszołomienie, krótkie, szalone, gwałtowne oszołomienie. O kochałem ją przecież, ubóstwiałem jej małą wiotką postać, ona była moim... moim pierwszym odkryciem w świecie miłości. Nie, ja nie potrafię wyrazić tego, co czuję.

- My rozumiemy - rzekł pan Martinius spokojnie.

- Byłem jak zaczarowany. Ale później, po naszym ślubie...

Czekali w bezruchu, jak porażeni.

- W końcu byłem nią już bardzo znużony - powiedział bezbarwnie. Ona była zajęta tylko sobą, prawda Irjo? Nie umiała rozmawiać o niczym innym! Nieustannie nudziła, jaka jest nieszczęśliwa, że nie ma nikogo w życiu. To było wielkie kłamstwo, bo miała przecież wspierać rodzinę, która się nią zajmowała i robiła wszystko, co mogła, żeby jej było dobrze.

- Tak, to wszystko prawda - powiedziała Irja cicho.

Tarald skinął głową, lecz myślami był gdzie indziej. Potarł dłonią czoło i popatrzył w stronę Grastensholm, które leżało gdzieś tam, we mgle.

- Zdawało mi się, że ona patrzy mi w oczy tylko po to, by zobaczyć miłość do siebie. Nie, nie mogę dzisiaj mówić!

- Tak, tak, rozumiem - powiedział pastor. - Chce pan powiedzieć, że ona kochała pańskie uwielbienie i miłość, nie dając nic w zamian.

- Tak, mniej więcej. Ja zawsze musiałem jej usługiwać. Z początku to było zabawne, ale później... Słyszałem kiedyś, jak mama mówiła do ojca: „Sunniva nie ma nic ze szczerzej spontaniczności Sol”. „To prawda - powiedział ojciec. - Zdaje mi się, że więcej jest w niej z Heminga Zabójcy Wójta, z tej jego skłonności do unikania odpowiedzialności, do zrzucania winy na innych. Wymuszania współczucia ludzi. Sol była dużo bardziej szczerą i czystą, choć tak często znajdowała się po niewłaściwej stronie prawa, czego Sunniva nie robi”. W

pełni się z nim zgadzam, chociaż nigdy nie spotkałem osobiście legendarnej Sol.

Pochylił głowę.

- I taki byłem znużony Sunnivą! To graniczyło z nienawiścią. A kiedy umarła - tak, ja niemal tego pragnąłem! Więc potem siebie obciążałem odpowiedzialnością za to, co się stało i uważałem, że dziecko jest okrutnym, groteskowym dowodem mojego braku uczuć. Że chłopiec jest karą!

Pastor, który słuchał w skupieniu, wyprostował się teraz, gotów do działania.

- Sądzę, że powinniśmy wejść do kościoła i pomodlić się, wszyscy troje. Bardzo dobrze rozumiem waszą udrękę, panie Taraldzie. Tylko łaska pańska może człowieka od tego uwolnić. Chodźcie ze mną!

103

Tarald ruszył bez protestu. Irja zawahała się na moment, lecz pan Martinius dał znak, że ona także ma iść.

Weszli do pogrążonej w ciszy świątyni, uklękli wszyscy troje i modlili się gorąco!

Irja z trudem skupiała się na modlitwie. W jej duszy dzwoniła niewybaczalna, pogańska radość.

On jej nie kochał, on jej nie kochał, nie kochał, nie kochał...!

I jednocześnie pojawiło się niekonsekwentne współczucie. Biedna, mała Sunniva!

Współczucie było prawdziwe, płynęło ze szczerego serca.

ROZDZIAŁ VIII

Po wyznaniu na cmentarzu Tarald, jakby uwolniony od dawnego dręczącego napięcia, zmienił stosunek do swego straszego syna. W kilka dni później Irja trzymała chłopca na rękach i śpiewała mu piosenkę, gdy poczuła, że pada na nią jakiś cień. Trudno było orzec czy Kolgrimowi podoba się piosenka, czy nie, po prostu wpatrywał się w wargi Irji, śledził ich ruchy.

To Tarald do nich podszedł i to jego postać rzucała cień.

Irja zamilkła, wydało jej się naraz, że piosenka brzmi głupio, a ona sama śpiewa idiotycznie.

Tarald jednak najwyraźniej nie zwracał na nią uwagi.

- On jest podobny do Tengela - powiedział krótko.

- Tak - odparła Irja, rozumiejąc, że Tarald desperacko czepia się tej nadziei. - I pani Silje opowiadała, że pan Tengel także był w dzieciństwie nieznośny.

Wzrok Taralda rozjaśnił się na moment.

- I brzydki?

- Pewnie też.

- Dziadek był najwspanialszym człowiekiem jakiego znałem.

- Zgadzam się z tym. Poza tym rysy chłopca zmieniają się szybko, łagodnieją prawie z dnia na dzień.

- Prawda?

Tarald przykucnął obok i przyglądał się synowi.

- Hej - szepnął na próbę.

Kolgrim łypnął na niego swoim kocim wzrokiem, spod potarganej grzywki. Szerokie usta o złym wyrazie ściągnęły się w ostrzegawczym warknięciu.

- O Boże - szepnął Tarald wstrząśnięty i wstał.

- To nic groźnego - rzekła Irja łagodnie. - On w ten sposób rozmawia.

- Niech mnie Bóg ma w opiece!

Spojrzał na jej ręce.

- On cię gryzie!

- Tak - potwierdziła dzielnie. - Ale mnie uznaje.

Jakby dla potwierdzenia tego, Kolgrim złapał ją za policzek i uszczypnął. Irja zniosła to bez najmniejszego jęku.

- Czy on chodzi? - zapytał Tarald, odsuwając się na bok, pod ścianę.

- O tak! Chodzisz, prawda, Kolgrimie?

- Chłopiec zsunął się z jej kolan i zataczając się ruszył w stronę ojca.

- Proszę go wziąć - nakazała Irja cicho.

- On rozumie, co mówimy! - zawołał Tarald zaskoczony i mimo woli wyciągnął ramiona ku swemu małemu synkowi.

- Oczywiście. Dlaczego miałby nie rozumieć? Czy pan myślał, że... Nie, on jest całkiem normalnie rozwinięty, jak na swój wiek. I fizycznie, i umysłowo.

Kolgrim stał, chwiejąc się, a Tarald wykazał tyle rozumu, by niepostrzeżenie jeszcze bardziej wyciągnąć ręce, tak że chłopiec mógł wylądować w jego objęciach nim zdążył upaść.

Skępowany, przerażony i ze ściśniętym gardłem Tarald przytulił malca do siebie. Kolgrim wynagrodził mu to takim ukąszeniem w ucho, że aż zaczęło krwawić.

Im chłopiec był większy, tym bardziej oczywiste stawało się, że to nie będzie nowy Tengel.

Spostrzeżenia Irji potwierdziły się: te groteskowe rysy, z którymi mały przyszedł na świat, powoli łagodniały, a jego twarz nabierała wprawdzie jeszcze nie w pełni dojrzałego, ale wyrazistego charakteru. Korpus rósł i ręce nie wydawały się już takie długie, poza tym wykształciła się szyja. Choć jednak rysy chłopca stawały się coraz bardziej ludzkie i nawet zapowiadały sporą urodę, to to, co najgorsze, czego Irja i rodzina dziecka chciałyby się najszybciej pozbyć, pozostawało: ów odpychający chłód jego spojrzenia, brak jakiegokolwiek życzliwego uczucia w żółtych, połyskliwych oczach.

I brak poczucia humoru. Przerazający wygląd z pierwszych tygodni po urodzeniu teraz właściwie pozostawał tylko wspomnieniem, jak zły sen, którego naprawdę nigdy nie przeżyli, lecz Irja w głębi duszy wolałaby, żeby raczej zachował mało piękną twarz zamiast tego pełnego zła spojrzenia. Bo pozbawionego urody człowieka można kochać mniej lub bardziej, ale od nędznika trzeba się trzymać z daleka.

To przecież tylko dziecko, myślała często z rozpaczą. Zasługuje na naszą miłość. I otrzymywał tę miłość pełną miarą. Tyle, że wszystko, tak boleśnie, pozostawało bez odpowiedzi.

Tolerował kobiety, Irję i Liv, przynajmniej do pewnego stopnia. Bo miał z nich pożytek, po prostu dbały o niego. Wszystkich innych lekceważył.

Tarald bardzo się starał zawrzeć bliższą znajomość z synem, robił co mógł, by go zrozumieć, choć wielokrotnie musiał ciężko wzdychać z uczuciem porażki.

Jeśli chodzi o umysł Kolgrima, to wszystko było w porządku. Bardzo szybko uczył się siły słów, zwłaszcza władzy małego słówka „nie”. Używał go z niewyczerpaną energią.

Cierpliwość Irji była niewiarygodna. Liv musiała często kapitulować wobec małego dzikusia, a wtedy zmęczona wzywała na pomoc Irję, która spokojnie pozwalała się chłopcu wyzłościć.

Gdy widział, że jego zachowanie nie wywołuje upragnionej rozpaczki opiekunki, dawał za wygraną.

Nigdy by nie uwierzyli, że takie małe dziecko może być tak piekielnie przewrotne!

Liv dostała list od Cecylii i przeczytała go Irji na głos.

„Tęsknię do domu, mammo! Tak bardzo tęsknię, zwłaszcza teraz, kiedy Boże Narodzenie już za progiem, a ja pamiętam wszystkie przygotowania w Grastensholm.

Ale i w tym roku nie będę mogła być z wami, bo wszyscy gdzieś wyjeżdżają, jedni tu, drudzy tam, dobrze nie wiem, ale głównie na mnie spadnie odpowiedzialność za dzieci. Nie o to chodzi, że czuję się tu źle, już chyba naprawdę zapaściłam w Danii korzenie i mam tu wielu przyjaciół, ale przecież nie byłam w domu od wielu lat. Mały synek Taralda zdążył już skończyć dwa i pół roku, babcia Charlotta i Jacob umarli, i Sunniva, i dziadek Tengel, i babcia Silje. Tyle się wydarzyło w domu a ja w niczym nie mogłam wziąć udziału! Nie byłam na żadnym ślubie ani na pogrzebie, ani na chrzcinach. Tak się boję, że mogłoby się stać coś jeszcze. Och, przychodzi mi do głowy, że powinnam się spieszyć, przyjechać do domu, zanim znów ktoś umrze! Żebym mogła być w domu, chociaż tylko na samiutkie święta! Tak bardzo tęsknię!”

Liv opuściła dłoń, trzymającą list, na kolana.

- Moja biedna, mała córeczka. Muszę porozmawiać z Dagiem, on to jakoś załatwi, żeby mogła choć na trochę przyjechać do domu. Ja też tak okropnie za nią tęskniłam, ale wydawało mi się, że jest jej tam dobrze.

- Jak by to było miło znowu spotkać Cecylię - powiedziała Irja, próbując ubrać Kolgrima, czego on szczerze nie znośił.

Irja nigdy z nikim nie rozmawiała o tym fatalnym wydarzeniu, jakie miało miejsce przed kilkoma miesiącami, gdy Tarald rozpromieniony opowiedział rodzinie, że znalazł sobie nową dziewczynę. Wszyscy się naturalnie bardzo ucieszyli, tylko Irja musiała stłumić piekący ból w sercu. Panna przyjechała z wizytą, śliczna córka szlacheckiego rodu, wszyscy przyjęli ją ciepło i życzliwie.

Ale zobaczyła też Kolgrima - dziecko Taralda. Nienaturalnie szerokie spiczaste barki, które odebrały życie Sunnivi. Twarz, która wciąż miała w sobie coś odpychającego. Oczy, świdrujące ją na wylot z instynktowną zazdrością, przepełnione nieludzką nienawiścią.

Spędziła w Grastensholm kilka dni - tyle, ile wcześniej postanowiono, lecz już nigdy więcej się nie pokazała. Tarald dostał od niej tylko list z wyrazami ubolewania.

Po tym wszystkim zamknął się w sobie i długo nie był w stanie nawet spojrzeć na syna.

Po okolicy krążyły na temat Kolgrima rozmaite plotki. Wciąż gadano o podmieńcu i nie było na to rady, chociaż i akuszerka, i Irja szczerze zaprzeczały tego rodzaju pogłoskom. Obie przecież były przy porodzie i same widziały, jak to dziwne dziecko opuszcza matczyne łono.

Żadne trolle nie miały tam dostępu, a pastor natychmiast dziecko ochrzcił.

Zaczęto wobec tego mówić, że Sunniva miała dziecko z Szatanem. To wszystko okropnie dręczyło Liv. Pastor próbował uciszyć ludzkie gadanie, zapewniając, że dziecko zostało przecież ochrzczone w imię Boga, ale ciekawość pozostawała nienasycona. Wszyscy chcieli zobaczyć tego dziwoląga, o którym tyle szeptała służba w Grastensholm.

Dotychczas chłopiec nie opuszczał okolic domu. Teraz jednak Irja miała dość plotek i złych języków, żywiła zresztą głębokie współczucie dla tego dziecka, bo sama także boleśnie doświadczyła ludzkiej niechęci i bezmyślności, nie tolerującej nikogo obdarzonego jakąś ułomnością.

Którejś niedzieli, pięć tygodni przed Bożym Narodzeniem, ubrała Kolgrima w co miał

najlepszego, zczesła mu włosy do tyłu tak, żeby ich nie było widać spod czapki, posadziła na sanki i zawiozła do kościoła. Liv bolało tego dnia gardło, musiała więc zostać w domu i o niczym nie wiedziała. Wszyscy inni pojechali wcześniej, dużymi saniami.

Już na cmentarzu zaczęły się szepty i ukradkowe spojrzenia. Ale Irja spokojnie zaszła chłopca z sanek i poprowadziła do kościelnych drzwi. Na zewnątrz zachowywała spokój, lecz serce tłukło się boleśnie w piersi.

Pierwsze kłopoty pojawiły się w kruhcie. Kolgrim wrywał się i ciągnął ją za rękę; za nic nie chciał wejść do tego zimnego, obcego budynku.

Jeśli teraz zaczniesz krzyczeć, to wszystko przepadło, pomyślała Irja zdenerwowana. Wtedy ludzie umocnią się w przekonaniu, że ta dziecko Szatana. Syn samego Złego.

Przezornie wzięła ze sobą trochę świątecznych łakoci, wyniesionych ukradkiem ze spiżarni w Grastensholm i teraz pospiesznie wsunęła chłopcu do ust kawałek słodkiego ciasta.

- Dostaniesz jeszcze, jeśli będziesz cicho i posłusznie pójdziesz ze mną - obiecywała.

I rzeczywiście, Kolgrim milczał. Akurat wtedy do kruchty wszedł pastor Martinius, co Irja przyjęła z ogromną ulgą. Znała go z najlepszej strony, od czasu ich wspólnej niedoli w okresie zarazy.

Podszedł do nich bez wahania i przywitał się.

Chociaż dziecko było dość ciężkie, Irja wzięła je na ręce.

- Panie Martiniusie, czy mogę was o coś prosić?

- Naturalnie, Irja.

Odbyli szeptem dłuższą rozmowę, a przez cały czas mijali ich wierni parafianie, rzucając ukradkowe spojrzenia.

W końcu pastor odprowadził Irję do ławki rodziny z Grastensholm. Na ten widok Tarald poczuł, jak przenika go zimny dreszcz niepokoju, że oto będzie musiał patrzeć na swego syna tutaj, publicznie, a i Dag przywitał ich niepewnym uśmiechem.

Na szczęście całą uwagę Kolgrima pochłonęły palące się świece. Skupiały na sobie jego zainteresowanie przez dobrą chwilę, a potem Irja pokazała mu wizerunek statku na suficie.

Gdy i to go znudziło, odwrócił się i stał twarzą do zgromadzonych w kościele ludzi, którzy nie przestawali gapić się na niego, nierzadko z uczuciem lęku. Ale doznali rozczarowania, dziecko nie było aż tak odpychające, jak głosiły plotki. Tylko te oczy... Jeśli takie oczy nie pochodzą od Szatana, to oni już nic nie wiedzą!

Irja zdawała sobie sprawę z tego, że w kościele jest też wielu jej krewnych z Eikeby. Jeśli matka także, to z pewnością pragnie się teraz zapaść pod ziemię ze wstydu na widok córki spokojnie siedzącej na ławce rodziny z Grastensholm, z tym małym trollem na kolanach.

Kolgrim tymczasem zachowywał się jak bardzo powściągliwe dziecko, a gdy tylko robił minę wskazującą, że chciałby coś powiedzieć albo wywołać jakieś zamieszanie, Irja wsuwała mu do buzi coś słodkiego.

Pastor rozpoczął kazanie i zwrócił się wprost do wiernych, a Irja słysząc to drgnęła. Zaczęło się! Czy ludzie zechcą właściwie zrozumieć słowa kapłana?

- Mamy tu dzisiaj w kościele nowego, małego członka parafialnej społeczności. Małego chłopca. Ja sam go ochrzciłem, tuż po narodzinach, które jego biedna matka przypłaciła życiem. Powiedziano o tym dziecku wiele krzywdzących i głupich słów, lecz teraz ja chciałbym powiedzieć co nieco o jego pochodzeniu.

- Widzicie, do kogo jest podobny? Spójrzcie na te ramiona i te czarne włosy - Irjo, zdejmij mu kapturek! - i na te niezwykle oczy! Malec jest podobny do człowieka, który urodził się tak samo nieszczęśliwy, jak on, bo również stał się przyczyną śmierci swojej matki, i z tego powodu musiał cierpieć przez cały okres dorastania. Do człowieka, którego dane nam było 109

poznać jako najwspanialszego, najszlachetniejszego i najbardziej skłonnego do ofiary w całej okolicy. Do człowieka, którego kochaliśmy wszyscy, do pana Tengela, pradziadka tego chłopca. On także był bardzo trudnym dzieckiem. Czy chcielibyśmy uczynić dzieciństwo małego Kolgrima równie tragicznym i samotnym, jak dzieciństwo pana Tengela? Czy też przyjmiemy go z miłością, tak jak Chrystus już go przyjął?

W kościele panowała zupełna cisza. Po krótkiej pauzie pan Martinius rozpoczął

odczytywanie zawiadomień o tym, kto się urodził, a kto zmarł.

Pierwsze lody zostały przełamane. Wszyscy z Grastensholm i rodzina Arego z Lipowej Alei odetchnęli z ulgą. Teraz już można było patrzeć przez palce na to, że dobre maniery Kolgrima się skończyły i że Irja musiała pospiesznie wynieść go z kościoła. Malec bowiem ruszył w stronę ambony, by dotrzymać pastorowi towarzystwa. Został wyniesiony mimo gwałtownych protestów.

Popelniają błąd, wszyscy, pomyślała Irja ze strachem. Nie wolno porównywać Kolgrima z panem Tengelem. Mały pozbawiony jest czegoś najistotniejszego. Tengel okazywał ludziom troskliwość a Kolgrim ma dla nich lekceważenie i pogardę.

Tego wieczora, kiedy układała chłopca do snu, przyszedł do nich Tarald. Stał i przyglądał im się tak długo, że zdenerwowana Irja upuściła but Kolgrima na podłogę.

Tarald podniósł go i podał jej.

- Dziękuję - szepnęła, nie mając jednak odwagi spojrzeć na niego.

Wtedy poczuła na ramieniu dłoń Taralda.

- To ja powinienem ci dziękować - powiedział ciepło.

Wkrótce odszedł. Lecz nabrał zwyczaju przychodzenia na rozmowę w czasie, gdy przygotowywała Kolgrima do snu. Irja wyglądała tych chwil i miała nadzieję, że będą się powtarzać. Bardzo lubiła rozmawiać z Taraldem, ale za nic nie chciała, by się domyślił jak wiele dla niej znaczy.

Nowy Rok i mroźna zima 1624 roku jakoś minęły, a tymczasem nerwy Irji zaczęły odmawiać posłuszeństwa w wyniku silnych napięć, na jakie była narażona; poniekąd dlatego, że nieustannie musiała się starać utrzymać Kolgrima w dobrym nastroju, a częściowo także z powodu trudności, jakie miała z ukryciem swojej miłości do Taralda.

Tego dnia, gdy cały dom cieszył się wiadomością, że Cecylia przyjedzie na następne święta, zmarła matka Irji, przy trudnym i całkiem już niepotrzebnym w jej wieku porodzie. Była umęczona, wykorzystywana przez wszystkich, a chyba najbardziej przez własnego męża.

Ojciec Irji, który teraz został sam z liczną jeszcze gromadką małych dzieci, wezwał córkę do domu.

Liv zagryzała wargi. Rozumiała, oczywiście, gospodarza z Eikeby, ale jak ona poradzi sobie z Kolgrimem? Z ciężkim sercem poszła do pokoju małego. Nie można go było zostawić samego nawet na moment.

Tarald wrócił z pola i spotkał Irję w chwili, gdy właśnie miała opuścić dwór. Był przerażony.

- Oni cię zamęczą, tak jak zamęczyli twoją matkę! A my nie damy sobie rady bez ciebie! Ty jedna wiesz, jak obchodzić się z Kolgrimem, kiedy zaczyna wierzgać nogami.

- Ojciec nie ma nikogo innego. Wszystkie moje siostry są zamężne i mają własne rodziny, tylko ja nie wyszłam za mąż.

- To wyjdź za mnie! - wypalił.

W hallu, gdzie stali, zaległa cisza. Oboje sprawiali wrażenie tak samo przestraszonych.

W końcu Irja schyliła się po swój węzełek.

- Najlepiej będzie, jeżeli już pójdę.

- Ja mówiłem poważnie, Irjo.

- Tego nie mógłbyś zrobić, panie Taraldzie. Przy moim wyglądzie. No i Grastensholm.

Przyszła jej nagle do głowy straszna myśl: czy on nie robi tego, by ludzie zaczęli wierzyć, że to po niej chłopiec jest taki nieudany?

Nie, takie przewrotne rozumowanie, to niepodobne do Taralda. W każdym razie nie tak wyrachowane.

Wyjął jej z rąk węzełek i pociągnął ją za sobą do gabinetu Daga, o tej porze pustego.

- Najlepiej jeśli porozmawiamy spokojnie i dokładnie omówimy sprawę - powiedział.

Irja poszła za nim bez oporu, sama nie wiedziała dlaczego zrobiło jej się tak smutno.

Tarald usadowił ją w fotelu ojca i sam usiadł przy niej tak blisko że dotykali się kolanami. Irja dyskretnie odchyliła się do tyłu. Patrzyła się uporczywie w podłogę, ale i tak dobrze wiedziała, jak on wygląda. Jego rysy miała na stałe wyryte pod powiekami. Pięknie wygięte łuki brwi, powieki także cokolwiek łukowato zarysowane, a ciemne oczy osadzone dość głęboko. Nos całkiem prosty, a usta straciły już sporo ze swojej młodzieńczej niepewności.

Były teraz silne, ładnie uformowane i ona często pragnęła przesunąć palcem po ich konturach. Miał po Ludziach Lodu wystające kości policzkowe, w ogóle jednak bardziej przypominał Meidenów, choć nie miał tak pociągłej, jak oni, twarzy. Szyję miał smukłą, jak grecki bóg, a ciało atletyczne.

Był taki przystojny, że to aż sprawiało ból!

- Irjo, to nie jest żaden nagły impuls - zaczął zdecydowanie. Myślałem o tym wielokrotnie w ostatnim czasie, ale zdawało mi się, że nie mam prawa ci tego proponować.

- Czy to prawda? - zapytała i spojrzała pospiesznie w górę.

- Właśnie tak. Poczekaj, aż ci powiem, co myślałem!

Irja siedziała, jakby nie była w stanie pojąć o czym jest mowa.

- Potrzebuję cię, Irjo. Potrzebuję cię rozpaczliwie z powodu tego mojego nieszczęsnego syna. Mam ci do zaoferowania tytuł baronowski, bezpieczną przyszłość i moją wierną przyjaźń. Wiesz przecież, jak bardzo cię cenię i lubię za twoją wierność.

Smutek stawał się coraz trudniejszy do zniesienia.

- Rozumiesz sama, że ze względu na dziecko nie mógłbym się nigdy ożenić. Widziałaś czym to się skończyło, kiedy próbowałem. Ale ty go przecież znasz, i on... on ciebie toleruje.

To może jedyne, na co to dziecko stać, jeśli chodzi o uczucia do innych ludzi. Mnie na przykład, jak mi się zdaje, bezgranicznie nie cierpi.

- To nieprawda - zaprzeczyła Irja pospiesznie.

Tarald uśmiechał się gorzko.

- Czy on się kiedykolwiek ucieszył na mój widok, kiedy wchodzę do pokoju? I wyrywa się gwałtownie, gdy próbuję mu okazać czułość.

- On tego nie lubi - wymamrotała.

- Nie, i dlatego nie odważyłbym się ożenić z żadną inną kobietą oprócz ciebie. Jaka kobieta chciałaby podjąć ryzyko, że urodzi takie samo dziecko? I może umrze przy porodzie?

Irja wciąż nie mogła pozbyć się uczucia, że przeżywa coś upokarzającego.

Tarald przyglądał się swoim dłoniom.

- Niestety, nie mogę ofiarować ci miłości. Całe uczucie, jakie we mnie było, oddałem Sunnivię w pierwszym okresie. Będiesz, naturalnie, mogła mieć własny pokój, a ja nigdy nie będę cię tam niepokoił.

O święta naiwności!

- A jeśli kiedyś znowu spotka pan kobietę, która będzie chciała i pana i dziecko, takie jakie ono jest?

- Nigdy do tego nie dojdzie - przerwał jej. - Bądź tak dobra i mów mi ty, Irjo! Mimo wszystko jesteśmy przyjaciółmi z dzieciństwa i ja staram się o twoją rękę. Czy ty tego nie rozumiesz?

- Rozumiem - westchnęła. - Dziękuję. Będę mówić ty. Nie wiesz przecież, czy nie spotkasz w życiu innej kobiety, Taraldzie. Przypuśćmy, że tak się stanie. Co wtedy będzie ze mną?

Gdyby Tarald słuchał nieco uważniej, zrozumiałby, co ona ma na myśli. Wskazywał na to dobór słów i drzenie głosu.

- No, w takim razie... odzyskasz, naturalnie, wolność - odparł.

Dzięki, pomyślała Irja z rozdartym sercem.

Długo siedzieli w milczeniu.

- No? - zapytał Tarald w końcu.

- Sądzę, że się mylisz, jeśli chodzi o drugie takie samo dziecko. Bo to tylko twój związek z Sunniva przyniósł takie niedobre następstwa.

Tarald zastanowił się.

- Tak, chyba masz rację.

- Uważam więc, Taraldzie, że nie powinieneś postępować pochopnie! (Chyba nie zauważył jak bardzo drży jej głos?). Naprawdę możesz spotkać odpowiednią dla ciebie kobietę i mieć z nią dużo dzieci.

- Bardzo bym chciał mieć jeszcze jedno, chyba mnie rozumiesz. To by mi pewnie pomogło pokonać uczucie zawodu. Ale wiesz, jestem całkowicie przekonany, że żadna kobieta nie weźmie mnie z taką kulą u nogi, jak Kolgrim. Sam zresztą nie sądzę, bym mógł się znowu zakochać, nawet gdybym spotkał kobietę jeszcze piękniejszą niż Sunniva. Nie, sparzyłem się zbyt boleśnie za pierwszym razem, to jest po prostu niemożliwe!

Irja siedziała w milczeniu, nie odczuwała już niczego. Była całkowicie pusta w środku. Zalała ją przemożna fala zmęczenia i rozczarowania.

Ojciec mnie potrzebuje, myślała. Nie mogę go zawieść.

Wiedziała wprawdzie, że ojciec i bracia, i wszyscy w rodzinie mogliby sobie poradzić, gdyby tylko chcieli współpracować i podzielić między siebie obowiązki, które dotychczas obciążały jej matkę, a które teraz najwygodniej byłoby przerzucić na nią. Tu zaś, w Grastensholm, była niezastąpiona, co do tego nie miała wątpliwości.

- Chyba, że ty byś...

113

Nie słuchała uważnie, spojrzała więc pytająco:

- Że co ja?

- Nie, o to nie mogę cię prosić.

- Owszem, powiedz o co chodzi.

- Chyba, że ty chciałabyś dać mi dziecko.

Irja przestała oddychać i siedziała tak przez chwilę, potem zerwała się ze zdławionym okrzykiem, chwyciła swój węzełek i wybiegła, potykając się, ciężka i niezdarna, jak najdalej z tego pokoju, jak najdalej z tego domu, drogą w dół.

Zima była bezśnieżna, pola i łąki leżały szare, a wilgotna mgła zalegała nad zamarzniętymi wodami.

Daleko, tam gdzie wiejska droga rozgałęziała się i skręcała da Eikeby, Irja zwolniła. Kroki stawały się coraz powolniejsze i powolniejsze.

Ojciec... i jego dławiąca, ascetyczna pobożność. Jego wykorzystywanie innych...

A tam, w Grastensholm i w Lipowej Alei, ta swobodna atmosfera, nie mająca sobie równej nigdzie w parafii.

Wszystkie młodsze siostry i bracia, małe dzieci rodzeństwa, siostrzeńcy i bratankowie, żądający, by była na każde zawołanie, chcący ją wykorzystywać, jakby była przedmiotem, tak jak to robili z jej matką. Do chwili, gdy nadawała się już tylko do tego, by ją wrzucić do grobu.

Czy ona sama mogła kiedykolwiek liczyć na inne życie? Na to, że wyjdzie za męża? Kto chciałby się ożenić z Irją, taką dużą, brzydką, zgarbioną i krzywonożą, podobną do ostu?

Tarald z Grastensholm, miłość jej życia, chciał. Na warunkach tak upokarzających, jak to tylko możliwe.

Czy stać ją na to, by powiedzieć nie? Czy to nie głupie z jej strony, odmawiać? Jak może odrzucić taką propozycję, ona, najmniej warta ze wszystkich?

Ale jego ostatnia prośba była zbyt okrutna. Potraktował ją jako materiał hodowlany, jak narzędzie, bo po prostu chciał dziecka.

Głupia Irja, a jak inaczej mogłaby mieć dziecko, którego tak bezgranicznie pragnęła? I to w dodatku z Taraldem?

Które upokorzenie jest gorsze? Niewolnicza praca w Eikeby, czy udręka duchowa w Grastensholm?

Stwierdziła, że już od dłuższej chwili stoi w tym samym miejscu.

W końcu ruszyła zdecydowanie dalej, do Eikeby. Podjęła swoją decyzję.

Panował tam nastrój przygnębienia. Zwłoki matki ułożono na podwyższeniu w oborze, a w izbie siedział ojciec w otoczeniu licznej gromady swoich dzieci.

Na widok Irji wszyscy odetchnęli z ulgą.

- No, nareszcie! - burknął ojciec. - Nastaw kaszę, dziewczyno. Nie jedliśmy nic od wczorajszego wieczora!

Kufel przechodził z rąk do rąk.

Irja wciągnęła powietrze.

- Prawdę mówiąc, jedzenie możecie sobie przygotować sami. Jesteście dorośli i jest was dostatecznie dużo. Przyszłam się tylko pożegnać z matką i zaraz wracam do Grastensholm.

- Co? Zwariowałaś? Chcesz nas zostawić na pastwę losu? To twój obowiązek, żeby...

- Moim obowiązkiem jest być z moim panem i mężem, a nie zaharowywać się dla was tak, jak to robiła matka. Wychodzę za mąż - oświadczyła Irja i zamknęła za sobą drzwi. Zdążyła szepnąć tylko kilka pełnych żalu słów pożegnania do matki, gdy cała gromada wyszła za nią.

Pospiesznie ruszyła więc z powrotem do Grastensholm.

A tam działy się rzeczy dziwne.

Liv nic nie wiedziała o rozmowie Taralda z Irją. Była przybita i zdenerwowana tym, że dziewczyna ich opuszcza. Powodów do zmartwienia miała wiele. Przede wszystkim chodziło o sprawy praktyczne, ale nie tylko. Z czasem w Grastensholm Irja zaczęła znaczyć coś więcej niż zwykła opiekunka do dziecka. Jakie będzie życie w tym dużym domu bez jej wiernej, ciepłej przyjaźni?

Kolgrim, który niedługo miał skończyć trzy lata, stał przy oknie.

- Gdzie posła Irja? - zapytał swoim grubym głosem.

Liv spojrzała znad robótki, a ponieważ było jej smutno, rzekła z goryczą.

- Irja nas opuszcza, Kolgrim. Będzie teraz mieszkać w domu swego ojca i pomagać jemu, a nie nam. To duża rodzina, wiesz.

Chłopiec jęknął. Spoglądał w dal, ku drodze wiodącej do Eikeby, gdzie zniknęła sylwetka Irji, daleko od Grastensholm i od niego.

Nagle zawył. Krzyk stawał się coraz wyższy i coraz bardziej przenikliwy, a mały walił pięściami w okno.

- Illa! - wrzeszczał. - Illa!

Liv zerwała się i próbowała go stamtąd odciągnąć.

- Irja musiała odejść - tłumaczyła uspokajająco.

Kolgrim kopał i wrzeszczał jak szaleniec.

- Dag! Tarald! Na pomoc! - krzyczała Liv przerażona.

Dag ocknął się z poobiedniej drzemki i wpadł teraz do pokoju równocześnie z Taraldem.

Wspólnym wysiłkiem zdołali wciągnąć chłopca na łóżko Irji. Jego własne, dziecinne, miało wysokie boki.

- On płacze! - powiedział Dag zaskoczony. - Płacze prawdziwymi łzami!

Liv, ze wzruszenia także popłynęły łzy.

- Dziecko drogie - szeptała. - Dziecko drogie.

- Musimy sprowadzić Irję z powrotem - oświadczył Dag, gdy bezskutecznie próbował

nakłonić chłopca, żeby zamilkł i leżał spokojnie. Tarald zrobił najgłupszą rzecz, jaką mógł

zrobić - położył dłoń na ustach chłopca, ale natychmiast zawył z bólu.

- Ja naprawdę uczyniłem wszystko, co w mojej mocy, by zatrzymać Irję - jęknął, przyciskając zraniony palec do brzucha. - Zaproponowałem jej nawet małżeństwo.

- Naprawdę? - zapytał Dag. - No, nareszcie coś rozsądnego. A co ona odpowiedziała?

- Po prostu uciekła.

- Kochany Kolgrim - przemawiała Liv łagodnie do chłopca, ale on nie słuchał. Rzucił na poduszce tą swoją mało piękną głową i nie przestawał wyc. Pełna złych przeczuc zawołała do Taralda:

- Jak to się stało, że powiedziała ci nie?

- Też tego nie rozumiem - krzyknął w odpowiedzi. - Zaproponowałem jej przecież tytuł

baronowej i bezpieczną przyszłość, jako pani na Grastensholm - zamilknij nareszcie, chłopcze! - i, chociaż nie mogłem jej ofiarować miłości, obiecałem swoją przyjaźń na 116

zawsze, bo przecież i tak nie mógłbym ożenić się z nikim innym ze względu na... no, wiecie, i obiecałem, że nie będzie musiała znosić zbliżeń, których by sobie nie życzyła.

Zaproponowałem jej nawet, że moglibyśmy mieć dziecko, bo ja bardzo bym chciał jeszcze jedno, naprawdę. To chyba ta ostatnia sprawa tak ją przeraziła. Ona prawdopodobnie boi się nowego podmieńca.

Liv wyprostowała się i odeszła, zostawiając mężczyznom zadanie uspokojenia chłopca.

Łagodna, czuła Liv parsknęła nagle jak wściekła kotka.

- Byłeś zawsze tym mniej udanym z naszych dzieci, Taraldzie. Cecylia radzi sobie w życiu dużo lepiej niż ty!

Tarald zdenerwował się.

- Czy nie wypełniałem zawsze swoich obowiązków, a nawet więcej? Nie widzicie jak Grastensholm rozrosło się i rozwinęło w moich rękach? Czy może unikałem kiedyś odpowiedzialności wobec chłopca?

- Nie o tym teraz mówię. Jesteś bardzo dobrym gospodarzem, ale nie wiesz nic, absolutnie nic o ludzkim stosunku do drugiego człowieka. Jesteś równie zręczny, jak słoń!

Tarald, rozgniewany, stanął naprzeciwko matki. Powierzchność miał wspaniałą, ale zupełnie nie wiedział, co ma powiedzieć.

- Pomóżcie mi - jęknął Dag. - Chłopiec się wrywa!

Liv odeszła od nich.

- Och, czy tu w ogóle cokolwiek ma jakiś sens? Irja została wystraszona przez tego idiotę, naszego syna, a nasza przyszłość będzie nieustającą walką z dzieckiem, które nigdy...

Nagle zamilkła.

- Irja wraca! - krzyknęła. - Z węzełkiem i ze wszystkim. Czy to nie Irja, tam, od strony Eikeby?

Tarald rzucił się do okna.

- Tak, oczywiście, że to Irja, nikt nie kołysze się tak komicznie, jak ona. Pobiegnę jej naprzeciw.

Zbiegł z łoskotem Po schodach, goniony napomnieniami, których nie słuchał.

Nie tyle biegł, co pędził w dół drogi.

- Wracasz! - krzyknął zdyszany, z błyszczącym wzrokiem.

117

- Tak. Kolgrim potrzebuje mnie bardziej niż te rozpuszczone chłopcy w domu.

Tarald wziął od niej węzełek.

- On zupełnie oszalał, kiedy zobaczył, że poszłaś, Irjo. Płakał, wyobraź sobie!

- Kolgrim? - spytała z niedowierzaniem. - Myślałam, że on się zupełnie mną nie przejmuje...

- Ja też. Mama tak się wzruszyła. Irja... czy... czy zastanowiłaś się nad moją propozycją?

- Tak, zastanowiłam się - powiedziała poważnie.

- No i?

- Zgadzam się, dziękuję. Na większy szacunek wobec samej siebie mnie nie stać.

- No, teraz to cię nie rozumiem. Czy być panią na Grastensholm to coś poniżającego?

- Tego nie powiedziałam!

- A, więc uważasz, że nie zasługujesz na to, co ci proponuję? Nie powinnaś się wstydzić, że to przyjmujesz! Wiesz dobrze, jak rozpaczliwie cię potrzebujemy. Ojciec powiedział, że poproszenie cię o rękę to najrozsądniejsze, co dotychczas zrobiłem, a matka nakrzyczała na mnie, że cię wystraszyłem. Nazwała mnie niezdarnym słoniem, co mnie rozgniewało, bo przecież na to chyba nie zasłużyłem.

Irja uśmiechnęła się do siebie. Baronowa zawsze była mądrą kobietą.

- Jeszcze tylko jedna sprawa - powiedziała przystając, zanim weszli na drogę prowadzącą na dziedziniec.

- Tak?

- Czy możemy... poczekać trochę z drugim dzieckiem? Ja myślę... że jeszcze do tego nie dojrzałam.

Tarald uściskał jej rękę.

- To jasne, rozumiem cię. Możesz mieć tyle czasu, ile ci potrzeba.

Nie rozumiał w ogóle niczego. Myślał, że ona lęka się długiego okresu ciąży. Nie pojmował, że wzdragała się przed samym aktem. Przed przyjęciem mężczyzny, którego kochała od tylu lat, przed tą świadomością, że on leży w jej ramionach, nie przejmując się nią bardziej niż jakąkolwiek inną

istotą, służącą tylko do spłodzenia dziecka.

Była to myśl trudna do zniesienia.

118

Przez chwilę szli w milczeniu.

- A poza tym - rzekła po chwili Irja - kto powiedział, że ja się nadaję do rodzenia dzieci?

Byłam w dzieciństwie chorowita, co wszyscy wiedzą. Może w ogóle nie będę mogła donosić żadnego dziecka? Powinieneś wybrać inną kobietę.

- Ale Kolgrim chce ciebie.

To podziałało jak plaster na piekącą ranę, którą Irja nosiła w piersi.

Dag i Liv zbiegli do hallu, trzymając za ręce swego rozwrzeszczanego wnuka. Jego małe nóżki pędziły w stronę drzwi wyjściowych. Malec zanosił się rozpaczliwym płaczem, a jego szloch odbijał się echem od ścian.

Dag otworzył drzwi. Zostali dosłownie ściągnięci ze schodów. Akurat w tym momencie nadeszła Irja z Taraldem. Kolgrim skoczył do Irji, wyciągnął do niej ręce i znowu zawył, tym razem z radości. A gdy go podniosła, oplótł rękami jej szyję.

Ona zaś głaskała jego sterczące ramiona.

- Moje kochane, małe dziecko - szeptała uspokajająco. - Kochane maleństwo. Teraz już zawsze będę przy tobie.

Wszyscy byli wstrząśnięci, patrzyli z przejęciem na cud. Kolgrim żywił jakieś uczucia do drugiego człowieka!

I tylko Liv widziała twarz chłopca ponad ramieniem Irji. Przeniknął ją lodowaty chłód na widok uśmiechu, który dostrzegła. Był podstępny, fałszywy, triumfujący.

Musiało mi się przywidzieć, pomyślała zaraz. Może on w taki sposób wyraża radość?

Gdyby jednak któreś z nich wierzyło, że po tym wszystkim będzie im z chłopcem łatwiej, to musiałyby doznać rozczarowania. Był i pozostał małym trollem, całkowicie świadomym swojej władzy i tego, jak należy się nią posługiwać.

I, podobnie jak to kiedyś Silje odkryła u Sol, przekonali się, że kara była czymś najgorszym, co można było wobec niego stosować, wtedy bowiem nienawiść i żądza zemsty czyniły Kolgrima śmiertelnie niebezpiecznym. Z czasem udało im się uzyskać pewien rodzaj równowagi pomiędzy miłością i surowością wobec niego, lecz utrzymanie tej równowagi szarpało ich nerwy i wymagało siły.

Nie, w żadnym razie nie jest to nowy Tengel dobry, już raczej Tengel zły, myślała często Liv bezbożnie.

119

Ale należał do nich, był małym dzieckiem, które się nie prosiło na świat i które ich potrzebowało. W głębi serc żywili dla niego czułość i smutek z powodu gorzkiego losu, jaki mu przypadł w udziale.

120

ROZDZIAŁ IX

I znowu w Grastensholm przygotowywano wesele.

Liv nie bardzo wiedziała jak to wszystko urządzić.

- Czy mogłabym zaproponować skromną uroczystość, Irjo? Miewaliśmy tu już wspaniałe wesela, na przykład moje pierwsze z Laurentsem Bereniusem. A bardziej nieszczęśliwego małżeństwa niż nasze nigdy chyba nie widziano! Potem był mój drugi ślub, z Dagiem, wesele dużo skromniejsze i spokojniejsze, a przecież sama wiesz, jacy jesteśmy ze sobą szczęśliwi. Wesele Taralda i Sunnivy też było szumne, ale małżeństwa nie ułożyło się najlepiej. Więc może teraz zrobilibyśmy skromne, ciche przyjęcie, dobrze?

Irja uśmiechnęła się.

- Oczywiście, tak, tak będzie najbezpieczniej. Ale bardzo bym chciała zaprosić mojego ojca...

- Och, kochanie, oczywiście wszyscy twoi bliscy przyjdą! I nasi z Lipowej Alei. Ale z zewnątrz nie chciałabym nikogo, tym razem.

Mimo to wpadła w panikę, kiedy obie z Irją sporządziły listę gości, umieszczając na niej wszystkich z Eikeby i rodzeństwa panny młodej mieszkające w okolicy. Bracia, siostry, wujowie, ciotki, kuzynowie i rodzina z Lipowej Alei, razem osiemdziesiąt pięć osób. Niemało, jak na skromną uroczystość.

Gdy po weselu udało im się nareszcie wyprawić ostatnią falę gości z Eikeby, wyczerpani byli wszyscy, gospodarze i służba. Jeszcze przy sprzątaniu znaleźli pod stołem jednego z kuzynów Irji, ale poza tym było pusto.

Tak więc Irja i Tarald zostali małżeństwem. Pastor ich pobłogosławił i wygłosił krótką, ale piękną mowę o tym, jak to wspaniale, że dwoje jego przyjaciół odnalazło się nawzajem.

Młoda, lalkowata pastorowa siedziała sztywno przy stole, sprawdzała palcami jakość tkanych ręcznie mat rozłożonych na ławach i kilimów na ścianach, nie przestając się uśmiechać łagodnie, lecz zarazem cierpko. Nieoczekiwanie Tarald i Irja doznali olśnienia.

Zaczęli się teraz domyślać dlaczego pan Martinius jest taki zgorzkniały. Później, wieczorem, stało się

to zresztą jeszcze bardziej oczywiste. Żona pastora, Julia, rozmawiając z Liv, traktowała ją wyniośle! Żeby się nikomu nie wydawało że stoi w parafii choćby o źdźbło wyżej, niż żona pastora. Liv popatrzyła na nią z szelmowskim błyskiem w oczach i wyciągnęła kieliszek w stronę Irji.

- Na zdrowie! I witaj w rodzinie, kochana baronowo!

Od strony pastorowej dało się słyszeć stłumione prychnięcie.

121

Wesele dobiegło końca. Kiedy nareszcie wszyscy sobie poszli, Tarald zatrzymał się przy drzwiach Irji.

- Dziękuję ci za dzisiejszy dzień, droga przyjaciółko. Wypełniłaś swoje obowiązki w najlepszym stylu. Teraz ja powinienem wypełnić moje.

Irja drgnęła, ale on tylko ujął jej rękę: - Dobranoc, Irjo. Lepszej matki nie mógł Kolgrim mieć!

Potem odszedł do siebie. Irja weszła do swojego pokoju, połączonego przez otwarte drzwi z pokojem Kolgrima. Długo leżała, wpatrując się w ciemność i dopiero przed świtem zapadła w sen.

Małżeństwo było szczęśliwe, choć zostało zawarte na tak niezwykłych warunkach. Tarald okazywał jej dużo więcej szacunku niż przedtem i często wszyscy czworo siadywali w długie zimowe wieczory, gdy Kolgrim poszedł już spać, i rozmawiali, albo grali w jakieś gry. Dobrze się czuli razem i nikt nie traktował Irji jak znacznie niżej od rodziny stojącej analfabetki, którą przecież w istocie była. Uważali, że jest im równa we wszystkim - mądra młoda kobieta, o gorącym sercu.

Pewnego dnia, w połowie marca, Tarald rozmawiał z Irją w pokoju Kolgrima. Stał przy oknie i wyglądał na dwór.

- Czy zastanawiałaś się może nad sprawą drugiego dziecka?

Irja drgnęła tak mocno, że to aż zirytowało Kolgrima.

- Tak - odrzekła cicho.

- Myślisz, że byłabyś już w stanie przez to przejść?

Zawahała się na moment.

- Masz na myśli długi czas oczekiwania? I poród? Tak. Jeśli tego chcesz.

Nie odwracając się powiedział.

- Czy odpowiadałoby ci, gdybym przyszedł dzisiaj wieczorem?

O, moje biedne serce, nie szarp się tak strasznie. Zostanę przecież rozerwana na kawałki.

- Tak. Odpowiada mi.

W ostatnim momencie zdążyła powstrzymać cisnące się jej na wargi „dziękuję”.

122

Poszła natychmiast umyć włosy i wykąpać się. Ręce dygotały jej tak, że z trudem nalewała wodę do miednicy. W końcu usiadła na ławce, zasłoniła twarz rękami i wybuchnęła gwałtownym płaczem.

Liv, która akurat tamtędy przechodziła z brudną bielizną, poruszona otworzyła drzwi i zapytała:

- Irjo, na Boga, co ci jest?

Irja, siedząca w samej tylko koszuli, nie była w stanie odpowiedzieć. Liv objęła ją, przytuliła i czekała aż synowa trochę się uspokoi.

- Tak się boję - wyszlochała na koniec Irja.

- Opowiedz mi, o co chodzi.

- Nie. Ja nie mogę o tym rozmawiać.

- Cokolwiek by to było, sama, jak widzisz, nie możesz sobie z tym poradzić.

- Ale to dotyczy tylko mnie i Taralda.

Liv siedziała bez ruchu.

- Czy on cię źle traktuje?

- Nie, nie, oczywiście, że nie!

- On jest moim synem, może jednak mogłabym ci pomóc?

- Tak się boję... bo on może uważać, że moje ciało jest okropne. I że nie uda mi się ukryć, że... że ja go kocham.

O Boże, pomyślała Liv, zamykając oczy. Co ten mój niemożliwy syn zrobił? Jak naprawdę głęboko zranił tę dziewczynę.

- Chcesz powiedzieć, że wy nigdy... nie byliście ze sobą?

Irja przełknęła łzy.

- Nie, nigdy. Ale teraz on chce mieć drugie dziecko. To ma się stać dziś wieczorem. Wykąpię się, mogę się ładnie ubrać i upiąć włosy tak, jak mi pokazała pani Silje, ale nie mogę zmienić swoich nóg!

Jej głos przeszedł w cienki pisk i znowu zaczęła płakać.

123

Taraldzie, jak możesz być taki okrutny? - myślała Liv zgnębiona. Czy ty nie jesteś naszym synem, wnukiem Charlotty, Silje i Tengela? Skąd ci się bierze ta nonszalancja i ten brak uczuć? Może to po twoim dziadku Jeppe Marsvinie? Albo po tym okropnym ojcu Charlotty?

Nagle Liv zapalała gniewem.

- Posłuchaj no, Irjo! Jesteś tysiąc razy lepsza od tego zimnokrwistego głupca, zapamiętaj to sobie! To on powinien ci dziękować, że może do ciebie przyjść, to on powinien odczuwać pokorę wobec twojej wiernej miłości. Bo ty go od dawna kochasz, prawda?

- Tak, od wielu lat. Pani Silje wiedziała o tym.

Och, ile to musiało być gorzkich lat, pomyślała Liv, poruszona. I jeszcze Sunniva na dodatek!

- Irjo, ja nie mogę się w to mieszać. Jeśli teraz pójde i powiem mu, co do niego czujesz i co on powinien czuć do ciebie, jeszcze pogorszę sprawę. Ale jeśli jutro zobaczę, że jesteś rozżalona albo smutna... To ja go wtedy obję, nie zważając na to, że jest dorosłym mężczyzną. Wierz mi, ja wiem, co to znaczy być ranioną w małżeństwie. Przeżywałam z Laurentem Berenusem prawie to samo, co ty, a byłam wtedy nawet młodsza od ciebie. No, a teraz umyj się i zobaczymy, co należy zrobić. Mam trochę perfum i różu, na policzki i na wargi. Będiesz taka śliczna, że mój nierozgarnięty syn nawet nie spojrzy na mało ważne nogi.

Irja pociągnęła nosem i próbowała się uśmiechnąć.

- Dziękuję, najlepsza pani baronowo!

- Nie, ty znowu wracasz do swoich dawnych przyzwyczajień! Już od dawna przecież mówimy sobie ty. Między nami baronowymi.

Irja zbierała nerwowo jakieś drobne przedmioty w pokoju, przenosiła je z miejsca na miejsce, bez jakiegokolwiek ładu i składu. Miała na sobie ślubną nocną koszulę Charlotty Meiden, przeznaczoną dla panny młodej ze znacznie wyższego rodu niż ona. Ciemnoblond włosy rozpuszczone, spływały aż do talii, a z przodu zostały ułożone w długie loki. Liv umalowała ją dyskretnie i delikatnie skropiła różanymi perfumami.

Irja sama uważała, że jest dosyć ładna. Tak naprawdę, to nigdy przedtem taka ładna nie była. Na wszelki wypadek zamknęła drzwi do pokoju Kolgrima.

Po chwili rozległo się pukanie do drugich drzwi, tych od strony korytarza. Irja drgnęła, chciała zawołać „proszę wejść” ale zdołała wydobyć z siebie tylko słabiutki szept. Wciągnęła powietrze i podjęła jeszcze jedną próbę.

Jak sparaliżowana stała przy łóżku i mogła jedynie skinąć głową, gdy Tarald wszedł do środka.

Przyglądał się jej w świetle łożowych lampek rozwieszonych na ścianach.

124

- Nie bądź taka przestraszona - uśmiechnął się. - Wszystko pójdzie dobrze.

Tak możesz mówić ty, bo masz doświadczenie, pomyślała. Och, nie wolno mi myśleć o tym, że on trzymał w ramionach Sunnivę w miłosnym oszołomieniu, myślała z desperacją. Nie wolno mi. W końcu on jej nie znosił, tak było. Nie, tak też nie wolno mi myśleć, to niesprawiedliwe wobec biednej Sunnivy. Ech, do diabła z Sunnivą!

Brzydkie słowo zrobiło jej dobrze.

- Jaka ty jesteś ładna, Irjo! Jesteś naprawdę ładna.

Tarald miał na sobie tylko cienką koszulę i ciemne spodnie. Ostrożnie podszedł do niej i położył jej ręce na ramionach. Irja była tak spięta, że o mało nie upadła pod jego dotknięciem.

- Powinniśmy potraktować to chłodno i trzeźwo - powiedział przyjaźnie. - Tak będzie łatwiej, zobaczysz.

I ty w to wierzysz! - krzyczała w duszy. Chłodno, i trzeźwo? Ty, który jesteś dla mnie najpiękniejszym i najdroższym mężczyzną? Nie, ja tego nie zniosę, ucieknę stąd!

Ale on już zaczął zdejmować z niej nocną koszulę, a ona posłusznie podniosła ręce do góry.

Jak dziecko.

- Może zgasimy światło? - szepnęła tchórzliwie.

- Zaraz. A teraz połóż się, moja droga. Nie musisz się bać.

O Boże, jakie ona ma jednak krzywe te nogi, pomyślał Tarald, zaszokowany. Nic dziwnego, że tak brzydko chodzi. I to ciało, takie zdeformowane. To oczywiste, że rozumie Kolgrima, skoro sama jest tak strasznie zbudowana.

No, może zbudowana... to niewłaściwe słowo. To przecież choroba uczyniła ją taką. Oset...

Owszem, to trafne określenie!

Na moment przeniknął go strach. A jeśli ona w ogóle nie będzie mogła urodzić dziecka?

Jeśli to wszystko na próżno?

Irja leżała już na łóżku, skulona, jakby chciała ukryć swoje biedne ciało, Tarald zdjął z siebie koszulę i rozpiął pasek, a potem położył się obok niej.

Nigdy w życiu nie zdołam tego zrobić, myślał. Ona, tak mało pociągająca, nigdy nie wzbudzi we mnie pożądania.

125

Irja jednak była miła i ciepła, temu nie mógł zaprzeczyć. Drżała jak liść osiki, chociaż w pokoju było gorąco. Nie chciał jej pieścić, a tym bardziej całować, to by było idiotyczne, mieli przecież pozostać tylko przyjaciółmi.

Irja próbowała opanować drzenie, ale bez powodzenia. Czuła skórę Taralda na swoich piersiach, to on, ukochany mężczyzna jej marzeń, leżał teraz przy niej! Jak ona zdoła ukryć swoją tęsknotę do niego? Jak zdoła zmusić swoje ręce i ciało do posłuszeństwa i dyscypliny? Teraz on uniósł się lekko i oparł na łokciu.

Co będzie, jeśli go obejmę? Czy to wypada? Och, wiem tak niewiele, i tak się boję, tak się boję, że on się wszystkiego domyśli. Nie, nie dam sobie z tym rady. Czuję, jak moje serce łomocze, a całe ciało zaczyna pulsować. Ono chce się poddać, o Boże, on nie może się o tym dowiedzieć, umrę ze wstydu! Nie mogę się odsłonić, chcę być zimna i trzeźwa, nie, no i moje ręce leżą na jego plecach, nie chciałam tego.

Jęknęła bezsilna. Nie mogła nic zrobić, żeby się do niego nie przytulać.

Tarald był oszołomiony, zdumiony, jak mocno zaczyna mu bić serce. Biedna Irja, dla niej to pewnie też niełatwe, zrobiła naprawdę wszystko, by nie czuł się niechciany.

Trudno! Trzeba przez to przejść, a im szybciej, tym lepiej - i nieoczekiwanie poczuł, że, owszem, będzie w stanie wykonać, co do niego należy. Tak szybko - tego się nie spodziewał.

Przyciągnął Irję pod siebie jednocześnie ściągając swoje ubranie.

Pieściła ustami jego szyję, oczy miała zamknięte. Westchnęła cichutko, gdy stwierdziła, że Tarald się rozebrał. Kocham cię, kocham cię, ale nie mam prawa ci tego mówić ani okazywać, żeby cię nie odstraszyć.

Kobiecie, która zdaje sobie sprawę z tego, że jest z jakiegoś powodu mało pociągająca, trudno na ogół wejść w świat rozkoszy. Irja jednak miała ten moment za sobą, zmysły wzięły górę i ciało przestało już jej słuchać. Instynktownie, bez udziału woli, stało się to poza nią.

Jęknęła, gdy poczuła go na sobie. Ogarnął ją gwałtowny pożar, drżała z pożądania, które spadło na nią jak najgorsza piekielna udręka...

I nagle krzyknęła, zaciskając wargi. O nie, nie, to nie może tak boleć!

- Bądź dobry - prosiła cichutko.

Tymczasem Tarald, który zaczynał tak chłodno i z dystansem, teraz stracił kontrolę nad sobą. Niczego nie pojmował, był przestraszony swoją reakcją, ale nie mógł się już opanować, nawet gdy zauważył

jaki jej to sprawia ból. Irja była źle zbudowana, kości miednicy rozwinęły się nie tak, jak powinny, ale choć robił co mógł, ze względu na nią, nie był w stanie się powstrzymać. Nigdy przedtem nie doznał aż takiego napięcia.

126

W końcu najgorsze mieli za sobą i wtedy poczuł, jak mocno ramiona Irji obejmują jego kark, czuł jej wargi na swoim policzku, w oszołomieniu odszukał je swoimi ustami i trwał w głębokim pocałunku, dopóki obojga nie ogarnęła gwałtowna ekstaza.

Tarald opadł na łóżko. Czuł, że ona płacze cichutko, więc położył dłoń na jej policzku.

Irja ucichła nagle. Podniósł głowę i spojrzał na nią pytająco.

- No, jeżeli z tego nie będzie dziecka, to ja już nie wiem - uśmiechnęła się.

On uśmiechnął się także.

- Ale, dla pewności, spróbujemy jeszcze raz za kilka dni, kiedy nie będzie ci to już sprawiać bólu. A potem jeszcze następnego wieczora, i następnego. Bo bardzo to polubiłem, Irjo!

Ona westchnęła, uszczęśliwiona. Bardziej niż z Sunnivą? - chciała zapytać, ale nie zdobyła się na taką odwagę.

- Jeśli, rzecz jasna, będziesz chciała - dodał.

- Zawsze, Taraldzie - odparła. - Zawsze, kiedy mnie zapragniesz.

Następnego ranka, w pokoju Kolgrima, Liv z promiennej twarzy Irji odczytała, że jej syn zachował się wobec swojej małżonki godnie.

- No, wszystko poszło dobrze, jak widzę?

- O tak! On był taki miły, taki cudowny, pani Liv. I został u mnie aż do rana, to znaczy, on oczywiście zaraz potem zasnął, a ja nie miałam odwagi cofnąć ramienia, które mi w końcu zdrętwiało, ale taka jestem szczęśliwa, matko!

Liv ogarnęło wzruszenie, gdy została nazwana matką.

A Irja ciągnęła dalej, jednym tchem:

- Ja mu, rzecz jasna, nie powiedziałam, jak bardzo go kocham, bo z jego strony o niczym takim nie ma mowy. On mnie po prostu lubi i jest mu ze mną dobrze. Pani Liv - on chce mnie mieć! Pomyśleć tylko, Tarald mnie chce! I powiedział, że znowu do mnie przyjdzie.

Liv uśmiechnęła się i nie wypowiedziała głośno przestrogi, którą już, już miała na końcu języka, by Irja nie zadowalała się tylko takimi dowodami jego sympatii. Zamiast tego odezwała się przyjaźnie.

- Wiesz, uważam, że to wygląda na bardzo obiecujący początek miłości z jego strony.

- O Boże, gdyby to tylko mogła być prawda! - szepnęła jej synowa.

127

Irja bardzo szybko zaszła w ciążę. Tarald jednak nadal do niej przychodził. W końcu zamieszkali razem, a drzwi do pokoju jego małego synka zostawiali na noc otwarte.

Pewnego dnia lata, gdy Irja była z chłopcem w ogrodzie i usiłowała go przekonać, by nie zrywał wszystkich kwiatów babci, podniosła nagle głowę i zobaczyła, że przyszedł do nich Tarald, w roboczym ubraniu; brudny i umazany gliną.

Uśmiechnęła się na powitanie, ale jego twarz pozostała poważna.

- Kocham cię, Irjo - powiedział spokojnie. - Kocham cię dużo bardziej i szczerzej, i dużo goręcej, niż kiedykolwiek kochałem Sunnivę. Ty dajesz mi niewiarygodnie więcej, i w dzień i w nocy.

Gorące uczucie szczęścia ogarnęło Irję, zerwała się i pobiegła do domu, zasłaniając twarz rękami, by ukryć płacz.

- Co, na Boga...? - zapytała Liv, zajęta w pobliżu jakąś pracą. Co ty jej powiedziałaś, Taraldzie?

Młody mężczyzna potrząsnął głową.

- Powiedziałem tylko, że ją kocham. Nic nie rozumiem.

- Nie? Ale za to ja rozumiem - oświadczyła Liv, podchodząc bliżej. - I zaraz usłyszysz parę słów prawdy! Irja kochała cię gorąco i szczerze od dawna, zanim jeszcze wdałeś się w tę szaloną aferę z Sunnivą. Cierpiała przez ciebie wiele lat. Potem się zjawiałeś w domu z inną dziewczyną, która cię, na szczęście, nie chciała. Zraniłeś Irję strasznie swoimi cynicznymi konkurami, a tamtego dnia, kiedy oświadczyłeś, że odwiedzisz ją wieczorem, siedziała w pokoju kąpielowym i płakała rozpaczliwie ze strachu, że nie będą ci się podobały jej nogi i że mógłbyś się domyśleć, jak bardzo ona cię kocha. Dziękuję ci, mój synu, dziękuję, że byłeś dla niej dobry po tamtej nocy i że powiedziałeś jej o swoim uczuciu właśnie teraz!

Tarald długo patrzył na matkę.

- Ale dlaczego ona nic nie powiedziała?

- Nie, no wiesz co - westchnęła Liv zgnębiona. - Czasami zaczynam się zastanawiać, czy nie odziedziczyłeś kurzego mózdzku po swoim dziadku Jeppe Marsvinie. Kobiety zostały wyposażone i w nieśmiałość, i w dumę, nawet te niewykształcone, jak Irja. Ona... Och, ratunku! Chłopiec!

Rzucili się oboje ku ścianie domu, gdzie Kolgrim robił co mógł, żeby się zabić - wdrapał się na wysoki kamienny fundament.

Tarald zdjął go stamtąd, mimo wściekłych protestów, oddał pod opiekę babki, a sam pobiegł za Irją.

128

Znalazł ją w sypialni, gdzie próbowała usunąć ślady łez.

- Irja, kochana moja, dlaczego nic mi nie mówiłaś? - zapytał ją i objął mocno. - Matka opowiedziała mi o twojej miłości. Straciliśmy tyle czasu!

Irja promieniała szczęściem.

- Nie, niczego nie straciliśmy. Najpóźniejsze zimowe jabłka potrzebują bardzo dużo czasu, żeby dojrzeć.

- Porównujesz mnie do zimowego jabłka? - roześmiał się Tarald. No tak, jestem chyba trochę cierpki, to muszę przyznać. Wybacz najdroższa wszystkim ból, jaki ci sprawiłem przez to, że tak nic nie rozumiałem!

- Taka byłam szczęśliwa w ostatnim czasie, przecież wiesz. A teraz mogę ci nareszcie powiedzieć, jak bardzo cię kocham. Nie, Taraldzie, puść mnie! - wołała z uśmiechem. -

Przyniosłeś tu ze sobą ziemię z połowy pola!

Na dole, w ogrodzie, Liv walczyła z Kolgrimem, który stawał się coraz większy i silniejszy.

- Będziesz siedział na ziemi, ty mały...

Uznała, że lepiej nie wymawiać tego słowa, które przyszło jej do głowy.

Dag wrócił konno z zarządu gminy i wobec możliwości posiedzenia na koniu chłopiec zapomniał o walce z babką.

Pozwolono mu, rzecz jasna, wspiąć się na siodło,

- No? - zapytał Dag małżonkę. - Co tu słychać?

- List od Cecylii - odparła Liv, próbując uporządkować włosy po szarpaninie z wnukiem.

Będzie mogła nas odwiedzić. Przyjedzie na Boże Narodzenie i zostanie przez dwa miesiące.

- Nareszcie dobre nowiny! A z Irją, wszystko w porządku?

- Bardzo dobrze. Dzisiaj jest wyjątkowo szczęśliwa, bo Tarald ostatecznie zrozumiał, że to ona jest kobietą jego życia.

- O tak, ten chłopak zawsze wolno myślał.

Liv spoglądała na Kolgrima, który z rozjarzonymi, żółtymi oczami próbował nakłonić konia, by znowu ruszył galopem na drogę. Na szczęście dziadek i babka zdołali go powstrzymać.

- Dag, tak się martwię...

129

- Ale czym, wszystko przecież układa się teraz dobrze.

- Nie byłabym tego taka pewna - mruknęła pod nosem. - Bo jak ten nasz tyran przyjmie małą siostrę albo brata, jak myślisz?

Dag zaczął się zastanawiać.

- To naprawdę trudne pytanie, masz rację! Na dodatek taki jest przywiązany do matki tego nowego dziecka. Cóż, możemy mieć tylko nadzieję, że będzie dobrze.

- Boję się, że to na nowo zachwieje i tak niepewną równowagę. Zastanawiam się często, czy nie popełniliśmy wtedy błędu, kiedy ojciec nas pytał.

- Masz na myśli wtedy, gdy nas prosił, żeby przerwać to wszystko? - zapytał Dag. - Zanim nowe życie się narodziło? Tak, muszę przyznać, że i ja stawiałem sobie to pytanie. Myślę jednak, że postąpiliśmy słusznie. Z chrześcijańskiego punktu widzenia...

- Chrześcijański punkt widzenia często zmusza człowieka do wybierania z dwojga złego.

Ochroni się jedno życie, a potem trzeba resztę swego strawić na walce, by to uratowane nie niszczyło życia innych.

- Chyba trochę przejaskrawiasz - rzekł Dag, dużo bardziej oddany sprawom wiary niż jego żona. - Kochamy go przecież, czyż nie?

- Wyrażasz się trochę zbyt otwarcie - ostrzegła Liv. - Małe saganki też mają uszy. Ale, oczywiście, że go kochamy. Tylko, że ta smutna miłość, pomieszana z żalem. Nie, Kolgrim, nie wolno wbijać koniowi palców w oczy. Schodź na dół, zaraz będzie obiad.

To było słowo, które Kolgrim rozumiał. Natychmiast zeskoczył na ziemię.

W ogóle rozumiał dużo. Mówił niewiele, ale wykazywał jakąś osobliwą inteligencję, która nieustannie ich zaskakiwała. Co jednak sobie myślał w głębi duszy, nie wiedział nikt.

Tego lata dzieci w okolicy chorowały na świnkę. Kolgrim także, a od niego zaraził się Tarald.

Cierpiał bardzo, bo świnka zaatakowała wszystkie węzły chłonne. Pielęgnował go Tarjei, który przyjechał właśnie do domu z Tybingi.

- Masz szczęście, że Irja właśnie teraz oczekuje dziecka.

- Co moja świnka ma z tym wspólnego.

- To będzie twoje ostatnie dziecko.

Tarald zbladł.

- A skąd ty o tym wiesz?

130

- Na świnkę powinno się chorować w dzieciństwie. Dorośli mężczyźni na ogół ponoszą poważne szkody.

Po wyjściu kuzyna Tarald długo leżał, pogrążony w myślach. Jego ostatnie dziecko... Żeby tylko wszystko dobrze poszło...!

Dręczył go okropny niepokój. Irja nie czuła się ostatnio najlepiej - miewała bóle w plecach i nogach, a przecież musiała zajmować się tym dzikusiem, Kolgrimem...

Taralda zdumiewały jego własne reakcje. Miłość do Sunnivy miała w sobie coś z igraszek motyli. Uwielbiał na nią patrzeć, nosić ją na rękach, żyć wraz z nią w jakimś fantastycznym świecie piękna. Nigdy ze sobą nie rozmawiali, wzdychali tylko i zachwycali się wszystkim, przemawiali do siebie pieszczotliwie dziecinnym językiem, a Sunniva przez cały czas odgrywała jakąś rolę, była słodką i bezradną, wciąż za mało kochaną boginką. O Boże, jakże go to w końcu nudziło!

Z Irją wprost przeciwnie, mógł rozmawiać o wszystkim. Słuchała i rozumiała. Nigdy go nie drażniła, nigdy nie wyśmiewała jego powagi czy skrępowania, gdy musiał stwierdzić w jakiejś sprawie, że jego rozum nie sięga tak daleko. Tarald odczuwał dla Irji głęboką czułość.

Czasami, kiedy był gdzieś daleko, nagle ogarniała go taka gorąca fala uczucia dla niej, takie wzruszenie, że wprost nie mógł oddychać, przełykać śliny, a nawet widzieć wyraźnie. Jakie znaczenie miał jej wygląd? Istniała po prostu Irja, jego ukochana, a do Irji należały zdeformowane nogi, niekształtne ciało i szeroka, ale wzruszająco życzliwa twarz, i on kochał

to wszystko.

Często jej to powtarzał. Świadomość, że ją to cieszy, dawała mu jakieś poczucie bezpieczeństwa. A ile ona jemu dawała miłości...!

Tarald odnosił niejasne wrażenie, że w znacznej mierze zasługą jego małżonki jest to, iż stał się dojrzałym mężczyzną o silnym charakterze.

Cecylia przyjechała do domu w środku największych przygotowań do Bożego Narodzenia.

Wkroczyła w to ożywiona, zaraźliwie radosna i szczęśliwa, że nareszcie może trochę pobyc w domu. Od pierwszej chwili zaczęła wywierać wpływ na ich życie. Grastensholm nabrało blasku, jakby

Cecylia zarzuciła wszystko wokół kwiatami. Także Lipowa Aleja się ocknęła, ale to przede wszystkim dlatego, że i Tarjei przyjechał do domu na święta z Tybingi. On mógł

sobie częściej niż Cecylia pozwolić na podróż do domu, bo dziadek Tengel przekazał mu, w tajemnicy, większą część tego co zarobił lecząc ludzi. Nie dlatego, by chciał wyróżniać jednego ze swoich spadkobierców pomijając innych, lecz Silje i on byli zgodni, że Tarjei powinien się kształcić. A na to trzeba pieniędzy. Tengel zawsze starał się jak mógł, gdy chodziło o jego najbardziej uzdolnionego wnuka. Poza tym Tarald i Cecylia mieli przecież także majątek Meidenów, nic więc dziwnego, że Tengel przeznaczył trochę więcej dla rodziny Arego.

131

Teraz oboje najbardziej uzdolnieni członkowie rodziny zjechali do domu. Wszyscy z radością oczekiwali świąt, nie przeczuwając, jak będą one bogate w wydarzenia.

132

ROZDZIAŁ X

Ledwie Cecylia zdążyła przekroczyć próg domu w Grastensholm i zamknąć za sobą pięknie rzeźbione drzwi, a natychmiast wszyscy zaczęli ją wypytywać o nowiny z Danii.

- Czy mogłabym najpierw zdjąć okrycie? - szczebiotała uszczęśliwiona.

Był to niezwykle wytworny płaszczyk z czarnej, podbitej futrem materii. Liv, która osobiście pomagała malować murowaną obudowę paleniska, zeskoczyła ze stołka, by powitać córkę, przybyłą tak nagle. Cecylia nie pozwoliła się jej jednak dotknąć, dopóki się nie rozbierze, nie, żadnych białych plam na tym płaszczu!

- Och! jak to cudownie być znowu w domu! Jak wy pięknie tu wszystko urządziliście. Mamo kochana, proszę się jak najszybciej umyć, muszę uściskać was wszystkich... No, nie, zaraz zacznę płakać, a tego nie powinnam robić, solennie to sobie przyrzekłam.

- Ach, ojczy! Jak ja za wami wszystkimi tęskniłam!

Wpadła w objęcia Daga, ogarnięta zalem po wszystkich, którzy już stąd odeszli. Charlotta, Jacob, Sunniva... Należeli do tego domu. I z Lipowej Alei odeszli ci, którzy byli samym jądrem rodziny - Tengel i Silje.

Minęło kilka godzin zanim Cecylia poczuła się tu znowu w domu, a wtedy matka i córka odbyły w dużym salonie szczerą rozmowę w cztery oczy.

- No, a poza tym... Co tam u tego pana o tak dostojnym nazwisku? - zapytała Liv, udając, że nazwiska akurat zapomniała. W rzeczywistości wiele walnych chwil spędziła na marzeniach, wyobrażając sobie Cecylię jako przyszłą margrabinę. Sądząc z listów córki, musiał to być bardzo miły pan.

- U Alexandra Paladina? - pomogła jej Cecylia z udaną swobodą. A owszem, widuję go czasami. Ale

tylu mam adoratorów...

- Naprawdę? - rzekła Liv, jakoś nieprzyjemnie poruszona.

- Tak. Mogę wybierać i przebierać. Och, to ten wazon wciąż tutaj jest? No, nie, stałam się okrutnie sentymentalna!

Paplała bez przerwy, żeby zagłuszyć ból. Wkrótce poprosiła, by mogła pójść do swojego pokoju i ogarnąć się po podróży.

Alexander Paladin... Cecylia rozpakowywała się, a myślami wracała do niedawnej przeszłości. Nie mogła zaprzeczyć, że marzyła o nim.

Przeważnie Cecylia przebywała na zamku Frederiksberg, na północ od Kopenhagi, ponieważ tam właśnie mieszkały królewskie dzieci. Niekiedy do zamku przyjeżdżał także 133

margrabia, ale nie zdarzało się to zbyt często. Od czasu do czasu spotykali się w Kopenhadze, w trakcie jej rzadkich wypraw do stolicy. Były to jednak prawie zawsze spotkania przypadkowe - wpadali na siebie gdzieś na zamkowych korytarzach, albo bywali na tych samych przyjęciach. Zawsze wtedy odbywali dłuższe rozmowy i to nie Cecylia była ich inspiratorką.

Mimo jednak że margrabia chciał, jak się sam wyraził, „otoczyć opiekuńczym ramieniem tę małą, norweską panienkę, tak bezbronną wobec dworskich intryg”, wciąż jakoś dziwnie jej unikał.

Zdarzało się wprawdzie, od czasu do czasu, że przychodził prosić, by mu towarzyszyła na jakiś koncert lub przedstawienie teatralne na zamku, organizowane przez króla. Chętnie się na to godziła i zawsze bardzo dobrze czuła się w jego towarzystwie. Nie mogła jednak nie dostrzegać jakiegoś spłoszonego, niemal zaszczutego wyrazu jego oczu ani ukradkowych spojrzeń innych ludzi.

Nigdy nie powiedział niczego, co by świadczyło, że choć odrobinę jest w niej zakochany.

Nigdy jej nie dotknął, z wyjątkiem okoliczności, kiedy znajdowali się w otoczeniu innych. W

takich sytuacjach zdarzało się, że kładł jej poufale rękę na ramieniu i szeptał do ucha coś najzupełniej obojętnego, lecz z takim uśmiechem, jakby to był niesłychany sekret.

Potem jednak zawsze żegnał się przed drzwiami jej pokoju, całował uprzejmie w rękę i dziękował za miłe towarzystwo.

Owszem, rozmawiali ze sobą swobodnie. Cecylia jednak traciła orientację i zupełnie nie rozumiała jego postawy, dopóki nie doszło do tych okropnych wydarzeń, które spadły na nią jak bolesne ciosy. Na ich wspomnienie jeszcze teraz rumieniec oblewał jej policzki.

Cecylia uświadomiła sobie, że przerwała pracę. Usiadła na łóżku, jakby nogi odmówiły jej posłuszeństwa. Zmęczona podróżą i zgnębiona wspomnieniami, położyła się w końcu, zasłaniając twarz ręką.

Wszystko zaczęło się tuż przed wyjazdem z dziećmi z Frederiksborg do Dalum Kloster, gdzie miały pozostać pod opieką babki, Ellen Marsvin, dalekiej kuzynki tego nikczemnika Jeppe Marsvina, dziadka Cecylii. Pokrewieństwo było jednak tak dalekie, że już prawie zupełnie pozbawione znaczenia. Dobrze, że dzieci mogą tam pojechać, myślała, bo pani Kirsten naprawdę nie jest dobrą matką. Pani Kirsten, osoba pełna temperamentu i porywcza, biła je często tak, że zostawały sińce na całym ciele. Szczególnie okrutnie traktowała najstarszą córeczkę, Annę, bo dziewczynka była podobna do ojca, króla Christiana, a tego Kirsten Munk nie mogła znieść. Cecylia musiała pocieszać biedactwo i, w miarę upływu czasu, stawały się sobie coraz bliższe. Pocięchą dla dziewczynki było i to, że ojciec bardzo ją kochał. Zresztą to właśnie mała Anna wyjednała u ojca, że Cecylia została opiekunką także jej młodszych sióstr. Król chciał, żeby pozostała na dworze, Alexander tego chciał i dzieci także. Pani Kirsten i jej ochmistrzyni niewiele mogły więc zrobić. Po kryjomu 134

dręczyły jednak Cecylię złośliwym wytykaniem jej rzeczywistych czy wymyślonych błędów, zaczepkami, złym słowem.

Inna sprawa, że i u babki, Ellen Marsvin, dzieciom wcale nie wiodło się lepiej.

Pewnego ranka, na krótko przed wyjazdem z Frederiksborg, Cecylia przyszła do zajmowanego przez dzieci skrzydła zamku, by rozpocząć codzienną pracę. Od progu dostrzegła, że wszystkie pokojówki, zbite w gromadkę, szeptem opowiadają sobie jakieś sensacje.

Po chwili zjawiała się też ochmistrzyni.

- O, panna Cecylia! A co tam słysząc u pani serdecznego przyjaciela? Mam na myśli margrabiego?

Słowa serdeczny przyjaciel wypowiedziała z nieukrywanym szyderstwem.

Cecylia wiedziała, że Alexander przebywa właśnie we Frederiksborg, lecz nim zdążyła cokolwiek powiedzieć, tamta dodała:

- Nie oświadczył się jeszcze?

Wszystkie pokojówki wybuchnęły śmiechem.

- Nie rozumiem o co chodzi - odparła Cecylia, zbita z tropu.

Oczy ochmistrzyni rozblęły triumfująco.

- Ktoś chyba szepnie Jego Wysokości parę słów do ucha. O tym, że widziano młodego chłopca, który wczoraj o czwartej nad ranem opuszczał pokój margrabiego.

Wszystkie głowy z zainteresowaniem zwróciły się ku Cecylii.

Ona zaś stała oszołomiona, nie wiedząc, co począć. Tak? No to co?, chciałyby zapytać.

Sama widywałam pewnego młodzieńca, jak tam wchodził. Wiele razy. Co w tym takiego nadzwyczajnego?

Po minach kobiet poznała jednak, że Alexander popadł w poważne tarapaty. Szpiegostwo?

Sprzysiężenie przeciwko królowi?

Powagę sytuacji potwierdziła nie milknąca ani na moment ochmistrzyni:

- Jego Wysokości to się nie spodoba, o nie! Jeśli król będzie w dobrym nastroju, to może skończy się na tym, że margrabia popadnie w niełaskę i zostanie wrzucony do ciemnicy. Ale, jeśli będzie w złym humorze, to...

135

Zrobiła wielce wymowny gest, przeciągając palcem po gardle.

Cecylia zdołała się w końcu pozbierać. Ochmistrzyni gadała bez przerwy, nikt nie zauważył milczenia młodej panny.

- Rzeczywiście, Alexander Paladin przyjmował wczoraj w nocy wizytę młodego człowieka -

powiedziała pewnym głosem, bowiem margrabia był dla niej zawsze taki miły. Teraz na nią przyszła kolej, żeby mu pomóc. - Pewnie wiecie, że margrabię od pewnego czasu męczą dokuczliwe napady gorączki. Właśnie wczoraj, już późno w nocy, kiedy odprowadzał mnie do mojego pokoju, poczuł się bardzo źle. Wtedy ja go musiałam odprowadzić, z pomocą jakiegoś młodego człowieka, którego przypadkiem spotkaliśmy. Poprosiłam potem tego młodzieńca, by poszedł ze mną i zabrał dla margrabiego środek przeciwko gorączce.

Postąpił zgodnie z moim poleceniem i zaniósł lekarstwo. Co w tym dziwnego?

W tej samej chwili spostrzegła, że do pokoju wszedł król. Ukłoniła się, jak wszyscy obecni.

- Okropny ruch musiał panować na korytarzach dzisiejszej nocy oświadczył król sucho i więcej do tej sprawy nie wracał.

Następnego dnia Cecylia dostała duży bukiet jesiennych kwiatów, który posłaniec przyniósł do jej pokoju wraz z bilecikiem:

„Dziękuję. Czy chciałabyś zjeść ze mną obiad dziś wieczorem? Oddany Ci Alexander”.

Był to bardzo wyszukany obiad w jego pokoju, serwowany na porcelanie i kryształach.

Alexander był jakiś taki uduchowiony, że podejrzewała, iż chce w ten sposób pokryć okropne zdenerwowanie, ona zaś próbowała mu odpowiadać w tym samym lekkim, dowcipnym tonie.

Wreszcie, kiedy siedzieli swobodnie nad jakąś grą, nie bardzo się w nią angażując, bo wypili sporo wina, Alexander powiedział:

- Cecyljo, jeśli chodzi o tę nocną wizytę, i te napady gorączki, które wymyśliłaś... Jesteśmy ci niezwykle wdzięczni, mój przyjaciel i ja.

- Och, przynajmniej tyle mogłam dla ciebie zrobić, zawsze okazujesz mi tyle życzliwości -
odparła wesoło, lecz zaraz spoważniała.

- Nie chciałam być niedyskretna, wypytując dlaczego to król miałby cię wtrącić do ciemnicy, ale zapytam mimo wszystko. Nie musisz mi odpowiadać. Domyślam się sprzysiężenia przeciwko królowi. A to poważna sprawa!

Piękna, silna ręka Alexandra opadła na stół. Margrabia długo i uważnie przyglądał się Cecylii.

- Sprzysiężenie przeciwko Christianowi? Czy ty kompletnie oszalałaś?

136

Cecylia zmieszana się.

- No, bo chyba nie jesteś w służbie jakiegoś obcego państwa? I nie szpiegujesz tutaj? Ty sam pochodzisz przecież z cudzoziemskiego rodu, prawda?

Alexander stracił mowę. W końcu jednak wykrztusił z siebie:

- Nie, nie jestem cudzoziemcem. Mój ród przybył do Danii bardzo dawno temu i na długo przed moim narodzeniem stał się rodem duńskim.

Cecylia czekała.

Po długotrwałej, jakby wszechogarniającej ciszy, Alexander jęknął i wsparł głowę na rękach, z łokciami na stoliku do gry.

- Dobry Boże! - szepnął. - Czy chcesz powiedzieć, że niczego nie rozumiesz? Że o niczym nie wiedziałaś?

- O czym miałam wiedzieć?

Alexander znowu spojrzał na nią. Jego fascynującą twarz wykrzywił teraz grymas rozpaczy.

- Cecyljo, na Boga! Mała, ufna Cecyljo z norweskiej prowincji. Moja przyjaciółko, jak ja cię potraktowałem? Byłem przekonany, że ty wiesz! Spotkałaś tu przecież kilka razy młodego Hansa i nie reagowałaś, więc myślałem, że rozumiesz. Och, nie, moje małe, drogie dziecko!

Cecylia miała łzy w oczach.

- Alexandrze, o co chodzi? Tak mi przykro widząc, że jesteś nieszczęśliwy. Czy on... Czy on jest może twoim synem? - zakończyła cicho.

Alexander na chwilę oniemiał, ale też trochę go to zirykowało.

- Moim synem? Nie, no przestań! To już nieprzyzwoite! Ile ja mam lat, twoim zdaniem...?

- Nie, nie mogę zrozumieć co by to mogło być, tak straszego i tajemniczego, że król chciałby cię skrzywdzić. Ale, wybacz mi, więcej pytać nie będę.

Alexander nadal milczał. Przyglądał jej się, lecz myślami był gdzie indziej.

- Powiedz mi, Cecyljo, jakie ty żywisz do mnie uczucia? Nie, zresztą nie mów, nie chcę tego wiedzieć! O Boże, drogie dziecko, co ja ci zrobiłem!

- Ty? Ty zawsze byłeś dla mnie miły.

137

- Nie! Ja ciebie wykorzystywałem! Igrałem z twoją przyjaźnią bawiłem się świętymi uczuciami. Na Boga!

Ufam, że nie zraniłem cię zbyt głęboko, ufam, że nie zbrukałem czegoś pięknego w twojej duszy. Lecz w atmosferze dekadencji jaka tu panuje nie mogłem myśleć inaczej jak tylko, że ty wiesz. Nie rozumiałem jaka jesteś czysta i nie zepsuta. Nie, Cecyljo, nie pytaj, tak mi okropnie wstyd! Wszystko, co mogę ci powiedzieć to to, że jestem obciążony sekretnym brzemieniem oraz to, że tutaj, na dworze mam wielu wrogów. Podejrzewa się mnie, ale nikt nie zdołał przedstawić dowodów. Jestem faworytem króla, lecz gdyby król otrzymał dowody, byłbym zgubiony. W jednej chwili. I teraz, Cecyljo, nasze drogi muszą się rozejść. Na zawsze. Dziękuję Bogu, że opuszczasz Frederiksborg, że będziesz z dala ode mnie.

Przyjaźń z tobą dodawała mi siły. Ale niech Bóg broni, żeby to kiedykolwiek miało być coś więcej niż tylko przyjaźń! Tak źle ci nie życzę!

Cecylia wstała zgnębiona i nieszczęśliwa. Nie rozumiała o co chodzi, nie chciała rozłąki z najlepszym przyjacielem, on jednak był nieprzejednany.

Opuściła zatem Frederiksborg, lecz jej nowa pani, Ellen Marsvin, nie okazała się wcale łaskawsza od poprzedniej. To zaś, że ochmistrzyni przeniosła się wraz dziećmi, wcale sprawy nie ułatwiało.

Alexandra Paladina więcej nie spotkała, a wkrótce otrzymała pozwolenie na pierwszą, po wielu latach, wizytę w Norwegii. Tęskniła jednak do swego przyjaciela nieustannie.

Dopiero w drodze z Oslo do Grastensholm dowiedziała się o co naprawdę chodzi.

W Oslo oczekiwał na nią Tarjei. Przyjechał tam poprzedniego dnia i miał jej towarzyszyć do domu. Oboje zresztą przybyli wcześniej niż przewidywano, więc nikt nie wyjechał im na spotkanie w porcie.

W powozie opowiadali sobie nawzajem o swoich przeżyciach i w końcu Tarjei zapytał, rzecz jasna,

o jej romanse i o to, czy znalazła sobie jakiegoś wielbiciela. Wtedy Cecylia opowiedziała historię o Alexandrze Paladini, bo z Tarjeim zawsze mogła rozmawiać o wszystkim szczerze, choć był od niej pięć lat młodszy.

Gdy usłyszał, co miała do powiedzenia, spoważniał, zagryzł wargi i nie chciał niczego wyjaśniać.

- O co chodzi, Tarjei? - dopytywała się Cecylia niespokojnie.

- Ty naprawdę niczego nie rozumiesz?

- Dokładnie tak samo pytał Alexander. Więc ty wiesz, co to znaczy?

- Tak, nietrudno się domyśleć. Czy jesteś w nim zakochana?

138

- Nie wiem, ale naprawdę go lubię.

- Nie chciałbym zniszczyć ani urazić twoich szlachetnych uczuć, sądzę więc, że najlepiej, byś została przy swojej niewiedzy.

- Nie! - zawołała Cecylia, chwytając go za klapy. - Ja chcę wiedzieć! Czuję się, jakbym błądziła w ciemnym tunelu i starała się po omacku dotknąć czegoś przyjemnego, ale wokół

jest tyle obrzydliwości, że nie mam odwagi dotknąć czegokolwiek.

- Tak, to bardzo trafne porównanie.

- No więc? Albo mi zaraz powiesz, o co chodzi, albo więcej z tobą nie rozmawiam.

- To groźba czy obietnica? - drażnił się z nią Tarjei. - No, ale mówiąc poważnie, czy ty naprawdę nie słyszałaś o takich mężczyznach, jak Alexander?

- Co rozumiesz przez „takich mężczyzn”?

Tarjei skrzywił się niechętnie na myśl, że będzie musiał naruszyć jej niewinny świat.

- Nie oczekuj nigdy miłości z jego strony, kuzynko!

Cecylia wyglądała teraz dosyć żałośnie. Skuliła się w kącie powozu.

- Dlaczego nie?

- Ponieważ istnieją mężczyźni, którzy... ale, na Boga... dziewczyno, czy ty nie pojmujesz, co młody Hans robił w nocy w jego pokoju?

- Nie.

- Oni... Och, Cecylia, rusz głową! Istnieją mężczyźni, którzy nie interesują się kobietami. Nie mogą ich kochać. Oni kochają mężczyzn!

Słowa z trudem torowały sobie drogę do jej umysłu. To, co powiedział Tarjei, brzmiało bezgranicznie głupio.

- Bardzo dobrze rozumiem, że pozycja twojego przyjaciela na dworze jest niepewna - oświadczył Tarjei brutalnie. - Takie sprawy są surowo karane. Niekiedy śmiercią.

- Myślisz, że...

Miała wrażenie, jakby jej mózg został otulony wełną. Nie była w stanie się skupić.

- Tak, tak właśnie myślę - potwierdził Tarjei. - Oni przecież nie siedzą, trzymając się za ręce!

139

- Ale... - zaczęła Cecylia z powątpiewaniem. - To przecież niemożliwe... Oni przecież nie mogą...

- To już ich sprawa. Ja wiem tylko, że ich miłość może być równie głęboka i czysta jak nasza, tyle, że jest tysiąc razy bardziej dramatyczna.

A ten Hans? Jak on wygląda? Szczupły, urodziwy i bardzo młody. Jej rywal... Nareszcie wyobraźnia Cecylii zaczęła znowu działać.

- Zatrzymaj powóz - bąknęła niewyraźnie. - Muszę wyjść. Potrzeba mi powietrza.

Zanim dotarli do Grastensholm zdołała się jakoś pozbierać. Gruntownie przedyskutowali tę sprawę z Tarjeim i Cecylia dowiedziała się, że zdarzają się też kobiety mające takie same skłonności. Poczula, że nowy, niepojęty świat otwiera się przed jej naiwną duszą.

Nie chciała nigdy więcej widzieć Alexandra Paladina. Paladyna, jak go nazywano na dworze, nawiązując do dwunastu sławnych rycerzy, paladynów Karola Wielkiego. Paladyn Christiana IV - powiadano o Alexandrze.

- Niech to diabli porwą! - wrzasnęła nagle Cecylia w bezsilnej desperacji i wtedy Tarjei pojął, że najgorsze ma już ona za sobą. Oboje wybuchnęli śmiechem.

Ku zaskoczeniu wszystkich, Cecylia odnalazła drogę do serca Kolgrima.

Następnego ranka zeszła na śniadanie z okrzykiem:

- No, a gdzie się podziewa ta mała bestia?

Kolgrim, już teraz blisko czteroletni, zeskoczył z krzesła i rzucił się ku ciotce z taką siłą, że o mało jej nie przewrócił.

- Kochani, czy macie jakąś uzdę, żeby okiełznać tego szaleńca? - jęknęła i uniosła w górę malca, który chichocząc uszczęśliwiony, ciągnął ją za włosy.

- Co, chcesz mnie powiesić, ty przewrotny diable? - wrzasnęła Cecylia stawiając go na podłodze, po czym rozpoczęli dziką gonitwę po pokojach, przodem Kolgrim, zanoszący się śmiechem, a za nim Cecylia, wykrzykująca wszelkie możliwe przekleństwa.

W końcu z własnej woli dał się schwytać, a ona udawała, że zaraz stłucze go na kwaśne jabłko. Potem, przy stole, siedział tuż przy niej.

Zatroskani członkowie rodziny prosili, żeby się tak nie męczyła, ale ona odpowiadała, że ma znakomity trening z królewskimi dziećmi. Nie uważała też, że mały wygląda jakoś szczególnie odpychająco.

140

- Nie wiem, gdzie wy macie oczy? - pytała. - Czy nie widzicie, że tu rośnie prawdziwy zdobywca kobiet? Będzie to porywający, budzący lęk a zarazem tak przystojny mężczyzna, że żadna mu się nie oprze.

Zapewne miała rację. Choć trzeba było rzeczywiście szczególnej przenikliwości, by dostrzec przyszłego uwodziciela w raczej osobliwych rysach Kolgrima. Gdyby jednak Sol mogła zobaczyć swojego wnuka, rozpoznałaby go natychmiast. Z czasem Kolgrim stanie się całkowicie podobny do tamtego mężczyzny, którego spotykała podczas swoich wizyt w Rozpadlinie Ansgara, do swego oszałamiająco urodziwego przodka o lodowato zimnych oczach. Tego, który wyglądał tak uwodzicielsko, że Sol drżała ze szczęścia, dopóki nie zobaczyła w jego rękach odciętej kobiecej głowy.

To rysy tamtego mężczyzny ujawniały się powoli w twarzy Kolgrima, tak w pierwszych miesiącach życia groteskowej.

- Czy zrobiłeś dzisiaj coś naprawdę szalonego? - pytała na przykład Cecylia. - A wiesz, co ja uważam za naprawdę szalone? Nie zranienie kogoś, człowieka albo zwierzęcia, bo to po prostu głupie i dla takiego mądrego chłopca, jak ty, to żadna zabawa. Prawdziwe szaleństwo to na przykład pozwiązywać razem firanki, albo schować dziadkowi kapcie, albo coś w tym rodzaju.

Następnego ranka Kolgrim powiązał swoją pościel w ogromny węzeł, na co Irja wpadła w złość:

- Potraktuj to spokojnie - uśmiechała się Cecylia. - Chłopiec potrzebuje ujścia dla swojej nieokiełznanej natury. A to lepsze, niż miałyby się rzucać na ludzi lub zwierzęta. Ale nie rozsypuj tego sama, moja droga. Usiądź i odpocznij, a ja rozplączę węzeł.

Irja posłuchała z wdzięcznością. Cecylia podeszła do niej i pogłaskała ją po policzku.

- Bardzo się cieszę, że jesteś moją bratową - szepnęła serdecznie.

Irja zdołała tylko skinąć głową. Ze wzruszenia nie mogła wykrztusić ani słowa.

Podczas obiadu Kolgrim rzucił w twarz Cecylii swoją kaszę i patrzył, czy ciotka się rozzłości.

Lecz gdy ona zamiast tego wyrzuciła mu na twarz swoją kaszę, zaskoczenie całkiem zaparło chłopcu dech. Po czym wpadł we wściekłość, bo poczucia humoru to on akurat nie miał. Cecylia uspokoiła go szybko.

Wytarła sobie i bratanka, a potem przytuliła go mocno.

- Ty, Kolgrim, i ja, jesteśmy dwiema częściami jednej całości - powiedziała. - Oboje pochodzimy z Ludzi Lodu.

- Cecylio, nie powinnaś z nim rozmawiać o Ludziach Lodu! - upomniała Liv.

141

- Dlaczego nie? Dlaczego się zapierać istnienia w rodzie pięknego i szlachetnego nurtu? No, to porozmawiajmy teraz z mniej szlachetnym potomkiem Ludzi Lodu. - Czy ty wiesz, Kolgrim, że twoja babka umiała czarować?

- Cecylio, na Boga! - syknął Dag.

Ona jednak zdawała się nie zauważać przestrogi.

- Żebyś wiedział, że umiała. To była prawdziwa wiedźma.

Chłopiec słuchał z przejęciem.

- Wielu wśród Ludzi Lodu to czarownicy albo wiedźmy. Mój dziadek też był czarownikiem, ale on się czarami nie interesował.

- To głupio robił.

- Nie, chyba nie tak głupio. Ty nie możesz jednak zapominać, że jesteś także jednym z Meidenów. Jesteś małym baronem. I niech nas Bóg strzeże przed tym baronem - mruknęła na zakończenie.

- Meiden to gówno - oświadczył Kolgrim. - Ja jestem czarownikiem.

- Otóż to. Mówi się, że twoja babka, która poza tym była bardzo piękna, umiała przesuwac przedmioty tylko dzięki temu, że się w nie intensywnie wpatrywała. Tak mi powiedzieli twój dziadek i twoja babcia, to znaczy Dag i Liv.

Oczy Kolgrima stawały się coraz większe.

- Przesuwac przedmioty? Jak?

- No spójrz na przykład na tę małą miseczkę... otóż twoja babka, gdyby tylko mocno, ale to naprawdę mocno wpatrywała się w taką miseczkę, to mogłaby ją przesunac tu, do mnie.

Rozumiesz?

Chłopiec patrzył na miseczkę z takim natężeniem, że aż dostawał zęba.

- No, przesuń się, ty głupia misko! Ona nawet nie drgnęła - skarżył się.

- A coś ty myślał? Twoja babka, Sol, ćwiczyła przez wiele lat, zanim się tego nauczyła.

Cecylia zwróciła się do siedzących przy stole krewnych. Westchnęła ciężko.

- Wiecie co, czasami naprawdę mam takie uczucie, że już kiedyś przedtem żyłam. To przerażające, ale zarazem cudowne uczucie.

142

Dag i Liv spojrzeli na siebie. Dawno temu Are przekazał im ostatnie słowa Sol: „Czuję, że wrócę do was. W nowym, sympatyczniejszym wcieleniu”.

Cecylia wiedziała oczywiście, że jest bardzo podobna do Sol, ale tych słów nigdy nie słyszała. Nie powiedzieli jej, bo nie wiedzieli jak by to przyjęła, najchętniej chciałyby zapewne być sobą, a nie jakąś inną osobą, która „wróciła”.

- Ona się przesuwa! - wrzasnął Kolgrim. - Ciociu Cecylio, miska się przesuwa!

- Ha, ale oszukujesz, ty mały lisie!

- Nie oszukuję! Wcale nie!

- Oczywiście, że oszukujesz!. Myślisz, że kątem oka nie widzę twojej ręki? Chodź, Kolgrim!

Spróbujemy wymyśleć coś naprawdę zabawnego i naprawdę zakazanego.

- Taaak! - wrzasnął Kolgrim: - Matko, moje ubranie!

Irja pomogła mu się ubrać, wdzięczna Cecylii, że chce się chłopcem zająć. Spodziewała się rozwiązania dosłownie w każdej chwili i Kolgrim bardzo ją męczył. Liv miała ręce pełne roboty z przygotowaniem do świąt. Wszyscy byli bardzo zajęci.

Dzień przed wigilią trzeba było wezwać położną.

Cecylia żartowała z brata:

- Czy nie można było staranniej tego zaplanować, Taraldzie? Kto ma czas zajmować się noworodkiem, kiedy wszyscy leją świece i robią kielbasy?

- Wszystko jest od dawna gotowe, Cecylio - powiedziała Liv. - Nie denerwuj Taralda jeszcze bardziej. Pamiętaj, że on ma bolesne doświadczenia z porodami w tym domu!

- Och, to nie on ma bóle! Jego obowiązki, jeśli o to chodzi, były raczej przyjemne!

- Są też cierpienia psychiczne, Cecylia. Nie bądź taka cyniczna.

- Czy wy myślicie, że ja tak mówię poważnie? - rzekła Cecylia z żalem.

Po chwili zawołała wesoło:

- A gdzie się podziewa mój mały potwór?

Kolgrim pojawił się natychmiast nie wiadomo skąd i podbiegł do miłosiernej ciotki.

- Chodź, mój trollu. Pójdziemy sobie na dwór, ty i ja - zaproponowała Cecylia. - Myślę, że nic tu po nas. Mama Irja ma zamiar dać ci małą siostrę albo brata, co ty na to?

143

Kolgrim chwycił leżący na stole nóż i zaczął nim wymachiwać, jakby go wbijał w jakąś wyimaginowaną istotę. Oczy płonęły mu gniewnie.

- Nie, no wiesz co! - rzekła Cecylia chłodno. - Jeśli zrobisz coś temu małemu dziecku, to mowy nie ma, żebym cię zabrała na wielki bal czarowników. Bo trzeba ci wiedzieć, że tam nie przyjmą nikogo, kto wyrządził krzywdę swemu małemu rodzeństwu. Przychodzi tam wielki, okropny troll, tysiąc razy większy niż całe Grastensholm i pyta: „Czy wszyscy popełnili naprawdę wielkie niegodziwości?” Na to wszystkie małe trolle odpowiadają – „tak”. Po czym on pyta znowu: „A czy byliście mili dla wszystkich, którzy są od was mniejsi?” Bo musisz sobie zapamiętać, że jest to dla trolla bardzo ważne.

Kolgrim wytrzeszczał oczy i przytakiwał. Był tak przejęty, że łykał powietrze otwartymi ustami. Głośno przy tym mlaskał.

Cecylia mówiła dalej.

- Wszystkie trolle odpowiadają, że tak, lecz wielki troll rozgląda się wokół uważnie, po czym mówi: „Ale Kolgrim nie był miły dla swego braciszka”, albo siostrzyczki, zależnie od tego, co będzie. Po czym pokazuje palcem na Kolgrima i powiada: „Wynoś się stąd! Wynoś się! Nie chcemy cię tu więcej widzieć, bo ty nie jesteś, prawdziwym trollem. Byłeś niedobry dla mniejszych i dlatego nie wolno ci tu nigdy więcej przychodzić!” Wtedy wszystkie trolle cię wypędzą. Czy chcesz, żeby tak właśnie było, Kolgrimie?

Chłopiec gwałtownie potrząsnął głową, oniemiały z wrażenia.

- Czy wciąż chcesz być niedobry dla tego dziecka, które się urodzi?

- Nie, już nigdy! Kiedy pójdziemy do trolli?

- Najpierw musisz trochę podrosnąć. Pójdziemy tam oboje, kiedy dosięgniesz do tej tarczy, tam, na

ścianie.

Kolgrim mierzył wzrokiem odległość tarczy od podłogi. Jego oczy mówiły wyraźnie, co myśli.

A może by tak podstawić stołek? Żeby przyspieszyć?

- Będę bardzo miły. Dla tego małego dziecka, chciałem powiedzieć.

- W porządku. Takim cię lubię, Kolgrim. Jesteś moim najlepszym przyjacielem, karzełku?

Chłopiec zarzucił jej ręce na szyję tak, że mogła spojrzeć wprost w siarczane, żółte oczy.

- Nie masz innego przyjaciela? - spytał zazdrośnie.

Dlaczego jej musiał przypomnieć, akurat teraz?

144

- Nie, nie mam innego przyjaciela - odparła bezbarwnie. Wiedziała jednak, że teraz potrzebna jest chłopcu.

Dag, który przysłuchiwał się całej tej historii o trollach, rzekł z namysłem:

- Powinnaś rozmawiać z nim raczej o chrześcijańskiej etyce, Cecyljo, a nie...

- Ależ tak właśnie robię, ojczy! Tylko ją trochę nagięłam do jego potrzeb. Czy nie rozumiecie jakie normy ten chłopiec uznaje? A właśnie dzisiaj trzeba mu poświęcić szczególnie dużo uwagi.

- Oczywiście, rozumiemy to przecież.

- Czy czarownice też tam przychodzą? - dopytywał się Kolgrim.

- No jasne! Całe tłumy! I wodnice, i strzygi, i karzełki, i wiedźmy, i upiory...

- A czarownicy też?

- Setki.

Malec wzdychał uszczęśliwiony.

- No, chłopcze, idziemy stąd! Pójdziemy do ciotki Mety, do Lipowej Alei. Ona już pewno upiekła świąteczne placki. Zakradniemy się do kuchni i skubniemy po kawałku!

- Jasne! - ucieszył się Kolgrim.

Dag potrząsał z niedowierzaniem głową. Nie było to bardzo rozsądne, ale nigdy przedtem nie widzieli Kolgrima naprawdę szczęśliwego, więc przymykali oczy na szalone metody wychowawcze Cecylii.

- Ciekawe, jak masz zamiar zorganizować ten bal czarownic? - mruknął Dag pod nosem.

- O, do tego czasu wyrośnie na pewno z iluzji - odparła Cecylia.

Wyszli akurat w odpowiednim momencie, bo Irja zaczynała już mieć bardzo częste bóle.

145

ROZDZIAŁ XI

Akuszerka ujęła się pod boki.

- Znowu ma się urodzić dziecko Ludzi Lodu i nie mogę go przyjmować sama. Nigdy nie zapomnę tamtego porodu, kiedy Kolgrim przyszedł na świat.

Chciała, żeby młody Tarjei także przy tym był. Bo pan Tengel miał do niego zaufanie.

Po licznych wahaniach i wątpliwościach zgodzili się w końcu wezwać kuzyna.

Był to teraz młodzian blisko osiemnastoletni, średniego wzrostu, o dziwnie wyrazistych rysach twarzy i tak przenikliwym spojrzeniu, że ludzie, na których patrzył czuli się nieswojo i zaczęli się zastanawiać, czy nie mają czegoś na sumieniu. Wiadomo było, że na uniwersytecie dużo pracuje i że w ciągu minionych lat uczynił poważne postępy w sztuce leczenia, zarówno w szkole, jak i w samodzielnych studiach! To naprawdę godny dziedzic Tengela, a ponadto lepiej wykształcony i w swoich działaniach bardziej staranny.

Uśmiechał się uspakajająco do Irji, która nie bardzo wiedziała, czy chce, żeby tak młody chłopiec wystąpił w roli położnika. Znała go co prawda bardzo dobrze, widziała jak dorasta i ciężko z nim pracowała, gdy zapanowała zaraza, razem też pomagali przyjść na świat Kolgrimowi. Ale tak długo przebywał poza domem, daleko, w jakimś kraju, który nazywał się Niemcy.

I teraz przyjechał do domu jako ktoś obcy, przynajmniej dla niej. Światowy, pewny siebie, błyskotliwy; zdawał się być o wiele bardziej dorosły niż ona. A przecież to ona pomagała go Mecie przewijać, kiedy był mały!

Irja modliła się. Przez cały ostatni miesiąc prosiła Boga o miłosierdzie i o to, by dał jej siłę.

Widziała jak rodził się Kolgrim i jak odebrał życie Sunnive. A mimo to, z własnej woli i bez lęku, gotowa była przejść przez cierpienia porodu. Pragnęła mieć dziecko z Taraldem.

Dopiero teraz w ostatnim okresie, zaczęła sobie uświadamiać niebezpieczeństwo i odczuwać lęk przed tym, co mogło się jej przydarzyć. Nawet pan Tengel nie zdołał uratować Sunnivy. Jak zatem młody Tarjei mógłby pomóc jej, gdyby tragedia miała się powtórzyć?

Leżała nocami, czuwając u boku śpiącego Taralda, złana zimnym potem. W swych serdecznych modłach nie myślała tylko o sobie.

Dobry Boże, szeptała w ciemnościach. Miej dla nas miłosierdzie! Pozwól, bym dała Taraldowi dziecko, które nie przyniesie ze sobą na świat rozpacz i smutku!

I oto jej czas nadszedł. Tymczasem ciało sprawiało wrażenie, że nie chce pomóc w tym, co ma się stać. Świadomość rodzącej była przyćmiona, jakoś nie do końca pojmowała, co się dzieje i nie rozumiała, że jej reakcje są wynikiem przerażenia, do którego nie chciała się przyznać.

146

To godzina mego losu, myślała Irja, od urodzenia jestem taka niewydarzona...

Prawdą zaś była, że zrezygnowała z walki jeszcze zanim ją podjęła.

Tarjei wyszedł do salonu, gdzie była zgromadzona rodzina i wyjaśnił, że wszystko musi potrwać. Poród nie będzie łatwy, bo w wyniku choroby przebytej w dzieciństwie Irja miała zdeformowane ciało.

I rzeczywiście poród się przedłużał. W tym roku nie obchodzono w Grastenshalm Wigilii.

Natomiast domownicy zabezpieczali się na wszystkie możliwe sposoby przed trollami i innymi istotami nadprzyrodzonymi, które zwykły się w noc wigilijną błąkać po świecie.

Rodziny Meidenów i Ludzi Lodu były niby takie światłe, a mimo to przesady tkwiły w nich niezwykle głęboko swymi korzeniami. Liv przez cały czas siedziała wiernie przy Irji, rozmawiała z nią spokojnie, a inni tymczasem znakiem krzyża starali się powstrzymać złe duchy, jakie ewentualnie mogłyby się przedostać do pokoju rodzącej.

Irja leżała po prostu i myślała, że to jej ostatnia możliwość, by urodzić dziecko. Nie tylko dlatego, że Tarald chorował na świnkę i pozostanie już bezpłodny. Z tego była raczej zadowolona, bo ona sama nie przeżyłaby już więcej porodów. Tarjei patrzył na nią tak, że nie mogła mieć co do tego wątpliwości. Sprawa była oczywista - teraz albo nigdy.

Kolgrim pozostał w Lipowej Alei, a Cecylia przeniosła się tam wraz z nim. Chłopiec był

poruszony. Mógł stać przed portretem swojej babci, Sol, i długo, długo wpatrywać się w jej twarz. „Piękna wiedźma”, tak ją nazywał. Uwielbiał też przyglądać się kolorowemu witrażowi, który kiedyś, dawno temu, malarz Benedykt ofiarował Silje. Skakał jak szalony po barwnych refleksach, rzucanych przez witraż na podłogę, by je, jak mówił, zamordować. Zadręczał też Tronda i Branda, doprowadzał obu niemal do szaleństwa, napadając na nich z najmniej oczekiwanych kryjówek.

A tak w ogóle, to tylko Kolgrima nie dręczył niepokój o Irję. Wszystkie przygotowania świąteczne zostały zaniechane, służba siedziała jak sparaliżowana, oczekując wiadomości, posiłki przygotowywano pośpiesznie i bez szczególnej uwagi, a Tarald wprost wychodził ze skóry i nie mógł sobie znaleźć miejsca. Parokrotnie, gdy napięcie nerwowe stawało się już nie do zniesienia, wychodził z domu, na ogół jednak przyjmował to wszystko z dużo większą dojrzałością niż poprzednim razem. Był z Irją jak długo się dało, wspierał ją i cierpiał wraz z nią, z mocnym postanowieniem, że nie stchórzy. W tych dniach wyraźnie nabrał nowych sił

psychicznych.

Wczesnie rano, pierwszego dnia świąt, do dużego salonu w Grastensholm wszedł Tarjei i uśmiechnął się do drzemiącego tam Daga:

- Gratuluję, wuju Dag! Został wuj po raz drugi dziadkiem.

Wiadomość nadeszła niespodziewanie, Dag nie słyszał przedtem żadnego poruszenia w pokoju rodzącej.

147

- Co, co się urodziło? Wszystko dobrze?

- O tak, ostatecznie skończyło się dobrze. Irja urodziła pięknego chłopaczka.

- Jeszcze jeden wnuk? Mogę tam wejść?

- Bardzo proszę! Tylko nie na długo, Irja jest śmiertelnie wyczerpana.

- Mogę sobie wyobrazić. Ale skoro poród był taki ciężki, to ona pewnie nie będzie mogła mieć więcej dzieci? Chociaż to nie tak łatwo temu zapobiec.

- Ona nie będzie miała więcej dzieci, wuju, więc nie ma się czym martwić. Dające życie gruczoły Taralda zostały tego lata uszkodzone.

Dag przyjrzał mu się uważnie, nie kryjąc podziwu.

- Ty naprawdę dużo wiesz.

Tarjei, młodzieniec o niezwyklej twarzy, uśmiechnął się szeroko.

Dag wślizgnął się do pokoju Irji. Panował tam uroczysty, przepiękny radością spokój.

Spokój pierwszego dnia świąt. Irja leżała wymęczona w łóżku, z obrzękłą, pokrytą czerwonymi plamami twarzą i przepoconymi włosami. Nie była urodziwa, to pewne, lecz Tarald był przy niej, ocierał troskliwie pot z jej czoła i patrzył na nią z najszczerzą miłością, jaką Dag kiedykolwiek widział.

Poczuł ucisk w gardle.

Akuszerka, o zmęczonym lecz szczęśliwym uśmiechu, wskazała na drugi koniec pokoju, gdzie Liv pochylała się nad kołyską. Żona spojrzała na Daga promiennymi oczami i przywołała skinieniem.

Podszedł i pochylił się także. W kołysce leżało maleństwo o łagodnych, pięknych rysach i miedzianorudych włoskach, z leciutkim uśmiechem na drobnych wargach. Oczka miało zamknięte.

Zwykle oczy noworodków są kurczowo zaciśnięte w obronie przed światłem, tak że nie można dokładnie odczytać rysów. Z tym dzieckiem było inaczej.

Ucisk w gardle rozrastał się. Dag poczuł, że gorące, słone łzy spływają mu po policzkach i dopiero teraz pojął, w jakim okropnym napięciu żyli ostatnio.

Ukradkiem otarł łzy swoją delikatną ręką i odwrócił się z uśmiechem do Irji i Taralda.

- Jak on będzie miał na imię? Mały Oset?

Tarald uśmiechnął się także.

148

- Powinniśmy go, rzecz jasna, nazwać Dag, ale Irja chciałaby też dać imię po swoim ojcu, skoro to ma być nasze jedyne dziecko. A największym marzeniem jej ojca jest właśnie to, żeby mały baron otrzymał imię po nim. A że urodził się chłopiec...

- Naturalnie. Jak na imię twojemu ojcu, Irjo, jakoś zapomniałem.

- Mattias - szepnęła, bo głosu nie mogła z siebie wydobyć.

- Oczywiście! Mattias to bardzo piękne imię - zgodził się Dag. Czy mogę zaproponować, żeby to było jego pierwsze imię, żeby nie mylono jego imienia z moim? To takie kłopotliwe mówić wciąż „starszy”, „młodszy”. Rozmawialiśmy z pastorem, żeby ochrzcił go jak najszybciej!

Nikt nie zapytał dlaczego. Wszyscy wiedzieli, że mnóstwo różnych tajemnych stworów czai się wokół kołyski małego, a ich najbliższym sprzymierzeńcem mógłby się okazać jego własny przyrodni brat.

Liv wciąż stała pochylona nad kołyską i przyglądała się swemu nowo narodzonemu wnukowi. Nie zdawała sobie sprawy z tego, że mocno zaciska ręce, a ramiona jej drżą.

- Mój Boże! - błagała z całej duszy. - Mój Boże, nie mogę być niesprawiedliwa! Pomóż mi, Boże spoglądać sprawiedliwym okiem na obu chłopców!

Mniej więcej to samo działo się w udręczonym sercu Irji. Dzięki ci, wzdychała raz za razem, dzięki ci, że pozwoliłeś mi wydać ten mały cud na świat. Dzięki, że zechciałeś, Boże, wybrać mnie, swą nędzną służebnicę, by się to dokonało. Nie zrozum mnie źle, Ojcze, nie myślę, że należę do szczególnie wybranych. Nie chodzi mi o symbol Bożego Narodzenia, o to, że moje dziecko urodziło się właśnie dzisiaj, ani o żadne sny o Mesjaszu. O nie! Ale czy nie chciałeś mi poprzez to przekazać czegoś szczególnego? Czy chcesz poddać mnie próbie?

Przekonać się, czy jestem dostatecznie pokorna i czy nie zawładnie mną pycha?

Ofiarowałeś mi wielki dar, wiem, i taka jestem szczęśliwa, że mogłam dać mojemu ukochanemu syna. Ale o tyle jeszcze muszę cię prosić. Daj mi siłę, Ojcze! Ty wiesz najlepiej, jak bardzo będę jej

potrzebować. Tak, to jest próba, czuję to. Pomóż mi jej sprostać, Boże!

Tarald podzielał wiele z jej uczuć. Nie mógł się napatrzeć dziecku w kołysce.

- Mnóstwo dzieci rodzi się w noc wigilijną - powiedział i popatrzył na obecnych niemal wyzywająco. - Każdego roku na całym świecie. Ale on urodził się rano!

- Tak, mój drogi - rzekł Dag. - Ale chyba nie powinniśmy sobie zbyt wiele wyobrazać!

- Nie, nie ma powodu - zgodził się Tarjei trzeźwo. - Zresztą dziecko jest przenoszone. Irja nie została zapłodniona w Dzień Zwiastowania, lecz dużo wcześniej! Więc to czysty przypadek, że mały urodził się właśnie w Boże Narodzenie.

Liv rzekła łagodnie:

149

- Myślę, że to nie czas narodzin sprzyja takim optymistycznym skojarzeniom, lecz raczej twarzyczka naszego malca. Jak to się mówi w kolędzie o małym Jezusku? Cichutki, miły i dobry? Takim właśnie go widzimy.

Wszyscy skinęli głowami z powagą.

Nie, małym Chrystusikiem ten chłopczyk nie jest, to pewne. Nikt nie mógł jednak zaprzeczyć, że wniósł do ich smutnej egzystencji promień światła. I wielu wzdychało w głębi duszy: Ach, gdybyż Silje, Tengel i Charlotta mogli go zobaczyć, poznać go!

Gdy Irja pomyślała za jaki drogocenny skarb stała się odpowiedzialna, ogarniał ją lęk. Jak wszystkie matki na całym świecie, mogła leżeć długo, wsłuchując się w jego oddech i zamierała z przerażenia za każdym razem, gdy zdawało jej się, że synek przestał oddychać.

To chyba największa udręka świeżo upieczonych matek!

Małego Mattiasa ochrzczono pewnego mroźnego, styczniowego dnia, a do chrztu trzymała go babka Liv. Niezmiernie dumny dziadek, gospodarz z Eikeby, stał w kościele w otoczeniu licznej rodziny i na własne uszy słyszał, że młody baron otrzymuje jego imię.

Właściwie to Cecylia miała podawać małeństwo, ale nikt nie mógł się na to zdecydować ze względu na Kolgrima. Nie chcieli w nim wzbudzać zazdrości wobec młodszego brata ani ryzykować skandalu w kościele, gdyby na przykład zaczął krzyczeć. Cecylia stanęła z przodu, ze swoją matką i najstarszym bratem Irji. Nikt nie mógł, ani się nie odważył, skarcić Kolgrima, który stał obok niej i zanurzwszy rękę w chrzcielnicy udawał, że wiosłuje.

Cecylia przyglądała się panu Martiniusowi, gdy odczytywał stosowne do uroczystości modlitwy. Patrzyła na niego podczas całego nabożeństwa, co zresztą nie jest niczym nadzwyczajnym, bo wierni powinni słuchać, co kapłan mówi. Podobało jej się to, co widziała.

Martinius był przystojnym młodym mężczyzną o smutnych oczach. Głos miał łagodny i serdeczny, kogoś jej przypominał, choć nie wiedziała kogo. Dopiero po powrocie do domu uświadomiła sobie, że Alexandra Paladina i doznała wstrząsu. Bo jeśli kogoś chciała zapomnieć, to właśnie Alexandra.

U młodego pastora wyczuwała jednak jakieś dziwne napięcie, którego nie mogła zrozumieć.

Jakby miał jakieś osobiste zmartwienie. Religijnego charakteru? Nie, raczej nie; sprawiał wrażenie, że pozostaje z Panem Bogiem na przyjaznej stopie.

Dlaczego, na Boga, zawsze muszę trafić na mężczyzn z jakimiś dolegliwościami duchowymi? - pomyślała zła sama na siebie.

Pan Martinius wiele razy w czasie nabożeństwa spoglądał od ołtarza na wiernych i napotykał wzrok Cecylii. Później już podświadomie zaczął szukać jej oczu.

To musi być młodsza siostra Taralda, domyślił się, ta co wyjechała do Kopenhagi krótko przedtem, zanim objąłem tutejszą parafię. Jej obecność odmieniła całą atmosferę

nabożeństwa, choć nie umiałby wytłumaczyć dlaczego. Czuł się jakoś dziwnie uradowany i podniesiony na duchu.

Rzucił pospieszne spojrzenie żonie, która siedziała swoim zwykłym miejscu i patrzyła, jakby go pilnowała. Surowo ściągnęła brwi. Tak, rzeczywiście, dzisiaj na kazaniu może wypowiadał się troszkę zbyt szczerze, a Julia jest taka bogobojna. Będzie się musiał

poprawić.

Ponownie spojrzął na Cecylię i doznał tego samego uczucia radości i uniesienia. Cecylia Meiden nie była nawet w połowie tak ładna jak Julia, ale jaką za to miała osobowość! Ile gracji i wdzięku!

Podczas chrztu znaleźli się tuż przy sobie, Panu Martiniusowi tak drżały ręce, że o mało nie upuścił książki do nabożeństwa. Litery tańczyły mu przed oczyma. Gdyby wiedziony jakimś przeczuciem Kolgrim nie wcisnął się pomiędzy nich, pan Martinius nie byłby w stanie dokończyć obrządku.

Mały Mattias to nadzwyczajne dziecko, stwierdził pastor. Nigdy nie widział u niemowlęcia takiego spojrzenia, tak łagodnego, pełnego zrozumienia, jeśli to odpowiednie słowa w odniesieniu do noworodka, ani takiego wzruszającego uśmiechu. Pastor był do głębi poruszony.

Jak to możliwe, by przyrodni bracia tak się między sobą różnili?

Odpowiedź zaś nie była bardzo skomplikowana. Po prostu mały Mattias odziedziczył po swoich przodkach wszystko, co najlepsze, podczas gdy jego biedny brat wziął to, co najgorsze. Teraz jednak wszyscy widzieli, że i Kolgrim wcale nie musi się wstydić swojego wyglądu. W jego niezwyklej twarzy było coś hipnotycznie przyciągającego. Coś niemal nieprzyjemnie sugestywnego w rozjarzonych oczach.

Każdego, kto w nie spojrział, przenikał lęk, choć nikt nie rozumiał dlaczego.

W tym trudnym czasie Cecylia była dla wszystkich wielką pomocą. By odciążyć Irję i Liv, zabierała często Kolgrima do Lipowej Alei, dokąd chodziła porozmawiać z Tarjeim. Oni dwoje mieli zawsze dużo ze sobą wspólnego.

W Lipowej Alei życie toczyło się utartym torem. Meta prała, gotowała, wszystkiego musiała osobiście dopilnować, nie tak, jak Silje, która prowadzenie domu chętnie zlecała służącym.

Meta chciała większość rzeczy robić sama, a w każdym razie wszystkiego dojrzeć. Are pracował w lesie albo w zabudowaniach, do domu przychodził tylko na posiłki, zgarbiony, milczący, ciężko stąpając, a za nim zjawiali się Brand, wierna kopia ojca, i nigdy nie milknący Trond. Ten ostatni marzył, by gospodarstwo w Lipowej Alei unowocześnić, ponieważ jednak Are nad tym właśnie pracował ciężko przez całe życie, to teraz nie bardzo cieszył się na myśl, że ktoś chciałby go poprawiać. Niczego już nie można robić lepiej, uważał. Tak więc żadne propozycje syna nie znajdowały posłuchu.

151

Szkoda Tronda, myślał często Tarjei. Ma tyle energii i zdolności przywódczych. Tu, w Lipowej Alei, nie znajdzie zbyt wielu okazji do rozwinięcia akurat takich cech. Tarjei próbował

z nim o tym rozmawiać i Trond podzielał jego zdanie. On też najchętniej by się stąd wyrwał, lecz nie po to, by studiować jak Tarjei. Trond chciał się zaciągnąć da wojska, ale ojciec na to się nie zgadzał, bardzo potrzebował syna w gospodarstwie.

- Wszystko się ułoży - zapewniał Tarjei, klepiąc brata po ramieniu. - Przywódca zawsze odnajdzie swoje miejsce. Jesteś jeszcze taki młody.

Trond z wdzięcznością kiwał głową. Żaden z nich nie zwrócił uwagi, że jest między nimi tylko rok różnicy. Tarjei wydawał się zawsze dużo bardziej dojrzały.

Pewnego dnia Cecylia i Tarjei siedzieli w domu, w Lipowej Alei, i rozmawiali o Kopenhadze i Tybindze, nie spuszczać oczu z Kolgrima, gdy w hallu dał się słyszeć głos pana Martiniususa. Wstali więc oboje i wyszli się przywitać.

Pastor rozmawiał z Arem i Metą. Najwyraźniej rzecz dotyczyła zbiórki darów albo opieki nad kilkorgiem dzieci w parafii, które właśnie straciły rodziców.

- Co się stało? - mruknął Tarjei. - On przyszedł sam? Takie sprawy zwykle załatwia ta jego energiczna laleczka o lodowatych oczach.

- Jego żona?

- Tak.

- Ona ma lodowate oczy? - spytała Cecylia z zainteresowaniem.

- Och, jeszcze jak. Jest ubóstwiana w parafii. Ale ja jej nie znoszę.

- Ja także nie.

- Poznałaś ją?

- Nie.

Tarjei uśmiechnął się.

Na widok Cecylii pastor drgnął, przywitał się jednak bardzo oficjalnie i podziękował za ostatnie spotkanie.

- Ostatnie spotkanie? - zdziwiła się Cecylia. - Pastor ma na myśli dzień, kiedy ten leśny troll, mój ukochany bratanek, pochłapał nas wodą z chrzcielnicy? To był bardzo urozmaicony chrzest, muszę przyznać. W każdym razie najbardziej zabawny ze wszystkich, jakie widziałam. Czy pastor był już w Grastensholm?

152

- Nie, właśnie się tam wybieram.

- Świetnie - wtrącił Tarjei. - Będzie pastor miał towarzystwo. Cecylia wraca ze swoim bandytą do domu.

Cecylia miała ochotę kopnąć go w kostkę. Zwróciła się jednak do pana Martiniusa z przesadnie słodkim uśmiechem.

- Jeśli pastor nie został tutaj zaproszony na przekąskę, rzecz jasna. Czy pastor należy do tych proboszczów, którzy chętnie zasiadają do stołu u swych parafian?

- Cecylia! - upomniał ją Are, lecz Tarjei przyjął to z uśmiechem.

Pastor także.

- Nie. Naprawdę mam nadzieję, że nie.

- No pewnie. Pastor ma taki ascetyczny wygląd - oświadczyła Cecylia. - Wuju Are, proszę dać pastorowi jakąś monetę i nie trzymać sakiewki tak kurczowo! A my zaraz sobie pójdziemy.

Była wściekła na kuzyna, może właśnie dlatego, że miała ochotę wrócić do domu właśnie w towarzystwie pastora.

- Proszę jej wybaczyć - śmiał się Are. - Już taka jest. Ona i mój syn Tarjei to najbardziej uzdolnieni członkowie rodziny i nie przepuszczą nigdy żadnej okazji, żeby nam, zwykłym śmiertelnikom, o tym przypomnieć.

Kolgrim biegł wokół, bawiąc się w jeźdźca, a Cecylia i pastor szli szybko do Grastensholm.

Była mroźna lecz ładna pogoda, białe obłoczki marznącej pary unosiły się przy twarzach rozmawiających. Na pokrytej grudą ziemi leżała cienka warstewka świeżego śniegu.

- Co za szalony pośpiech - roześmiała się Cecylia. - Czy to ja hamuję tempo, panie Martiniusie?

Ona wie, jak mam na imię, pomyślał gorączkowo. Zna moje imię i wymawia je z takim wdziękiem, jak nikt inny.

Zakłopotany poczekał na nią, tłumacząc się niezręcznie:

- Nie, wcale nie, to tylko...

Przerwał nagle, lecz Cecylia zdążyła już dostrzec jego pospieszne, ukradkowe spojrzenie w stronę probostwa.

153

- Boi się pan, że małżonka pana zobaczy? Z tak daleka? Musiałaby mieć naprawdę niezwykle oczy. I to ze mną? Ja przecież zupełnie nie jestem niebezpieczna!

- Tak, naturalnie! Nie, to znaczy, myślę...

- Ona pana pilnuje? - kpiła Cecylia.

- Panno Cecylio, proszę sobie nie żartować! Moja małżonka to wspaniała kobieta.

- Oczywiście - odparła śmiertelnie poważnie. - I bardzo bogobojna, słyszałam.

- Tak.

- I miłosierna.

- Bardzo.

- I śliczna.

- Jak anioł.

- To brzmi po prostu wspaniale! Ale jedno nie wyklucza drugiego. Jak się pastorostwo czują w naszej parafii?

- Bardzo dobrze. O, pani zapewne wie, że Irja, Tarjei i ja pracowaliśmy wraz z panem Tengelem w czasie zarazy. Zostaliśmy wtedy przyjaciółmi na śmierć i życie, tak myślę.

- To było krótko po moim wyjeździe do Kopenhagi... Złaż z drzewa, Kolgrim, ja cię bardzo dobrze widzę! Babcia Charlotta i dziadek Jacob zmarli wtedy. Cierpiałam bardzo, że nie mogłam przy nich

być.

Zdumiewała go jej bezustanna zmiana nastrojów, ciągle przeskakiwanie od żartów do spraw bardzo poważnych. Lubił to, bo świadczyło o bogactwie uczuć.

Mimo woli wrócił myślami do swojej małżonki i doznał uczucia jakby słońce przesłoniła ciemna chmura. Pan Martinius dał się ponieść hipotetycznym rozmyślaniom. Gdyby tak panna Cecylia nie wyjechała zanim on się osiedlił w tej okolicy. Gdyby ona także uczestniczyła w walce z chorobą, bo była już wtedy wystarczająco dojrzała, to pewnie. Jakie mogłoby teraz być jego życie?

Ale wszystko przepadło. Za późno.

Tarjei zastał wezwany do chorego. Pewien ubogi chłop został zraniony nożem podczas jednej z niezliczonych bijatyk, wybuchających przy okazji każdego świąt. Cecylia ofiarowała kuzynowi pomoc i Tarjei przyjął propozycję.

154

Chłopa wniesiono już do domu. Tarjei, który nie miał głowy do takich spraw, nie zauważył jak biednie jest urządzony dom, ani jak liczna gromada przerażonych dzieci tłoczy się przy łóżku ojca. Cecylia dostrzegła to wszystko od progu i pomyślała, że trzeba będzie przysłać jakąś pomoc. Tyle tylko, że tak samo nędzne były wszystkie domostwa wokół. Ten gospodarz, tutaj, nie może jednak umrzeć. Dla jego młodej żony byłaby to katastrofa! Trzeba go ratować!

Tarjei obejrzał rany. Podeszedł potem do mężczyzn, którzy przynieśli poszkodowanego do domu i rzekł półgłosem:

- Sprowadźcie pastora. Na wszelki wypadek.

Jeden z tamtych skinął głową i wyszedł. Cecylia usłyszała o co chodzi i przejął ją dreszcz.

Częściowo dlatego, że los rannego chłopca ją przerażał, ale także z innych powodów, w które na razie nie chciała się zbyt głęboko zagłębiać.

Noż ugodził mężczyznę w dół brzucha. Gdy Tarjei odsłonił ranę, Cecylia poczuła, że podłoga usuwa się jej spod nóg a pokój zaczyna się kołysać. W co ona, na Boga, się wdała?

Zarozumiała i bezmyślna, wyglupiała się przed Tarjeim, proponując: pójdę z tobą i pomogę ci.

A przecież mogła teraz siedzieć bezpiecznie w Grastensholm i rozmawiać z cudowną, kochaną Irją o wychowywaniu dzieci!

Cecylia nie mogła też wiedzieć, że akurat ten impuls, skłaniający ją do odegrania roli miłosiernej samarytanki, tak fatalnie odbije się później na biednej Irji, Tarjei coś do niej mówił.

- Wytrzymaj krew, Cecyljo!

Podał jej szmatkę, która jednak wypadła jej z ręki na podłogę. Cecylia przełknęła ślinę, zacisnęła zęby i schyliła się po gałganek. Próbowwała wycierać krew z zamkniętymi oczyma, ale to się nie udawało.

- Szybciej! - niecierpliwił się Tarjei:

Nie pojmował, że komuś robi się słabo na widok tego, co człowiek ma w środku.

Tarjei spojrział w górę, na ciemny dach i mały otwór, który nie przepuszczał prawie wcale światła. Westchnął zirytowany.

- Nie, tak nie można, tu jest zbyt ciemno i zbyt brudno.

Musimy go przenieść do izby chorych dziadka Tengela.

- Macie tu jakieś sanie?

155

- Tylko takie do wożenia drewna - odparła przerażona kobieta.

- Zaprzęgać! Ale szybko!

Wszyscy obecni wybiegli na dwór, najwyraźniej z ulgą, że trafiło się im inne zajęcie.

Pan Martinius przybył wkrótce, lecz nie miał czasu na modlitwy. Pomagał ułożyć chorego na saniach, zrobionych z dwóch połączonych ze sobą drągów. Mężczyźni prowadzili konia i kierowali saniami, zaś Tarjei, Cecylia i pastor doglądali pacjenta. Żona musiała zostać w domu, z dziećmi. Tak zresztą było najlepiej. Przerażona zawołała za Tarjeim, kiedy odjeżdżali:

- Czy on może...?

I zamiast skończyć, wskazała skrzepowana i onieśmielona nieruchomą postać na saniach.

- Zrobimy wszystko, co możliwe, żeby przeżył. Ale dzieci, to już wam nie przybędzie.

- O, Bogu dzięki! - szepnęła z ulgą.

Czy tę ulgę sprawiała jej wiadomość, że mąż przeżyje, czy też raczej co innego było jej powodem, nikt nie wiedział.

Sanie okazały się nie najlepszym środkiem transportu dla człowieka, który został przebity nożem, wszyscy więc mieli ręce pełne roboty, żeby go przewieźć przez skutny mrozem las.

Ścieżkę prowadzącą do gospodarstwa pokrywały grudy, wyboje i kamienie, przez które trzeba było sanie jak najostrożniej przeciągać. Pod koniec drogi Cecylia miała wrażenie, że już chyba ze sto lat tak idzie, pochylona do przodu. Gdy nareszcie dotarli przed ganek domu w Lipowej Alei, długo i

powoli prostowała zdrętwiałe plecy, postępując z bólu.

Walka o życie rannego wymagała sił i sprawności. W urzędzonej przez Tengela izbie chorych było dużo widniej, wszystko znajdowało się pod ręką, Tarjei czuł się tu u siebie.

Cecylia natomiast, nie przyzwyczajona do pielęgnacji chorych, bezustannie walczyła ze sobą, żeby zaraz nie zemdleć. Pan Martinius pomagał trzymać chorego, a swoją rolę kapłana odłożył na później. Teraz toczyła się gra o życie chorego. Ranny początkowo krzyczał, lecz po pewnym czasie zamilkł. Stracił przytomność i na nic nie zdałoby się teraz odpytywanie go, czy jest gotów stanąć przed obliczem Pana.

Było nawet lepiej, że chory zemdlał, bo Tarjei mógł pracować spokojniej. Umiejętności kuzyna bardzo zaimponowały Cecylii. Pracował jak dziadek Tengel w swoim najlepszym okresie. Tarjei był może bardziej nowoczesny, nie tak ostrożny i pełen skupienia, lecz z uniwersytetu w Tybindze wyniósł gruntowną wiedzę.

Cecylia starała się nie myśleć o tym, że jej ręce co chwila dotykają rąk pastora. Miała dojmującą świadomość jego obecności i nie mogłaby zaprzeczyć, że jest pod jego wrażeniem. Był tak sympatycznym człowiekiem, tak przypominał nieszczęsnego Alexandra, 156

a ponadto był w najwyższym stopniu mężczyzną, Cecylia zdawała sobie więc sprawę, że ona sama, jeśli chodzi o romantyczną stronę życia, jest dosyć spragniona.

W końcu rana została zaszyta.

Wszyscy troje rozprostowali plecy.

- Dzięki za pomoc - rzekł Tarjei. - Cecylio, jestem zdumiony, byłaś wspaniała. Zostałaś stworzona do takiej pracy.

- Czyżby? - zapytała sceptycznie.

- Ale chory wymaga opieki - dodał. - A ja obiecałem ojcu, że obejrzę jego świnie. Zawiodłem go tyle razy, że już sam nie wiem...

- Idź! - odparła Cecylia, przelękając ślinę.

- Ja mogę przy nim posiedzieć. - ofiarował się pastor. - Chory potrzebuje też chyba, żeby się ktoś za niego nareszcie pomodlił.

Cecylia drgnęła.

- Wspaniale - ucieszył się Tarjei. - Może to potrwać parę godzin?

Skinęli twierdząco głowami.

Pan Martinus wyglądał trochę niepewnie, gdy Tarjei wyszedł i zostali sami, jakby zbyt pośpiesznie

podjął się czuwania przy chorym wraz z Cecylią. Ona zresztą odczuwała to samo.

W izbie nie było wiele miejsc do siedzenia. Szeroka kanapa, czy może raczej ława, pokryta owczą skórą, to wszystko. Usiedli więc obok siebie, onieśmieleni i pełni wahań. Kanapa była rzeczywiście bardzo szeroka. Miała chyba służyć chorym, którzy musieli pozostać jakiś czas w Lipowej Alei. Usiedli głęboko i oparli się o ścianę, podkurczając nogi.

Zapadła niezręczna cisza.

- Jaki on zdolny, ten Tarjei, a przecież taki młody - rzekł w końcu pastor.

- O tak! - zgodziła się Cecylia pospiesznie, wdzięczna mu za przerwanie milczenia. -

Wcześniej też wyjechał z domu. Wciąż przecież nie jest jeszcze całkiem dorosły.

- Szkoda, że nie możemy go zatrzymać tutaj, w parafii. Zrobi się pusto, kiedy oboje wyjedziecie.

157

- Ale wam dobrze się przecież wszystko układa, panie Martiniusie. Jak to imię brzmiało wcześniej? Martin?

- Tak.

- Czy mogę się tak do pastora zwracać?

Martinius wahał się długo.

- Z radością, ale tylko kiedy nikt inny nie słyszy.

Cecylia uśmiechnęła się z przekąsem. Zdążyła już odzyskać równowagę.

- Acha, domowy strażnik znowu straszy?

- Panno Cecylio, bardzo panią proszę...

- Cecylio! Jesteś przecież przyjacielem rodziny.

- Dziękuję! Cecylio, proszę cię, nie tykaj Julii! Ona jest taka czysta i dobra. Tak bardzo góruje nade mną, biednym, grzesznym człowiekiem.

- Czy ona tak mówi?

- Cecylio, proszę cię!

Jęknął i ukrył twarz w dłoniach. Cecylia siedziała przez chwilę w milczeniu, po czym wyciągnęła rękę i ostrożnie próbowała odsunąć jedną z jego dłoni, lecz on na to nie pozwolił.

- Od dawna wiem, że jest ci trudno, Martinie. Irja i Tarald także wiedzą. Nie chciałbyś o tym ze mną porozmawiać? Wiesz, tak się składa, że akurat teraz mnie też nie jest lekko, próbuję jakoś dojść do siebie po szoku, jaki przeżyłam. Ludzie nie zawsze są tacy, jak się sądzi.

Przyjazny ton jej głosu przełamał mur, którym pastor odgradził się od świata. Opuścił ręce.

Spojrzała na jego zbolaną twarz, na której malowała się najwyższa udręka i widać było, że gnębią go wyrzuty sumienia. Poznała, że tamy zaraz puszcza.

Próbowała jakoś mu pomóc.

- Nasza pastorowa jest podobno osobą pod każdym względem wzorową. Tak wszyscy mówią.

- Owszem - odparł z goryczą. - Rzeczywiście tak wszyscy mówią. I ona jest wzorowa. Tylko ja jestem słaby i bezwartościowy.

158

- Trudno w to uwierzyć - rzekła Cecylia łagodnie. - Możliwe, że ona jest wzorową pastorową dla parafian, lecz nie dla ciebie.

Martin wsparł głowę o ścianę i przymknął oczy, jakby zapadał w drzemkę. Ranny wciąż leżał

bez przytomności, jego twarz nabrała jednak żywszej barwy, takiej, jakiej Tarjei oczekiwał.

- Może nie tak należałoby to wyrazić - powiedział Martin udręczany. - Wina tkwi we mnie i w moich świeckich, grzesznych żądach.

- O Boże! - szepnęła Cecylia zdumiona. - A cóż to za określenie? Wyobrażam sobie, że mówisz dokładnie jak twoja małżonka, choć nigdy jej nie widziałam ani z nią nie rozmawiałam.

Nagle zobaczyła dwie ciężkie łzy spływające po policzkach pastora.

- Cecylio, ja już nie mam siły! Ożeniłem się z małą księżniczką moich młodzieńczych snów, z aniołem po prostu. Taka zawsze była - skromna, bogobojna, piękna! Ona naprawdę była dokładnie taka, Cecylio! W porównaniu z nią jestem niczym niezdarny, nic nie wiedzący słoń!

- Myślę, że miałeś zamiar powiedzieć coś zupełnie innego, Martinie - rzekła Cecylia w zadumie. - W głębi duszy uważasz, choć nawet przed samym sobą nie chcesz się do tego przyznać, że ona jest bogobojna, skromna i piękna, ale nic poza tym!

Pastor skulił się, jakby się bronił przed ciosem.

- Gdybyś nie była taką znakomitą obserwatorką, Cecylio! Przenikasz na wylot moją duszę i obnażoną kładziesz przede mną.

- To może się okazać zbawienne. Nie wiem, o co w tym wszystkim chodzi, ale sądzę, że

niewłaściwie oceniasz całą sprawę. Ja i moja rodzina znamy cię i wiemy, że jesteś szlachetnym, szczerym i ofiarnym sługą Bożym. Skoro zachwycasz się wspaniałymi cechami twojej żony, to pewnie istnieją po temu powody. Na mnie jednak sprawia ona wrażenie osoby o zbyt wybujałych ambicjach.

- O, tak - potwierdził żywo, nie dostrzegając nawet, że narusza swoją silną potrzebę lojalności. - Jej ambicje są wręcz niewiarygodne! Ona musi być wzorową pastorową, musi być najlepsza, zajmować najwyższą pozycję w parafii, nikt nie może jej niczego wytknąć.

Ona chce być świętą bez najmniejszej skazy i sprawia, że ja czuję się przy niej jak niegodny niktzemnik! Wszystko, co ziemskie, jest w jej oczach grzeszne. Cecyljo, jesteśmy małżeństwem, a ja nie mam prawa jej tknąć!

- Co? Oszalałeś? Nie, Martinie, jak możesz siebie obarczać winą za coś takiego! Bóg jeden wie, czy tak została wychowana, czy też sama do tego doszła, ale to okropnie wykoślawiona wizja chrześcijaństwa!

159

I nagle, skoro raz przerwał milczenie, wszystko co w sobie nosił ruszyło jak wzburzona fala, by wyrwać się na zewnątrz.

- To brudne, niegodne, wstrętne, powiada moja żona, jak ja w ogóle mogę myśleć o czymś takim. Musiałem płukać usta, gdy przypadkiem wspomniałem coś na temat, że człowiek ma ciało także od pasa w dół. Ona z trudem przyznaje, że ma nogi, na których chodzi. Uważa, że mamy być jak święci, których stawia się za przykład.

- Nic trudnego dla takich jak ona, pozbawionych wszelkich pragnień - mruknęła Cecylia.

- Ona mówi, że to jedyna słuszna postawa chrześcijańska. Odrzucenie spraw płci, poświęcenie się tylko czynieniu dobra...

- To dlaczego wyszła za ciebie? Dla kariery? Bo lepiej być pastorową niż tylko córką pastora, czy tak?

Martin słyszał zapewne jej uwagi, ale zbyt mu było pilno wykrzyczeć wszystko, co tłamsił w sobie nie wiadomo jak długo.

- Powinnaś była widzieć naszą noc poślubną, Cecyljo! Niczego bardziej groteskowego nigdy nie przeżyłem. Gdy w dobrej wierze przyszedłem do jej pokoju, ona, piękna i kompletnie ubrana, spojrzała na mnie, jakbym był wiejskim rozbójnikiem i zaczęła krzyczeć.

Próbowałem ją przekonać, że jesteśmy teraz mężem i żoną i że powinniśmy... być ze sobą, ale wtedy wrzasnęła do mnie „ty rozpustniku” i „wynoś się stąd, ty świniou!”. Całkiem straciłem pewność siebie, bo nic nie wiedziałem o kobietach, ona zawsze była dla mnie tą jedyną. A kiedy z największą ostrożnością wyjąkałem, że przecież chyba powinniśmy mieć dzieci, ona... ona dostała mdłości. Pobiegnęła do okna, wychyliła się na zewnątrz i...

Wyszedłem zraniony i nieszczęśliwy, niczego nie pojmując. Ona była moim marzeniem, moim nieosiągalnym marzeniem przez tyle, tyle lat. Dopóki byłem jedynie zwyczajnym chłopcem, czy później diakonem, traktowała mnie jak powietrze. Kiedy próbowałem z nią porozmawiać, odwracała się do innych, jakby mnie nie słyszała. Potem otrzymałem parafię tutaj i wtedy ona zaczęła się dopytywać jakie mam możliwości dalszej kariery. Mierzyła aż do biskupa. Dowiedziała się od swego ojca, że wielu ludzi wyraża się o mnie bardzo dobrze i że chyba mam przed sobą piękną przyszłość. Wtedy zmieniła zdanie i na moje oświadczenia odpowiedziała tak. Byłem nieopisanie szczęśliwy. A teraz mój świat się zawalił. Ona, taka wzorowa żona, ubóstwiana przez wszystkich...

- Nie przez moją rodzinę - wtrąciła Cecylia. - Oni ją przejrzeni. Jej oczy. Ale nie myśleliśmy, że jest aż tak źle.

Pastora nagle ogarnęły wątpliwości.

- O Boże, siedzę tu i się użalam, a sam wcale nie jestem lepszy, nielojalny wobec własnej żony.

160

- Raczej doprowadzony do ostateczności. To musi być straszne, żyć z kobietą, którą się kocha od tylu lat i nie móc jej nawet dotknąć.

Martin wyprostował się przestraszony.

- Nie myślisz chyba, że ona wciąż jeszcze mnie pociąga? Ja jej nie znoszę! To właśnie dlatego stałem się taką łatwą zdobyczą dla moich ziemskich potrzeb i uczuć...

Zamilkł przerażony.

- Co właściwie chciałeś teraz powiedzieć, Martinie? - zapytała Cecylia łagodnie.

- Nic! Zapomnij o tym! - ciężko wciągał powietrze. - Powiedziałaś, że niedawno przeżyłaś szok. Opowiedz mi o tym!

Głos Cecylii zabrzmiał nieoczekiwanie piskliwie i niepewnie.

- Nie to zbyt trudne, żeby o tym mówić. Wiesz, taka się czułam samotna w Kopenhadze i spotkałam bardzo dobrego przyjaciela, na którym mogłam polegać. Byłam, podobnie jak ty, zupełnie niedoświadczona, jeśli chodzi o to, co tak ładnie określasz jako pragnienie płci. No, a kiedy się okazało, że kobiety w ogóle go nie pociągają, przeżyłam szok. Nawet nie przypuszczałam, że coś takiego jest możliwe, a poza tym straciłam akurat jego, człowieka, którego tak bardzo potrzebowałam.

- Och, drogie dziecko! - zawołał pastor poruszony i objął ją opiekuńczym gestem.

Natychmiast uświadomił sobie niewłaściwość swego postępowania i cofnął ramię gwałtownie, jakby się sparzył albo jakby dotknął jadowitego węża. Cecylia, skrępowana, patrzyła w bok.

On wsparł głowę na kolanach.

- Dlaczego, dlaczego pojechałaś wtedy do Kopenhagi, Cecylia? - szepnął. - Dlaczego nie spotkaliśmy się wtedy?

- Nie pamiętasz, że wtedy wszystkie marzenia lokowałeś w Julii? Nie sądzisz, że nic bym dla ciebie nie znaczyła?

Martin potrząsnął głową.

- Ty jesteś cielesna, czysta i pociągająca. Wobec takich jak ty błędą ekstatyczne marzenia o aniołach. Cecylia, co ja mam teraz zrobić? Moje ciało płonie po przymusowej wstrzemięźliwości trwającej tyle pełnych udręki lat.

- Nie jesteś sam, jeśli o to chodzi - szepnęła Cecylia. - Dobrze, że wyjeżdżam za parę dni.

- Tak - przyznał szczerze. - Proszę Boga, żebyśmy się już nie spotkali do tego czasu.

161

- Ja też.

Uśmiechnął się gorzko.

- Dobrze jest chociaż wiedzieć, że znaleźliśmy się w tej samej łodzi.

Drzwi otworzyły się ze skrzypnięciem. Oboje drgnęli gwałtownie, ale odetchnęli z ulgą widząc, że to Tarjei i że będą już mogli sobie pójść. Pożegnali się skinieniem głowy i odeszli, każde w swoją stronę.

Cecylia biegła do domu uradowana. Jakie to jednak cudowne wiedzieć, że jest się kochaną.

Poza tym, ta nieszczęśliwa miłość tłumiła nieco uczucia, które kipiały w jej duszy.

162

ROZDZIAŁ XII

Pan Martinius wrócił do domu, lecz nie czekało go tam dobre przyjęcie.

Już w sieni słyszał szelest starannie wykrochmalonych spódnic, gdy żona szła spieszenie przez pokoje, by go przywitać. Miała ów zimny, badawczy wyraz oczu, który nadaremnie starała się pokryć słodziutkim głosem.

- Późno wracasz. Musieliśmy już zacząć podawać do stołu. Co zabrało ci aż tyle czasu?

Martin odparł szczerze:

- Musieliśmy przewieźć rannego do Lipowej Alei.

Na te słowa piękna pani Julia aż poczerwieniała.

- My? Czy taka praca należy do pastora?

- Wiesz jak to jest, Julio. Musiałem pomóc. Tarjei i Cecylia i tak mieli ręce pełne roboty z utrzymaniem rannego na saniach.

Jak cudownie było wymawiać jej imię! Po całym ciele rozchodziło się od tego słodkie ciepło.

Julia nie skrywała już dłużej lodowatego spojrzenia. Wyczuła rywalkę, mimo że twarz męża pozostawała szczerą i niewinna. Od początku nienawidziła ludzi z Lipowej Alei i Grastensholm. Ich brak zainteresowania dla kościoła oraz brak respektu wobec pierwszej damy parafii zawsze były cierniem w jej oku.

- Cecylia? Masz na myśli pannę Meiden? Tę bezwstydnicę, która miała śmiałość przyprowadzić do kościoła tanto monstrum i pozwoliła mu bezcześcić chrzcielnicę pańską?

Tę, którą później odprowadzałeś z Lipowej Alei do dworu?

Pan Martinius zawsze zdawał relację z tego, co robił w ciągu dnia. Jego łaskawa małżonka tego wymagała.

- Tak, to ona. Jesteś jednak wobec niej niesprawiedliwa, Julio. To dobra dziewczyna.

Gorzej nie mógł się wyrazić!

Znajdowali się właśnie w jadalni, którą pastorowa urządziła z nienagannym smakiem.

Pięknie zarysowane powieki Julii były teraz zaciśnięte. Stwierdziwszy, że służba znalazła się poza zasięgiem jej głosu spytała:

- No, i cóż takiego zabrało ci aż tyle czasu?

- Musieliśmy czuwać przy łóżku rannego, bo Tarjei pomagał ojcu.

163

- Ty i ona.

- Tak.

- Sami?

- Tak, ale co w tym dziwnego...

Usta Julii zrobiły się wąskie, jak kreska.

- Ty, ty nędzny rozpustniku! - syknęła.

- Nie stało się nic niestosownego, Julio! Daj spokój!

- I ty próbujesz mi wmawiać, że nic się nie stało? Ty, który dobijałeś się do moich drzwi co wieczór, przez cały pierwszy tydzień po naszym ślubie?! Widzę, że nie nauczyłeś się jeszcze panować nad swymi żądzami. I ona, ta ladacznicą...

- Zamilcz, Julio! Natychmiast! Nic się nie stało.

Te słowa, rzecz jasna wzmogły jeszcze jej podejrzliwość.

- Nie. Ale pragniesz, żeby się stało!

Pastor opadł na krzesło. Był głodny i zmęczony po wszystkich przejściach tego dnia i zajmowaniu się chorym. Dobierał więc może słowa niezbyt uważnie.

- Julio, skoro i tak myślisz o mnie jak najgorzej, to w końcu mogę ci być niewierny.

- Z panną Cecylią?

- Z kimkolwiek - odparł zmęczony. - Czy mogę teraz dostać coś do zjedzenia?

- Nie, dopóki się nie przyznasz.

- Kochanie, przecież wiesz, że to nieprawda. Niewierność nie leży w mojej naturze. Ale jestem mężczyzną, Julio, jestem żywym człowiekiem, a nie świętym. Odmówiłaś mi wszystkiego, a zwłaszcza swojej miłości. Tyle mogłem ci dać, Julio! Ale nas nie złączyła przysięga małżeńska, tylko przysięga życia w cnocie. Chcę się rozwieść!

Julia syknęła:

- Oszalałaś? Chcesz wywołać skandal? Nigdy ci na to nie pozwolę!

- Wobec tego odejdę od ciebie.

164

Broda jej zadrżała. Wytrzeszczała na niego oczy. Była przyzwyczajona do uwielbienia, do tego, że on się przed nią korzy. Po chwili podeszła bliżej i szepnęła słodko:

- Skoro tak, to możesz przyjść do mnie dziś wieczorem. Możesz spróbować. Ale tylko trochę.

Martin popatrzył na nią z niesmakiem. Stała mu przed oczyma czysta, otwarta twarz Cecylii.

- Za późno, Julio. Już ciebie nie chcę. Twoja obłuda budzi we mnie obrzydzenie.

Julia wrzasnęła głośno:

- Ona tego pożałuje!

Martin przestraszył się.

- Cecylia nie ma z tym nic wspólnego. A zresztą wyjeżdża.

Nagle uświadomił sobie, że po raz pierwszy podniósł głos na swoją żonę. Potrzeba chronienia Cecylii była silniejsza.

- I tak pożałuje! - parsknęła Julia. - Cała ta zadufana w sobie hołota ze dworu zobaczy, komu weszła w drogę!

Martin patrzył na nią spłoszony. Anielska pastorowa, ubóstwiana przez wszystkich, płonęła jadowitą żądzą zemsty.

Udręczony i pełen niepokoju o swoich przyjaciół powiedział:

- Dobrze. Przyjdę do ciebie. Zapomnijmy o tym wszystkim!

- Zapomnijmy? O nie! Podeptałeś moje najgłębsze uczucia!

- Tak, rzeczywiście. Podeptałem twój prestiż i twoją pychę!

Nie wiedział, skąd mu się bierze odwaga. Nigdy przedtem nie rozmawiał z Julią w ten sposób. A przecież przeczuwał, że powinien być ostrożny.

- Wybacz mi ostre słowa - powiedział krótko. - Jestem chyba za bardzo zmęczony i głodny.

- Tak. Zaraz powiem, by podano do stołu - odparła swoim zwykłym, słodkim głosem.

Zwyciężyłam, przynajmniej częściowo, myślała przechodząc przez jadalnię. Wrócił mu rozsądek i zostaje ze mną. Ale sprawa nie jest jeszcze zakończona. Cecylia wyjeżdża, na niej nie będzie można się zemścić. Ale są przecież inni...

165

Najbardziej ze wszystkich nienawidziła chyba tej nędzniczki, tej prostaczki, chłopskiej córki, która została baronową. Takie nic! Wiejska dziewczucha, wyniesiona do godności szlacheckiej!

Mogła być nawet przedstawiona u dworu. Jak to ma na imię, ta garbuska? Irja?

Tak, Irja zostaje tutaj! Może trzeba by troszkę zakłócić jej szczęście? To nie powinno być trudne.

* * *

Tarjei wyjechał z powrotem do Tybingi i wszyscy za nim tęsknili.

Podróż do Niemiec nie była tym razem taka łatwa jak zwykle. Wciąż napotykał jakieś przeszkody, a

to żołnierzy, których wszędzie było pełno, a to oddziały blokujące drogi, a niekiedy nawet drobne potyczki. Królowie i cesarzowie Europy byli ze sobą w stanie wojny. A jabłkiem niezgody - także nic nowego - stały się sprawy religijne.

Gdzieś w środku Niemiec, w połowie swojej długiej podróży do Tybingi, Tarjei został

nieoczekiwanie zatrzymany. Wszystkie drogi były zablokowane, nie miał żadnej możliwości wydostania się z tej pułapki. Wpadł w przygnębienie i niepokój. Nie mógł ani jechać dalej, ani zawrócić, czuł się odcięty od swego ukochanego domu.

Następnego dnia po wspólnym czuwaniu nad rannym wypadała niedziela. Cecylia poszła z rodzicami do kościoła. Chciała pójść. Chciała jeszcze raz, zanim wyjedzie zobaczyć Martina.

Irja wyszła z domu pierwszy raz po rozwiązaniu. Przez całe nabożeństwo modliła się gorąco o pomoc na przyszłość i dziękowała panu Bogu za to, co jej zesłał. W domu z chłopcami został Tarald i dwie pokojówki, ale całkiem spokojna nie była. Kolgrim jest taki gwałtowny, taki nieobliczalny...

W pewnym momencie poczuła, że przeliczyła się z czasem. Nabożeństwo przeciągnęło się, pokarm zaczynał wyciekać z obrzmiałych piersi i w każdej chwili mógł przemoczyć ubranie na wylot.

Tego nie przewidziała. Jak się pokaże ludziom z dwoma wielkimi mokrymi plamami na piersiach? Przestraszona zwierzyła się szeptem teściowej.

Liv ze zrozumieniem skinęła głową i dyskretnie podała jej swój szal. Irja udała, że coś jej upadło na podłogę, pochyliła się i ukryła niebezpieczne miejsca. Zrobiła się przez to jeszcze bardziej kanciasta, ale, pomyślała, przy mojej figurze to i tak nie ma znaczenia, jedna wypukłość więcej, jedna mniej. Wdzięczna ścisnęła z uśmiechem rękę Liv. Teściowa odpowiedziała jej uśmiechem.

Cecylia przyglądała się Irji z rozbawieniem, niewiele z tego rozumiejąc. Dostrzegła jednak, że między jej matką a bratową istnieje niezwykle piękne porozumienie i uświadomiła sobie, jak bardzo je obie kocha.

166

Pan Martinius zauważył, oczywiście, Cecylię. Nie powinna tu przychodzić, myślał

gorączkowo. Leżałem: bezsennie całą noc i myślałem o niej, sądzę, że ją kocham. W

każdym razie pożądam jej - ale to nie tylko pożądanie, to coś więcej. Wiem, że my dwoje moglibyśmy być szczęśliwi. Tak, kocham ją, kocham, jestem tego pewien. A tego mi nie wolno. Jestem człowiekiem żonatym i w dodatku kapłanem.

Ale na cóż zdadzą się wyrzuty sumienia? Serce biło mu jak młot, z trudem wygłosił kazanie, myśli wciąż mu się rwały.

Cecylia natomiast, wprost przeciwnie, nie miała żadnych złudzeń co do tego, że ich małżeństwo mogłoby być szczęśliwe. Nie podzielała jego religijnych zainteresowań, a poza tym wcale by nie

chciała być dobrą pastorową. Martin interesował ją natomiast jako mężczyzna.

Przyglądała mu się bez żenady, bo miała do tego prawo jako wierna i posłuszna członkini parafialnej społeczności. Pojmowała jednak niewiele słów Bożych, które głosił.

Jak bardzo on jest podobny do Alexandra, myślała, a za każdym razem, gdy wspominała tamtego, doznawała uczucia bólu, niechęci i smutku. Dopiero teraz uświadomiła sobie, jak bardzo była przywiązana do tego młodego szlachcica, który tak się jej wymykał i którego tak trudno było zrozumieć. Nie umiała powiedzieć co sprawiało, że Martin i on wydawali jej się podobni, bo przecież Alexander był o wiele przystojniejszy, dużo bardziej arystokratyczny.

Może mieli coś wspólnego we wzroku i w uśmiechu... Tak, to chyba to. Zawsze, gdy Martin się uśmiechał, w jego oczach pojawiał się jakiś wyraz smutku. Błysk gorczy i żalu. No tak, każdy z nich miał przecież swój krzyż do dźwigania.

Cecylia odwróciła lekko głowę i popatrzyła na krzyż Martina. Liv pokazała jej wcześniej słodką Julię, żonę pastora.

Tak, pastorowa była słodka. Siedziała w takim miejscu, by jednocześnie mogła obserwować i wiernych, i swego męża. Jakaż ona ładna, myślała Cecylia. Blond loki pod czapką matrony otaczały małą twarzyczkę w kształcie serca, o wielkich oczach i małych ustach. Zbyt małych ustach, które z latami będą się coraz bardziej zaciskać, pomyślała Cecylia, która często bywała złośliwa wobec osób nie budzących w niej sympatii. A Julii nie cierpiała w najwyższym stopniu. Zimne spojrzenie, powiedział Tarald. Ale nie na pierwszy rzut oka. Na zgromadzonych w kościele wiernych spoglądała łagodnie. A teraz... teraz nie odrywała wzroku od męża. Jej oczy zwiężały się, pełne wyrzutu za każdym razem, gdy pastor niepewnie plątał się w kazaniu. Po chwili spojrzenie Julii padło na Cecylię. Było lodowate, nieprzejednane.

Ona wie, pomyślała Cecylia przerażona. Wie, że Martin i ja rozmawialiśmy. Że dobrze się ze sobą czujemy i rozumiemy się nawzajem. A nawet podejrzewa, że doszło do czegoś więcej!

Ten mały, świętoszkowaty potworek ma po prostu robaczywą wyobraźnię!

167

Odpowiedziała ufnym, otwartym spojrzeniem, przyglądając się przyjaźnie, co musiało tamtą strasznie irytować.

Tymczasem myśli Julii dalekie były od łagodności.

A więc to ona, ta wywłoka, która poluje na mego męża! Ale co, na Boga, Martin w niej widzi?

Przecież wcale nie jest ładna, nie mogłaby się nawet równać ze mną! Ciemnorude włosy, już tylko to jedno świadczy, że to grzesznica, i ma bezwstydne oczy. Tak, bezwstydne, chociaż próbuje wyglądać niewinnie. Wiem to na pewno! Wiem, że chciałyby mi odebrać męża po to, by zostać pierwszą damą w parafii. Sprowadziłyby go na manowce, gdyby tylko mogła. Ale nie uda jej się to żadną miarą, zresztą zaraz wyjeżdża! Szkoda, że nie zdążę się na niej zemścić. A ta druga siedząca obok niej na

ławce? Nie pani Liv, ona jest zbyt silna...

Już nie planowała tego wszystkiego na zimno i świadomie, to tkwiło głęboko ukryte w jej duszy. Gdyby знаła Liv lepiej, wiedziałaby, jak łatwo ją zranić. Może najłatwiej ze wszystkich. Julia jednak nigdy nie starała się nikogo dobrze poznać.

Młodsza z kobiet, myślała, ta beznadziejnie niezgrabna. Co ona robi w Grastensholm, tego Julia nie mogła pojąć. Wiejska dziewczucha, córka biednego chłopca... a pozycją niemal przewyższa pastorową! Zgroza i obraza boska!

Kiedy nabożeństwo dobiegło końca i ludzie tłoczyli się ku wyjściu, Julia stanęła przy drzwiach, by witać i pozdrawiać parafian. Pastor czynił to samo, lecz z drugiej strony wejścia i Julia nie mogła słyszeć tego, co mówi.

(Dzień dobry, matko Alvhilde, jak tam z waszym najmłodszym? O, to miło słyszeć! Nie, dzień dobry, Peter, pomogła kocia skórka? A czy to mała Merete? Ona jest najmłodsza, prawda?

Jak urosła!)

Wreszcie nadeszli oni - rodzina Meidenów. Szli na końcu, bo zajmowali pierwsze ławki, tuż przy ołtarzu. Julia skończyła całowanie i obejmowanie małych dzieci i wyciągnęła ku nadchodzącym małą, miękką dłoń, sprawiającą wrażenie, że jest zupełnie pozbawiona kości i że, gdyby ją mocniej ścisnąć, zostanie zmiażdżona. Liv ujęła rękę pastorowej i obie panie wymieniły kilka obojętnych, choć uprzejmych słów.

- Domyślam się, że to jest panna Cecylia? - zapytała Julia, przygotowując się jednocześnie do przywitania z Irją. Martin, po drugiej stronie wejścia wyglądał na przestraszonego, lecz on także musiał rozmawiać z parafianami, wojowniczo patrząc

- Tak - odparła Cecylia, wojowniczo patrząc jej prosto w oczy. Zdaje mi się, że nie miałam przyjemności...

- Jestem tutejszą pastorową - oświadczyła Julia wściekła że ktoś może nie wiedzieć, kim ona jest. - Może nie jestem zbyt okazała, jeśli chodzi o wzrost, ale służę parafii najlepiej, jak potrafię - skończyła, zadowolona z siebie.

168

- A tak, Martin wspominał mi o pani - powiedziała Cecylia, przeciągając się leciutko, jak kot.

Wspominał? Wspominał?

- Pan Martinius - poprawiła ją Julia łagodnie, lecz z lodowatym spojrzeniem. - O, a oto panienka z Eikeby, prawda? Czy to ciebie nazywają Oset? Zabawne imię.

- Baronowa Irja jest moją bratową - oświadczyła Cecylia. - Cała rodzina bardzo ją kocha.

Ona i ja jesteśmy przyjaciółkami z dzieciństwa. A oset, pani pastorowo, jest bardzo silną rośliną. Mówić o kimś oset to okazywać mu szacunek!

Julia nie potrafiła już dłużej zachować maski. Głos pozostał wprawdzie łagodny i przyjazny, ale nie przebierała w słowach.

- Tak, rodzina Meidenów zawsze lubiła chłopów, zarówno jeśli chodzi o towarzystwo, jak i o wzory postępowania.

- No właśnie - potwierdziła Cecylia, udając naiwną, jakby brała słowa pastorowej za dobrą monetę.
- W tym jest nasza siła.

- Schodzić do niższych warstw społecznych? Czy duńska rodzina nie ma na ten temat nic do powiedzenia?

- My mieszkamy w Norwegii i uważamy się za Norwegów. A norweska szlachta może robić, co jej się podoba, zwłaszcza że i tak nie mamy takich przywilejów jak Duńczycy.

Czy ona na wszystko ma odpowiedź, zastanawiała się Julia zaciskając zęby, i zaraz uderzyła poniżej pasa:

- Ale to się może źle odbijać na potomstwie, prawda?

Piekielne babsko! - pomyślała Cecylia, starając się ze wszystkich sił bronić Kolgrima.

- Jak dotychczas niczego takiego nie zauważyliśmy - odparła swobodnie. - Wręcz przeciwnie, trochę świeżej krwi może nam tylko wyjść na zdrowie. Domyślam się, że pani nie widziała jeszcze Mattiasa, małego synka Irji. To najładniejsze dziecko w okolicy. A czy pani także ma dzieci?

Tego dla Julii było za wiele. O mało nie wyrwało jej się: „Taka niemoralna to ja nie jestem”, lecz uznała, że lepiej nie zagłębiać się w mroczne strony swojego małżeństwa. Ta niegodziwa kobieta mogłaby się poczuć usprawiedliwiona, że pocieszała pana Martiniusza. Z bladym uśmiechem powiedziała więc, że nie, odwróciła się i bez słowa pożegnania odeszła do męża. Cecylia, mrużąc oczy jak kot, pociągnęła za sobą Irję, by dogonić Liv i Daga. Uznała, że wygrała ten pojedynek.

169

- Ależ to żmija! - rzekła do Irji. - Wystrzegaj się jej!

Irja, bardziej prostolinijna i łatwowierna, uważała, że Cecylia obeszła się zbyt surowo z tą drobną, miłą żoną pastora.

Cecylia miała wyjechać następnego dnia, lecz statek musiał jeszcze zostać w porcie z powodu jakiegoś uszkodzenia i podróż trzeba było odłożyć. Wiadomość o tym przyszła na czas, nie musiała więc czekać w Oslo i zyskała jeszcze jeden dzień w domu. Wykorzystała go do ostatniej chwili.

Po południu poszła na cmentarz, niosąc woskowe świece na groby. Ze smutkiem odwiedzała tych

wszystkich, których tak kochała, a których zabrakło już wśród żywych.

Przyszłość rysowała się przed nią dość beznadziejnie. Wracała do Danii na dwór, przeciwko czemu zresztą nic nie miała, a nawet uważała, że to interesujące próbować dać królewskim dzieciom trochę radości.

Lecz Alexander? Jak zdoła spojrzeć mu w oczy? W każdym razie szukać go nie będzie i może się już więcej nie spotkają.

A Martin? Taki do tamtego podobny, za co tak go polubiła. Jakie bolesne i nieszczęśliwe jest jego małżeństwo!

Długo chodziła po cmentarzu. Przyglądanie się świecom płonącym spokojnie na grobach wpływało na nią dziwnie kojąco, wyobrażała sobie, że to dusze zmarłych przyszły na spotkanie z nią. Bardzo by chciała móc porozmawiać ze swoimi bliskimi, właśnie teraz. Tacy byli rozumni, dziadek Tengel, czy babcia Charlotta, albo drobna Silje, która tyle wiedziała dzięki niezwyklej intuicji.

Zmierzch już zapadał, a ona wciąż stała. W końcu pozbierała resztki starych bukietów, jakieś puste naczynia i zniosła to do szopy za kościołem, gdzie przechowywano szpadle, wiadra i inne rzeczy, które nie powinny poniewierać się byle gdzie w tym miejscu spokoju. Już miała zamknąć za sobą drzwi, gdy wśród drzew przy kościelnym ogrodzeniu dostrzegła jakąś postać.

Cecylia nie należała do osób wierzących w duchy czy też lękających się ciemności. Nawet przez myśl jej nie przeszło, że mogłaby zobaczyć upiora. To musiał być człowiek, po prostu.

Ale skąd się tam nagle wziął? Kiedy szła do szopy ani na drodze, ani na placu nie było żywej duszy.

W szybko zapadającym zmroku detale się zacierały, gdy jednak postać przedostała się przez mur i zaczęła zbliżać, Cecylia rozpoznała pastora.

Nie była tym wcale zaskoczona, chyba w głębi duszy spodziewała się go tutaj. A jednak na jego widok poczuła, że całe jej ciało zalewa fala gorąca. Pragnęła go jeszcze raz spotkać, a zarazem chciałaby tego uniknąć.

170

Pastor wszedł do szopy i zamknął za sobą drzwi.

- Skąd się tu wziąłeś? - Cecylia uśmiechnęła się niepewnie.

Jemu także głos lekko drżał, gdy odpowiadał:

- Obserwowałem cię długo z kościoła, ale czekałem aż przyjdiesz tutaj.

- A Julia?

- Jest przekonana, że wyjechałaś i uspokojona wybrała się do rodziców, pod Oslo. Ja też myślałem,

że jesteś już w drodze do Danii.

- Statek odpłynie trochę później - wyjaśniła krótko. Czowała się niepewnie. Widziała, że nie panuje nad sytuacją. Powinna po prostu stąd odejść, ale tego nie robiła, zatrzymywało ją jakieś dziwne podniecenie, jakby oczekiwanie czegoś niedozwolonego.

- Poprosiłem Julię o rozwód.

Cecylia słuchała zdumiona. No, on w każdym razie nie owija rzeczy w bawełnę.

- Mam nadzieję, że nie z mojego powodu?

- Nie, nie. Ja po prostu dłużej tego nie wytrzymam.

- Nietrudno to zrozumieć. Lecz pastor, który stara się o rozwód...? To raczej nie uchodzi?

- Chyba nie. Ale działałem w desperacji.

- A ona? Co powiedziała?

- Ona się, naturalnie, nie zgadza. A co gorsza, grozi zemstą. I zapewniam, że jest do tego zdolna. Nie chciałbym cię na to narazić, obiecałem więc, że z nią zostanę.

- Jasne. To zresztą jedyne słuszne wyjście. Rozwód zbytnio by ci zaszkodził, zwłaszcza że ludzie tutaj tak ją uwielbiają. Ale czy to znaczy, że ona o mnie wie?

- Domyśla się. Zresztą to chyba nietrudno odgadnąć. Moje życie jest tobą przepełnione, Cecylio.

Ogarnęła ją gorączka. Zbyt długo była sama... Nie, nie chciała się wdawać w coś tak...

wątpliwego! Chciała zostać przy Alexandrze.

Alexander? O Boże, przecież on już dla niej nie istnieje.

Nie miała nikogo.

171

Nagle uświadomiła sobie, że inni młodzi kawalerowie w Danii, którzy chętnie by z nią flirtowali, trzymali się z daleka ze względu na Alexandra. Nie byli pewni jak się sprawy mają, czy ona jest damą jego serca, czy nie.

Więc on to miał na myśli mówiąc, że ją wykorzystuje! Posługiwał się nią jak tarczą dla swoich poczynań, traktował jako świadectwo swej niewinności, gdy wysuwano przeciw niemu oskarżenia.

Biedny Alexander myślał, że ona rozumie o co chodzi i bierze udział w grze. A ona o niczym nie miała pojęcia.

W małej szopie było ciasno. Cecylia opierała się plecami o ścianę, a Martin, z braku miejsca, stał tuż przy niej. Tak blisko, że czuła ciepło jego ciała.

Nie zaskoczyło jej, gdy dłoń Martina dotknęła jej policzka. Odsunęła się tylko instynktownie, drżąc z lęku, że ulegnie powodowana trudnym do opanowania pragnieniem, nie chcąc popełnić czegoś nieczystego, niegodnego. Nagle przypomniała sobie lodowatą Julię. Jej świętoszkowaty, łagodny uśmiezek i podstępne ataki na Irję i Kolgrima. Cecylia da sobie z nią radę, ale oni są bezbronni.

Dłoń Martina wciąż dotykała jej policzka. Kciukiem lekko gładził ją po twarzy i nagle Cecylia ujęła jego rękę czułym gestem. Drżąca niepewność zniknęła. Pojawiła się spokojna pewność. Gdyby Julia była normalną żoną, nigdy by się nic takiego nie stało. Ale teraz Martin pragnął jej, Cecylii. Pragnął czułości i troskliwości.

Od chwili, gdy poddała się jego pragnieniom, a nie wymagało to specjalnego poświęcenia z jej strony, wszystko stało się proste i pożądane. Kiedy Martin zbliżył się jeszcze bardziej i przytulił do niej, poczuła się bezpieczna.

Martin drżał rozgorączkowany, przestraszony i podniecony, ona była niczym rozżarzona masa, która pali się mocno, lecz spokojnie, ledwo dostrzegalnie. Całował tak, jak całuje nowicjusz, jej spokój dawał mu jednak poczucie pewności i raz po raz jego usta napotykały wargi, twarz, szyję Cecylii. Kiedy poczuła, że jego ręka zsuwa się w dół, na jej uda, pomogła mu unieść ciężkie spódnice i dotrzeć do celu.

Dopiero wtedy ona zapłonęła także, od razu gwałtownie, jak pochodnia. Jęknęła i przyciągnęła go ku sobie, odpowiadając na jego gorące pocałunki i czując, że gdyby nie była tak mocno przyciśnięta do ściany, nogi odmówiłyby jej posłuszeństwa. Alexander, myślała, Alexander...

Cecylia należała do tych nielicznych kobiet, którym pierwsze zbliżenie nie sprawia bólu. Dla niej wszystko było rozkoszne i podniecające. Oto mężczyzna, który jej pragnął. I któremu ona dała rozkosz i ukojenie!

Potem, gdy pod osłoną zimowego mroku pospiesznie wracała do domu, wszystko to wydało jej się jakieś lepkie, brudne i niepotrzebne.

172

Ale wtedy było już za późno.

Pan Martinius, wlokąc się noga za nogą, wracał na plebanię. Grzech, którego się dopuścił, przygniatał go ciężkim brzemieniem. Był zgubiony jako człowiek, niegodny miana pastora, niegodny stawać na ambonie, by osądzać swoich niewinnych wiernych.

Całą noc spędził na klęczkach, pogrążony w modłach o pomoc, wyrozumiałość i przebaczenie.

Martin był człowiekiem zbyt prostolinijnym, by przemilczeć swój postępek. Gdy Julia wróciła następnego dnia do domu, natychmiast usłyszała tę całą, godną pożałowania historię.

Nie da się powtórzyć, jak to przyjęła. Mówiła dokładnie to, czego można się było spodziewać po kimś dotkniętym chorobliwą pychą, odsadzającym wszystkich od czci i wiary. Potem zamknęła się w sypialni na klucz i żeby ukarać męża, nie pokazała się podczas dwóch kolejnych posiłków.

W końcu jednak wyszła.

- Martinie - zaczęła lodowato. - Co zamierzasz powiedzieć o swoich poczynaniach w niedzielę na ambonie?

Spojrzał na nią przerażony.

- Zamierzam, naturalnie, wyjawić mój grzech. I niech wierni mnie osądzą.

Julia zbladła. Po chwili oświadczyła krótko:

- Rozmawiałam z Bogiem. On ci wybacza, więc ja nie mogę być bardziej nieprzejednana niż on. To się nigdy nie stało, Martinie! Zapamiętaj to sobie! Wczoraj rozmawiałam także z moim ojcem, ale o zupełnie innych sprawach. Zostałeś wyznaczony na proboszcza parafii przy katedrze. W dużym mieście!

Martin przeraził się.

- Ale ja nie mogę się czegoś takiego podjąć, to chyba rozumiesz? Zgrzeszyłem, Julio! Nie chcę żadnej godności, nawet wiejskiego proboszcza. Nigdy nie czułem się tu dobrze.

Myślałem, żeby rzucić sutannę i jako najgorszy grzesznik pracować wśród najuboższych, najbardziej nieszczęśliwych w parafii, czynić chrześcijańskie dobro. Tak jak ty robisz od dawna. Teraz możemy pracować razem, droga przyjaciółko, i...

- Nawet o czymś takim nie wspominaj! - przerwała mu Julia ostro. - A poza tym co miałeś zamiar z nią robić? Z tą rozpustnicą, która cię uwiodła.

- Cecylia mnie nie uwiodła, Julio - powtórzył zmęczony już chyba po raz dziesiąty. - To moje ciało nie było w stanie dłużej się opierać. Naturalnie, nigdy więcej jej nie zobaczę. Ona 173

mieszka w Danii i zostanie tam jeszcze przez wiele lat, jeżeli w ogóle wróci kiedykolwiek do domu.

Julia stoczyła sama ze sobą trudną walkę. Nie była taka głupia, by nie rozumieć, że wina za to spada na nią. Ta myśl dręczyła ją przez jakiś czas, kiedy siedziała zamknięta w sypialni.

W końcu rzekła surowo:

- Ona czy jakaś inna. Wy, mężczyźni, nigdy nie potrafiliście panować nad swoimi żądzami!

Ale... Martinie... Mam do ciebie prośbę.

- Powiedz, o co chodzi.

- Nie chcę rozwodu. Nigdy bym nie zniosła takiego wstydu. Chciałabym cię prosić o dwie rzeczy. Żebyś rozważył propozycję biskupa... dokładnie. I... i... żebyś mnie nauczył kochać.

- Julio! - szepnął Martin.

- Nie teraz! Nie tak od razu - przerwała mu pospiesznie. - Ale powoli, powoli!

Zabrakło mu sił, żeby odpowiedzieć. Myślał o Cecylii, której nie miał więcej zobaczyć. A potem o swojej wieloletniej miłości do Julii, miłości, która nigdy nie doczekała się spełnienia i dlatego zgasła. Czy mogłaby ponownie zapłonąć?

- Spróbuję - obiecał, starając się, by nie było słychać obrzydzenia w jego głosie.

Julia wróciła do siebie.

Nie była zadowolona. Zapobiegła wprawdzie jednej katastrofie, mianowicie temu, że Martin wykrzyczy w kościele jej wstyd. I prawie jej obiecał, że będzie się ubiegał o godność proboszcza przy katedrze. Jaką jednak ceną musi opłacić to zwycięstwo! Z estetycznego punktu widzenia Martin był mężczyzną pociągającym i to nie do niego osobiście odczuwała wstręt. Jej wypaczony pogląd na sprawy miłości i grzechu określał stosunek Julii do mężczyzn w ogóle. Nigdy nie myślała o tym, by pozostać niezamężną, starą panną, to byłoby zbyt dotkliwe dla jej próżności. Martin zaś był najsympatyczniejszy ze wszystkich mężczyzn, których spotkała. I najłatwiej było nim manipulować. Linie postępowania Julii wyznaczały ambicje, jakie żywiła co do jego i własnej kariery.

Teraz jednak musiała przyjąć jego miłość. Musi pozwolić, by ją dotykał niecierpliwymi, pożądanymi palcami, tak jak dotykał tę szlachecką dziwkę, co w Julii budziło nieopisany wstręt. Taki sam, jaki tego rodzaju myśli budziły w niej zawsze, jeszcze w dzieciństwie, na długo zanim spotkała Martina.

Dylemat, wobec którego postawił ją teraz, był zbyt trudny! Jedynie zemsta mogła przynieść jej ulgę. Na mężu zemścić się nie mogła, bo wtedy by ją opuścił. Cecylia zaś wyjechała.

Została jednak Irja, parweniuszka na Grastensholm. Ona zapłaci za wszystkich!

174

ROZDZIAŁ XIII

Po wyjeździe Cecylii Kolgrim popadł w dawną apatię i brak zainteresowania otoczeniem. Był

zły, rozkapryszony i wyłącznie opowieść Cecylii o wielkim czarowniku przepędzającym dzieci, które dokuczają młodszemu zdawała się powstrzymać go od otwartego ataku na małego Mattiasa. Irja bardzo się nad nim użalała i robiła co mogła, by mu umilić życie, lecz nie była, niestety, Cecylią.

- Kiedy ona wróci? - pytał co chwila.

- Jak tylko będzie mogła, Kolgrimie. Bo ona też bardzo chce cię znowu zobaczyć. Za rok, może za

dwa.

Chłopiec wzdychał ciężko na te słowa, zaś Irja, w głębi duszy, także. Cecylia była błogosławieństwem dla wszystkich, mimo że, prawdę mówiąc, mieszała małemu w głowie.

Chociaż wszystkie te śmieszne opowieści o trollach i wiedźmach oraz wszelkie sekrety o Ludziach Lodu zdawały się nie czynić mu żadnej szkody, raczej wprost przeciwnie.

Stał teraz i tłukł kijem w łóżko, wściekły, lecz myślami jakby gdzie indziej. Irja nie miała już siły prosić go, by przestał. Zresztą, skoro mogło go to zająć, choćby na chwilę...

Mały Mattas patrzył na nią swoimi łagodnymi, przyjaznymi oczkami. Czasami zimno jej się robiło ze strachu na myśl, co Kolgrim mógłby zrobić. Dlatego też starała się zawsze dawać mu tyle miłości, ile mogła i baczyła, by nie okazywać, jak mocno kocha młodszego.

Wiedziała, że Liv i Daga zdumiewa fakt, iż Kolgrim, bez wątpienia dotknięty dziedzictwem Ludzi Lodu, nie wykazuje żadnych niezwykłych cech ani umiejętności zazwyczaj temu dziedzictwu towarzyszących. Irja słyszała o nich - o Sol, która umiała zabijać, nie dotykając ofiary, o Hannie, która znała wszelkie mroczne sprawy świata i ubóstwiała Złego, o budzącym grozę gniewie Tengela...

Aż zadrżała, pojmując, że mieli dużo szczęścia, jeśli chodzi o Kolgrima. Był po prostu małym, nieszczęśliwym dzieckiem. Objęła go i przytuliła, a on, jak zwykle, odsunął ją obojętnie od siebie.

Irja przygryzła wargi, czuła się rozpaczliwie bezsilna. Dziś miała jeszcze jedno zmartwienie.

Jej ukochany Tarald zrobił się dziwnie nerwowy w ostatnich dniach i jakiś nieobecny.

Siedział posepny, pogrążony we własnych myślach, gryzł kciuk i stukał nogą w krzesło.

Musiała powtarzać po kilka razy, nim drgnął i odpowiedział.

Irja była przestraszona i bezradna. Ma mnie dość? - zastanawiała się. - Żałuje tego, co zrobił? - Tarald wyszedł do pracy bez słowa.

Weszła pokojówka, więc Irja odebrała Kolgrimowi kij, choć nie obeszło się bez walki.

- Gość do pani baronowej.

175

Chociaż pokojówka pochodziła z tego samego środowiska co Irja, w jej głosie nie było żadnego lekceważenia czy niechęci. Spokojna, życzliwa ludziom Irja była przez służbę lubiana i poważana. Być może żywili dla niej trochę współczucia, ale zapewne i dumę z tego, że młody pan wybrał dziewczynę z ich stanu.

- Gość? Do mnie? - zdziwiła się. - Czy to ktoś z Eikeby?

- Nie, pani baronowo. To żona pastora.

- O, mój Boże! Byłabyś dobra zająć się na chwilę chłopcami?

- Oczywiście.

Pokojówka dobrze wiedziała jakiej odpowiedzialności się podejmuje. Dwaj bracia nigdy nie byli pozostawiani sami sobie. Nie ucieszyła się specjalnie tym, że musi zajmować się nieobliczalnym Kolgrimem, ale rozumiała, że ktoś przecież musi to zrobić. Chłopak zaczął

też natychmiast kopać w krzesło, żeby zobaczyć, czy pokojówka się zdenerwuje. Ona jednak dobrze wiedziała o co mu chodzi i trzymała nerwy na wodzy.

Irja zeszła do salonu, gdzie czekała Julia. W ostatniej chwili młoda baronowa powstrzymała się, żeby przed nią nie dygnąć.

Pani Julia była, jeśli to możliwe, jeszcze bardziej doskonała niż zwykle w swoim eleganckim, acz niebywale prostym stroju.

Interesu, z którym tu przyszła, Irja nie pojmowała. Jakieś pytania i prośba o radę w sprawie starej matki Augustyny, z drugiego końca parafii. Dlaczego przyszła z tym do Irji, która nic nie wiedziała o matce Augustynie?

Piękna pani nie zabawiła długo. Zdecydowanie podziękowała za coś orzeźwiającego do picia i zaczęła się żegnać. Gdy włożyła rękawiczki i stała gotowa do wyjścia, rzuciła ze smutnym uśmiechem, jakby mimochodem:

- A przy okazji... Proszę przekazać pozdrowienia małżonkowi, droga baronowo Meiden, i powiedzieć, że już się na niego nie gniewam. Postanowiłam puścić tę całą historię w niepamięć!

Irja patrzyła na nią pytająco.

- Nic nie rozumiem...

- Och, przecież wiemy jak trudno żyć mężczyźnie, gdy jego żona jest w błogosławionym stanie. Przyznam, że i było to dla mnie szokujące, ale już nie żywię urazy.

Ruszyła ku drzwiom. Irja stała jak ogłuszona, pośrodku pokoju, a jej czerwone dłonie zwisały bezwładnie wzdłuż bioder.

176

- Tarald? - powtarzała bezradnie. - Czyżby on... Nie rozumiem.

Pani Julia, która obok wysokiej Irji wydawała się jeszcze mniejsza i delikatniejsza niż zwykle, spłoszona przysłoniła dłonią usta.

- O Boże, czy on nic nie mówił? - Nie, no nic się nie i stało, proszę zapamięć o tym, co powiedziałam, proszę, droga, miła... och, to okropne! Ale ja myślałam... Własna żona i wszystko... Och, proszę zapamięć!

Irja nie spuszczała z niej wielkich, wytrzeszczonych oczu.

- I proszę nie wspominać małżonkowi, błagam panią - powtarzała pastorowa, wyraźnie nieszczęśliwa. - Ja mu już wybaczyłam, więc nie ma potrzeby rozgrzebywania starych spraw. Mężczyznom tak trudno panować nad własnymi żądzami i byłoby mu na pewno przykro, gdyby mu wypominać takie mało ważne zdarzenie. Już się z pewnością otrząsnął z tego bzdurnego zadurzenia, bo przecież to był tylko taki nierozsądny wybryk z jego strony.

Proszę mu zatem nie wspominać o tym, niech zapomniane pozostanie zapomnianym.

Zegnam, pani Irjo, i dzięki za nieocenioną pomoc!

Pospiesznie wyszła. Z hallu dochodziło jeszcze stukanie obcasów.

O co chodzi? Tarald? Jej Tarald? Taki roztargniony i nerwowy w ostatnich dniach...

Małżonka w błogosławionym stanie?

Kiedy? Kiedy miało miejsce owo „mało ważne zdarzenie”? To jego „bzdurne zadurzenie”...?

Irja raz po raz przełykała ślinę, nieszczęśliwa i zagubiona. Ciężkim krokiem wróciła do dzieci, podziękowała pokojówce za pomoc, a potem osunęła się na łóżko.

- Czy wszystko w porządku? - zapytała dziewczyna. - Pani taka blada i zdenerwowana.

- Nie, nic, ja... nie czuję się dobrze.

Pokojówka patrzyła na nią zatroskana.

- Proszę, niech się pani teraz położy i odpocznie, a ja zabiorę Kolgrima na dół. Może się przy mnie bawić, kiedy będę pracować.

- Dziękuję - szepnęła Irja, głęboko wciągając powietrze. - Dziękuję.

Została sama i leżała jak ogłuszona, przepełniona żalem i zdumieniem, dopóki nie nadeszła pora karmienia Mattiasa.

Tarald pracował tego dnia w lesie i wrócił do domu o zwykłej porze. Pochłonięty własnymi myślami, nie zwrócił początkowo uwagi na ponurą milkliwość Irji. Dopiero, gdy chłopcy poszli spać, a ona wciąż ubrana i apatyczna siedziała skulona na łóżku, zapytał:

- Co z tobą, Irjo? Nie odezwałaś się przez cały wieczór ani słowem.

Minęła długa chwila, zanim Irja wyszeptała:

- Ja nie mogę. Tak się boję.

Mąż podszedł i usiadł przy niej.

- Boisz się? Ty? Czego?

Irja przełknęła ślinę i jakoś odzyskała mowę.

- Ty masz zmartwienie, Taraldzie, prawda?

Spojrzał na nią, nagle czujny.

- Ja? Dlaczego o to pytasz?

- Taki jesteś ostatnio roztargniony. To mnie przeraża.

Tarald milczał przez chwilę.

- To dlatego się boisz?

- Tak - odparła z wahaniem. - A poza tym miałam dzisiaj wizytę, która mnie okropnie zdenerwowała.

Tarald zerwał się na równe nogi. W jego głosie brzmiał lęk.

- Wizytę? Kto to był?

- To... żona pastora.

- Żona pastora? A co ona ma z tym wspólnego?

Irja odetchnęła głęboko,

- Z jakim „tym”?

Gdy nie odpowiadał, wyciągnęła do niego rękę. Ujął jej dłoń i usiadł znowu. Irja starała się ze wszystkich sił zachować spokój, lecz płacz dławił ją w gardle.

178

- Taraldzie, najdroższy, powiedz, co cię dręczy? Nie jestem w stanie znieść myśli, że mogłabym utracić...

Powstrzymała się, by nie powiedzieć „ciebie”, zamiast tego wykrztusiła „twoje zaufanie”.

- Moje zaufanie masz zawsze, Irjo - powiedział serdecznie i przytulił ją do siebie.

- Chciałbym ci tylko oszczędzić przykrości, rozumiesz mnie chyba.

A więc to prawda! Irja ukryła twarz w dłoniach.

- Mogę wrócić do Eikeby, jeżeli chcesz - wykrztusiła zdławionym przez płacz głosem.

- A to co znowu za głupstwa? - wybuchnął. - Dlaczego miałabyś wracać?

Teraz Irja rozplakała się na dobre.

- Z powodu tego o czym mówiła pastorowa, rzecz jasna!

- Przecież ta przekłeta pastorowa nic chyba nie wie o Ole Olesenie!

Irja natychmiast przestała płakać.

- Ole Olesen? A kto to jest?

Tarald wstał.

- Nie, no musimy to wszystko wyjaśnić od początku do końca. Takie zgadywanki do niczego nie doprowadzą. Co ci powiedziała pastorowa?

- Zabroniła mi o tym wspominać. Nie wolno mi cię dręczyć.

- Teraz ty mówisz zagadkami. O czym nie wolno ci wspominać?

Z oczu Irji znowu popłynęły łzy. Skuliła się i odwróciła od niego.

- Nie wiem, Taraldzie. Ja nie rozumiem, co ona chciała powiedzieć.

- Powtórz, co mówiła!

- Tak trudno o tym mówić! Całe moje ciało jest jedną wielką, bolesną raną, Taraldzie.

Zrozumiałam to tak, że robiłeś jej nieprzyzwoite propozycje wtedy, kiedy ja chodziłam z Mattiasem. Że nie zdołałeś „zapanować nad swoimi żądzami”, jak się wyraziła.

Tarald poczuł się tak, jakby uszło z niego całe powietrze, a ktoś ścisnął mu płuca. Irja, szlochając i pociągając nosem, przedstawiła jak mogła najlepiej oskarżenie Julii.

179

Tarald słuchał bez ruchu, jak sparaliżowany.

- Co za obrzydliwe babsko! - rzekł w końcu powoli. - Jaka przewrotna wiedźma! Co, na Boga,

chciała osiągnąć tym podstępny atakiem?

Objął żonę i przytulił.

- Irjo, moja kochana, mogę ci przysiąc z ręką na Biblii, że nigdy ani przez moment nie zalecałem się do tej woskowej kukły, ani tym bardziej jej nie dotknąłem, i nigdy, nigdy w życiu nie miałem na nią najmniejszej ochoty! Ona chyba zwariowała. Ale to okropne, mogła nam przecież zatruć życie, podejrzenia i wątpliwości mogły cię załamać.

- Tak - potwierdziła Irja cicho. Jeszcze nie doszła do siebie, wciąż był wstrząśnięta i zdenerwowana.
- Była bliska celu. Ale coś mi się teraz przypomniało, Taraldzie. Coś, co mi powiedziała Cecylia przed wyjazdem. Że też mogłam o tym zapomnieć!

- A co ci powiedziała?

- „Strzeż się tej małej, ślicznej Julii z probostwa, Irjo! i Ona na nas poluje!” Wtedy nic z tego nie rozumiałam i dlatego szybko zapomniałam. Dopiero dziś zaczynam się domyślać.

- Cecylia? - rzekł Tarald w zamyśleniu. - Cóż to, na Boga, znaczy?

- Teraz kolej na ciebie - rzekła Irja, wycierając nos. - Kim jest Ole Olesen?

Tarald westchnął.

- Tak, chyba będzie najśluszniej, jak ci o tym powiem, choć tak bardzo nie chcę cię martwić!

To się stało jeszcze za życia Sunnivy, a dobrze wiem jaka jesteś wrażliwa na wszystko, co się z nią wiąże. Dlatego nie chciałem o tym z tobą rozmawiać. Czy pamiętasz tamten tydzień, kiedy ona i ja mieszkaliśmy w domu w Oslo?

Miał rację, wspomnienie Sunnivy zawsze sprawiało Irji ból.

- Pamiętam.

- Żyliśmy wtedy z wielkim rozmachem, Irjo. Bawiliśmy się w ludzi światowych, ucztowaliśmy, kupowaliśmy mnóstwo drogich rzeczy. Uprawialiśmy także w tajemnicy zakazany hazard i ja właśnie wtedy, oszołomiony tym wszystkim, zaciągnąłem po pijanemu wielki karciany dług.

Od tamtej pory robiłem, co mogłem i po trochu spłacałem dług...

- Ole Olesenowi?

- Tak. Ale przecież wiesz, że ja nie mam żadnej gotówki, cały majątek to ta posiadłość, niełatwo coś zarobić. Teraz mój wierzyciel stracił cierpliwość i zażądał zwrotu całej sumy. A ja nie mam nic!

Nareszcie dotarło do Irji, że pastorowa przyszła do niej z kłamstwami, choć nie wiadomo dlaczego to zrobiła. Ole Olesen i karciany dług nie mają znaczenia. Wiadomość o tym przyjęła prawie z ulgą. Kobiety takie są.

- Kiedy mija termin?

- W piątek. Jeśli nie dostanie pieniędzy, komornik wejdzie na Grastensholm.

- Ile tego jest?

- Zostało jeszcze 500 talarów.

Serce Irji zamarło. Trudno powiedzieć, że to drobiazg! A ona, nieszczęsna, myślała o swoich zaoszczędzonych talarach!

- Gdybym ci tylko mogła jakoś pomóc - powiedziała przepełniona uczuciem lojalności. - Ale to, co mam, to kropla w morzu. No, a twoi rodzice?

- Nie, nie, oni nie mogą się o tym dowiedzieć. Tyle się przeze mnie wycierpieli w tamtych latach, że nie chciałbym rozdrapywać starych ran. Stałem się innym człowiekiem od czasu, kiedy weszłaś w moje życie, wiesz przecież.

Wiedziała, oczywiście.

- Czy on tutaj przyjdzie?

- Nie, mam się z nim spotkać w karczmie. Przychodzi tam prawie każdego wieczora, bo ze względu na swoje zajęcia wciąż jeździ po dystrykcie Akershus.

- Rozumiem. No, Bogu dzięki, mamy parę dni. Tylko nie zrób niczego nieprzemyślanego, Taraldzie.

- Nie, obiecuję ci - odparł wdzięczny, że ona bez wahania powiedziała „my”, „my mamy parę dni”.

- Jesteś taka dobra, Irjo. Jak mogłaś pomyśleć, że chciałbym cię zdradzić?

Tarald leżał i ogarniał go coraz większy gniew. Gdy opowiedział Irji o karcianym długu, poczuł ulgę i dopiero teraz zrozumiał, jak bardzo Julia zraniła jego żonę.

- To jej nie może ujść bezkarnie - oświadczył oburzony. - Chodź, Irjo! Nie możemy tak tego zostawić.

Zerwał się z łóżka i pociągnął ją za sobą.

- Chodźmy na dół, do rodziców. Trzeba im to powiedzieć! Możesz zawołać kogoś do dzieci?

181

- Oczywiście. Ale...

Tarald nie chciał o niczym słyszeć. Irja szybko wezwała pokojówkę, żeby posiedziała przy śpiących chłopcach i zesłi na dół do rodziców Taralda, siedzących przy kominku. Liv szła, Dag przeglądał swoje papiery.

- O - zdziwiła się Liv. - Myślałam, że poszliście już spać. Co się stało? Wyglądacie na bardzo przejętych.

- Bo jesteśmy - odparł Tarald. - Zaraz usłyszycie zupełnie szaloną historię!

Irja musiała więc jeszcze raz opowiedzieć o wizycie Julii, słowo po słowie. I o tajemniczym ostrzeżeniu Cecylii.

- Ależ to bezwstydne! - powiedział Dag wstrząśnięty, gdy skończyła. - Wprost trudno uwierzyć.

- Tak, ona tu dzisiaj rzeczywiście była - potwierdziła Liv, poruszona. - Powinniśmy z nią porozmawiać, ale pan Martinius jest naszym przyjacielem...

- On wyjechał do sąsiedniej parafii - rzekł Dag wstając. - Chodźcie dzieci. Jedziemy zaraz na probostwo! Czegoś takiego w moim domu nie będę tolerować. Mogła przecież narobić niepowetowanych szkód.

Wszyscy czworo ubrali się szybko do wyjścia i przekazali służbie wiadomość, dokąd się udają. Irji drżały ręce, gdy wkładała rękawiczki. Nie bardzo miała ochotę na spotkanie z duchową ozdobą parafii.

Pani Julia, szeleszcząc sztywnymi spódnicami, wyszła im na spotkanie do dużej sieni.

Pobladła na twarzy, ale panowała nad sytuacją.

- Co za miła wizyta, tak późnym wieczorem - powiedziała, jak zwykle ukrywając złośliwości w eleganckich zwrotach. - Czemu zawdzięczam ten honor?

Głos zabrał Dag jako asesor i sędzia.

- Pani Julio, wystąpiła pani wobec mojej synowej z ciężkim oskarżeniem przeciw mojemu synowi. Proszę łaskawie wytłumaczyć się z tego!

Julia skuliła się. Ponieważ jej własne małżeństwo miało czysto formalny charakter, nie wzięła pod uwagę czegoś takiego, że małżonkowie mogą się darzyć wzajemnym zaufaniem.

Nigdy by się nie spodziewała, że ta głupia, beznadziejna Irja ośmieli się wspomnieć mężowi o tym, co od niej usłyszała! Ale, ona mu to na pewno rzuciła w twarz podczas kłótni. Ta myśl sprawiła Julii przyjemność.

- Nie wiem, o co pani Irja oskarżyła swego męża, niezależnie od tego jednak, co ona mu zarzuca, ja

przecież wyraźnie prosiłam, by mu tego oszczędziła. Pani Irja postąpiła inaczej i, moim zdaniem, zachowała się nielojalnie.

Oczy Taralda miały skry.

- Irja niczego mi nie zarzuca i o nic mnie nie oskarża, pani Julio! Po prostu nie rozumie nic z tego, co pani jej opowiedziała, więc mnie zapytała. Zasmucona, ale spokojna.

Julia poczuła się bardzo niedobrze. Czegoś takiego spodziewała się najmniej. I sam asesor przychodzi z pretensjami. Cóż to za dziwaczne stosunki panują u tych snobów z Grastensholm? Dobrze, że Martininusa nie ma w domu!

- A co ja takiego powiedziałam o panu, panie Taraldzie? - zapytała chłodno.

- Że nastawałem na pani cześć, kiedy Irja oczekiwała dziecka. Że nie umiałem opanować swoich żądz i zainteresowania panią. To śmieszny pomysł! Kocham Irję, a pani nic mnie nie obchodzi, nie tylko dlatego, że jest pani żoną mojego najlepszego przyjaciela, lecz po prostu pani mnie nie pociąga.

To była już zbyt grubiańskie i Dag powstrzymał go gestem.

Julia roześmiała się, ale zabrzmiało to nienaturalnie.

- Ależ mili państwo, to kompletne nieporozumienie! Nigdy przecież nie powiedziałem, że pan Tarald mnie osobiście czynił jakieś propozycje! Mówiłam, że to pewna dziewczyna z naszej parafii była narażona na pana zaczepki i pan dobrze o tym wie, panie Taraldzie. Dziewczyna przyszła do mnie ze skargą, a ja byłam pełna oburzenia, że pan mógł zrobić coś takiego swojej małżonce.

Irja znowu poczuła się niepewnie, lecz Tarald nie dał się zbić z tropu.

- Ale kłamstwa! - krzyknął rozgniewany. - Co to za dziewczyna?

- Nie, tego nie mogę panu powiedzieć. Zresztą sam pan dobrze wie, o kogo chodzi.

- Otóż nie wiem! A nie chodzę śpiąc i odkąd ożeniłem się z Irją, nie upijam się. Więc o co tu właściwie chodzi?

Liv, dotychczas milcząca, podeszła do Julii i położyła jej ręce na ramionach.

- Biedna pani Julia. Pani jest chora - rzekła łagodnie i podprowadziła oniemiałą kobietę do kanapy. - Proszę usiąść. Pani jest po prostu samotną, nieszczęśliwą istotą, dręczoną zmartwieniami, o których my nie mamy pojęcia.

W końcu jednak pastorowa odzyskała mowę.

- Chora? Ja? To wy macie zwyrodniałe dusze. Było tak, jak powiedziałam, pewna dziewczyna z

parafii przyszła i... przyszła i powiedziała mi o tym, to ona, oczywiście, była chora. Tak. Tak właśnie było!

Zdołała się już opanować, znowu była spokojna i łagodna, jak zawsze.

- Powinniśmy więc puścić w niepamięć tę nieprzyjemną historię, która wyniknęła z czystego nieporozumienia. Dziewczyna ma źle w głowie i coś sobie ubzdurzyła...

Teraz Irja nie ustępowała.

- Ja zdecydowanie odniosłam wrażenie, że to pani Tarald się jakoby narzucał. A wiem, że on tego nie zrobił.

- To nie byłam ja, mogę na to przysiąc - oświadczyła Julia. - To tamta dziewczyna.

W mądrych oczach Liv pojawił się błysk.

- Kiedy to wszystko miało miejsce?

- To było... niech sobie przypomnę... Tak, to było w sierpniu!

- Jest pani tego pewna?

- Muszę się zastanowić! Dziewczyna była u mnie w końcu sierpnia. Tak, że to musiało się stać na krótko przedtem.

- Dziękuję za odpowiedź - rzekła Liv spokojnie. - Wtedy Tarald ciężko chorował na świnkę.

Przez cały miesiąc leżał w łóżu. Nie sędzę, by wtedy miał siły uwodzić kobiety.

Julia wstała, uznając rozmowę za zakończoną.

- Jest tak, jak mówiłam. Dziewczyna musiała sobie to wszystko wymyśleć.

Widocznie jednak ich sceptyczne miny podziały jak kropla, która przepełniła czarę.

- Państwo nie chcą wierzyć żonie pastora? Wierzą państwo raczej swojemu rozpustnemu synowi, który oszukuje swoją paskudną, podobną do ostu żonę i kłamie jej w żywe oczy?

Meidenowie długo przyglądali się jej bez słowa, a Julia zbyt późno spostrzegła, że posunęła się za daleko. Oni jednak zbierali się już do wyjścia.

- Ze względu na pani męża nie będziemy dalej roztrząsać tej sprawy - oświadczył Dag zimno.

Liv potwierdziła skinieniem.

- Od dawna wiedzieliśmy, że jego małżeństwo nie jest szczęśliwe i zastanawialiśmy się, dlaczego. Teraz już wiemy. Biedny Martin! Biedna pani Julia! Ze wszystkich najbardziej żal mi pani, bo panią dławi własna pycha i niezdrowe ambicje. I jakieś psychiczne zahamowania.

Meidenowie wyszli. Julia wściekła otworzyła jeszcze za nimi drzwi i wrzeszczała tak, że było ją słychać na całej plebanii.

- Nie wyobrażajcie sobie, że możecie być tacy zarozumiali, o nie! Wiem takie rzeczy o waszej córce, że to was zaraz sprowadzi na ziemię, jak się dowiecie!

Po czym trzasnęła drzwiami z taką siłą, że zawieszona nad nimi podkowa spadła na ziemię.

Dobra pastorowa była miła jak kot, dopóki się ją głaskało. Jeśli jednak ktoś się jej sprzeciwił, wszystko co było w niej niedojrzałe, dziecinne, stłamszone, wylewało się na zewnątrz. Tyle tylko, że tej strony swojej osobowości nigdy nie ujawniała wiernym parafianom.

Meidenowie spoglądali po sobie. Dag chciał zawrócić, by pociągnąć ją do odpowiedzialności za insynuacje pod adresem Cecylii, ale Tarald go powstrzymał.

- Nie, ojczy - powiedział cicho. - Uważam, że nie powinniśmy się specjalnie zagłębiać w problemy Cecylii. Myślę, że tu właśnie tkwi sedno sprawy, nie rozumiecie tego?

Liv zgodziła się z synem, Dag także.

Wsiedli do sań. Nieprzyjemne uczucia przemieniły się w ich sercach w głębokie zatroskanie.

185

ROZDZIAŁ XIV

Irja długo nie spała, leżąc, z ramieniem podłożonym pod kark Taralda i jego głową na swojej piersi. Obejmowali się oboje czule, pragnąc okazać sobie najwięcej zaufania. Nikt, ani anioł, ani żadna fałszywa parafialna święta nie może ich rozdzielić.

Teraz on spał głęboko. Ostrożnie uwolniła zdrętwiałe ramię i delikatnie pieściła jego ciemne loki.

Kocham cię, myślała spokojnie. Kocham cię za tę słabość, która kiedyś była twoją cechą i za tę siłę, którą masz teraz. Ty i ja... Długa była nasza droga do siebie nawzajem. Musieliśmy pokonać tyle przeszkód. Ale dziś po raz pierwszy czuję się przy tobie naprawdę bezpieczna.

Dotychczas mój brak urody, moja niezdarność sprawiały, że bałam się uwierzyć w twoją miłość. Teraz mogę być jej pewna. Ty mnie potrzebujesz. Pragniesz mnie kochać. Pozwoliła myślom płynąć swobodnie i wkrótce zaczęła się zastanawiać nad tym drugim zmartwieniem Taralda, jak zdołają spłacić jego karciany dług, żeby nie martwić rodziców? Ona sama, jak mogła mu pomóc? Eikeby także było ubogie we wszystko, z wyjątkiem ludzi potrzebujących pieniędzy.

Gdyby tak jeszcze żył pan Tengel! To była jej stała żaloszna śpiewka, powtarzana zawsze, kiedy miała

jakieś zmartwienie. On był czarodziejem, który znajdował radę na wszystko.

I nieoczekiwanie znalazła rozwiązanie. Przyszło jej do głowy jakby poprzez wspomnienie pana Tengela.

Po chwili, uspokojona zasnęła

Następnego dnia powierzyła małego synka opiece teściowej, a sama wybrała się z Kolgrimem do Lipowej Alei. Wiedziała, że Are nie pojechał tego dnia do lasu, bo zajmował

się chorą krową.

Zostawiła Kolgrima z Trondem i Brandem. Ci dwaj umieli zaspokajać jego potrzebę szalonych zabaw, w każdym razie Trond. Brand zaś był na tyle silny, by go powstrzymać, gdyby chłopiec posunął się za daleko.

Rzeczywiście, znalazła Arego w przesyconej zapachem nawozu, ciepłej oborze.

Pomieszczenie było niskie i mroczne, ale i tak znacznie bardziej przestronne niż zwyczajne obory w okolicy.

- Witaj, Irjo - rzekł Are z przyjaznym uśmiechem. - Jak miło cię widzieć!

- Dziękuję - odparła skrępowana. - Jak tam krowa?

- Lepiej. Wyliże się.

- O, to dobrze. Panie Are, przychodzę z wielką prośbą.

186

- Mów, o co chodzi?

Irja zagryzła dolną wargę. Jakoś nie mogła patrzeć na Taraldowego wuja, nie spuszczała więc oczu z krowy, która leżała spokojnie i przeżuwała.

- Mój Tarald popadł w kłopoty. A ja tak rozpaczliwie tęsknię do pana Tengela, żebym mogła zwrócić się do niego a pomoc. Pomyślałam sobie, że przecież to wy, wuju, zajmujecie się teraz, jak kiedyś on, rodzinnymi sprawami i dlatego przyszedłam do was.

Are czekał. Duży, budzący poczucie bezpieczeństwa, z pierwszymi śladami siwizny we włosach.

- Nie mogłam pójść do jego rodziców, bo Tarald nie chce, żeby o tym wiedzieli. Wy jesteście teraz głową rodu, w każdym razie rodu Ludzi Lodu. I myślałam, że mi przynajmniej poradzicie co robić...

Are wciąż czekał, a Irja poczuła się już znacznie pewniej w jego obecności, nie podejrzewając nawet, jak Are ceni sobie to, że nazwała go głową rodu. Bez wahania opowiedziała mu bardzo

szybko o karcianym długi Taralda i wysiłkach, jakie czynił, już po ślubie z nią, żeby go spłacić.

- Co ja mam zrobić, wuju Are? Tak bym mu chciała pomóc. Jeśli jest jakieś wyjście, to proszę mi je wskazać!

Are położył jej na ramieniu swoją ciężką dłoń.

- To szalona głowa - burczał życzliwie. - Ale to było za czasów Sunnivy i od tamtej pory Tarald bardzo wydorósł. Rozumiem, że nie chce z tym iść do Liv i Daga, chociaż oni by mu na pewno pomogli. Dag mógłby też przy okazji poskromić tego krwio pijęc Ole Olesena, słyszałem o nim to i owo. Ale to dobrze świadczy o Taraldzie, że nie chce obciążać swoich rodziców. 500 talarów, powiadasz? No, nie jest to mało, zwłaszcza kiedy trzeba je jakoś zdobyć.

- No właśnie, ale jak? Ja mam tylko osiemnaście talarów, zaoszczędzonych w ciągu wielu lat. Lecz to na niewiele się zda.

- Nie, tych pieniędzy nie ruszaj. Wiesz, moi rodzice, Tengel i Silje, byli bardzo bogaci. Mamy pieniądze, które po nich odziedziczyliśmy, i Liv, i ja.

Głos Irji drżał, spoglądała na niego błagalnie:

- Czy mogłabym pożyczyć? Oddam wszystko, nawet gdyby to miała trwać sto lat!

Are uśmiechnął się.

187

- Ty wcale nie musisz niczego pożyczać. To sprawa Taralda. Ale domyślam się, że przyszedł do mnie w tajemnicy przed nim.

- Tak. On mnie nie poprosi o pomoc, chce sam płacić za swoje grzechy.

- No, a jak zamierza to zrobić? Lepiej się pospieszmy, zanim nie popełni jakiegoś głupstwa.

Irjo, ja wiem, że mama Silje ceniła cię niezwykle wysoko. Często mawiała, że ciebie nie można przecenić. Weź te pieniądze jako dar od niej i od Tengela! Są twoje. I przeznacz je na tego szalawię, który jest twoim mężem. W przeciwnym razie nigdy nie będziesz w pełni szczęśliwa. Poza tym trzeba ratować Grastensholm!

- Ale to wasz spadek!

- Ech, mam dość i dla moich dzieci, i dla przyszłych wnuków. Zresztą Tarald także jest wnukiem Tengela i Silje.

A w ogóle to mogę je sobie później, przy jakiejś okazji, odebrać od Liv i Daga. Przede wszystkim musimy zatkać gębę temu tam Olesenowi. Chcesz, żebym poszedł do karczmy i zapłacił mu, co trzeba?

Zawahała się.

- Czy nie byłoby lepiej, gdyby Tarald sam to załatwił?

- Masz rację, chyba tak. A jak mu zamierzasz wytłumaczyć, skąd wzięłaś pieniądze?

- No tak, to istotne pytanie. Nie myślałam o tym.

Are uśmiechnął się spokojnie.

- Pozwól, że jednak ja się tym zajmę! Przyjdę do was dziś wieczorem z pieniędzmi i powiem, że przypadkiem dowiedziałem się o długu od kogoś postronnego. Powtórzę też dokładnie to, co powiedziałem ci przed chwilą, że mama Silje była do ciebie taka przywiązana, kochała cię i miała nadzieję, że Tarald ożeni się z tobą, a nie z Sunnivą. Tak, bo ona tego naprawdę pragnęła.

Irja skinęła głową. Wiedziała o tym.

- Więc to jest dar od Silje dla ciebie, Irjo. Żeby Tarald nie odmówił przyjęcia tych pieniędzy, przyniosę 600 talarów. Będiesz mogła zachować przynajmniej sto, a ja poczuję się trochę pewniej. Potem, jakby chciał, może ci spłacić te 500 talarów.

- Niech Bóg broni!

- Nie powinnaś odmawiać. Nie masz obowiązku ponosić ofiary z powodu jego grzechów z czasów Sunnivy.

188

Are miał niewątpliwie rację. Irja przyznała to skinieniem głowy.

- Wujku Are - rzekła serdecznie, z roześmianymi oczyma. - Dzięki. Tysiąc razy dzięki.

- Wystarczy pięćset razy - zawołał ze śmiechem...

1625...

Przełomowy rok dla Ludzi Lodu.

Gdy Cecylia opuszczała Norwegię, na początku roku 1625, nie wiedziała, że wigilia, którą dopiero co obchodzili, była ostatnią, jaką rodziny z Grastensholm i Lipowej Alei spędziły razem. Miały się rozproszyć, dobrowolnie lub wbrew własnej woli, i tylko kilkoro ich członków pozostało na miejscu.

Nie wiedziała też, że zabiera ze sobą do Danii zarodek nowego życia, przekazany jej przez młodego, nieszczęśliwego pastora z parafii Grastensholm.

Przy jej pozycji na dworze oznaczało to katastrofę.

Z niepokojem oczekiwała spotkania z Alexandrem Paladinem. Odnosiła wrażenie, że przybyło jej wiele lat od czasu, gdy widzieli się po raz ostatni. Cecylia nie miała pojęcia, jak powinna się wobec niego zachować. Jeżeli w ogóle odważy się go zobaczyć. Żaden inny mężczyzna nie znaczył dla niej tak wiele, jak ten wysoki, z pozoru silny i pewny siebie margrabia. Ta prawda stawała się dla niej coraz bardziej oczywista.

W roku 1625 miało się okazać, który z wnuków Tengela odziedziczył po przodkach żółty błysk zła w oczach.

Przede wszystkim jednak był to rok rozpadu.

Tarjei opuścił już rodzinę. Został beznadziejnie wplątany w toczącą się w Niemczech wojnę, która wybuchła w dalekich Czechach jeszcze w roku 1618, a potem rozprzestrzeniała się na wszystkie strony z powodu nieczystych interesów małych i większych książąt. Wojna miała szaleć w Europie przez trzydzieści lat, a dotychczas minęło ich dopiero siedem.

Król Christian IV od dawna miał ochotę włączyć się do walki. Było raczej wątpliwe, czy powodują nim motywy czysto religijne. Równie mocno pociągały go podboje i możliwość zyskania osobistego prestiżu. Duńska Rada Państwowa była jednak skąpa, hamowała zapędy króla, nie godziła się dać ani pieniędzy, ani wojska.

Niebezpieczna stawała się konkurencja Gustawa II Adolfa ze Szwecji, wojownika dużej klasy, władcy głęboko religijnego. Gdyby Christian się nie pospieszył, Gustaw Adolf mógł zostać wodzem protestantów w wyprawie przeciwko postępującym naprzód katolikom w Niemczech. Przywództwo zaproponowano obu królom, lecz władca szwedzki spełniał więcej warunków.

189

Christian podjął więc działania na własną rękę, bez przyzwolenia Rady Państwowej. Obiecał protestanckim sojusznikom, że wystawi armię złożoną z wielu tysięcy piechoty i dragonów. Z entuzjazmem zaczął zbierać wojsko. Przeważnie europejskich żołnierzy zaciężnych, obok, rzecz jasna, duńskich poborowych. Próbował też wcielać do wojska norweskich chłopów, choć akurat w tym względzie Dania miała niedobre doświadczenia. W chłopach norweskich nie było w ogóle ducha walki!

To zresztą ocena dość niesprawiedliwa. Bo niby dlaczego duńscy królowie mieliby oczekiwać waleczności od Norwegów? Ci mogli się bić za Norwegię, duńskie kłopoty ich nie obchodziły.

Christian IV bardzo szybko przestał więc werbować Norwegów na tę wojnę. Nim jednak powziął taką decyzję, zdążono załadować cały statek chłopskimi synami, siłą wcielonymi do wojska, wyrwanymi z rodzinnych zagród w okolicach Oslo i Akershus.

Pewnego pięknego dnia, wczesną wiosną, duńscy werbownicy dotarli do parafii Grastensholm. Przerażone rodziny musiały patrzeć jak ich młodzi, silni synowie są, mimo rozpaczliwego oporu,

uprowadzani z domów.

Wiadomości o wydarzeniach rozchodziły się błyskawicznie, młodzi ludzie uciekali więc i ukrywali się. Liv wysłała Irję do lasu, by odszukała Taralda i poleciła mu zostać w leśnym szałasie, dopóki Duńczycy nie opuszczą parafii. Młoda kobieta pobiegła natychmiast, z sercem tłukącym się ze strachu, że mogłaby stracić męża w jakiejś bezsensownej wojnie.

Szukała w panice, by go odnaleźć, nim będzie za późno.

Klaus i Rosa o niczym jednak nie słyszeli. Werbownicy zaskoczyli ich, gdy przyszli zabrać ich młodego syna, Jespera.

Klaus, teraz pięćdziesięcioletni, patrzył na nich z rozpaczą.

- Na wojnę? Bić się? Z kim?

- Z katolikami, rzecz jasna, w Niemczech.

- A co ta za stworzenia? Trolle jakieś, czy co?

- Czyś ty głupi, człowieku? Pojmujesz chyba, że musimy bronić naszej wiary przed papistami.

Klaus popatrzył na nich bezradnie. Określenie papiści nic mu nie mówiło. Rosa i młodsza córka płakały, a Jesper daremnie próbował się wyrwać.

- Gdzie są te Niemcy? - dopytywał się Klaus.

Werbownicy tracili cierpliwość.

190

- O, daleko, na południu.

- Na południe od Akershus?

- O Boże, na południe od Danii.

Klaus zawył.

- Nie dam mojego chłopaka, żeby się bił z kimś, o kim nic nie wiemy, w jakimś kraju, tak daleko stąd. Nie możecie go zabrać, ja muszę się rozmówić z panem baronem.

- To rozkaz króla i wszyscy muszą mu być posłuszni, baron także. Chodź, chłopcze.

- Ojczy! - krzyczał Jesper rozdzierająco, gdy wyciągnęli go z zagrody. Klaus biegł za nim, z twarzą zalaną łzami. Próbował wyszarpnąć syna, lecz żołnierze odepchnęli go kolbami karabinów tak, że upadł z trudem łapiąc powietrze.

W Lipowej Alei Are patrzył przerażony na werbowników.

- Obaj moi synowie? Ale ja już mam jednego daleko, w świecie, a tych dwu potrzebuję w gospodarstwie. Nie obejdziemy się bez nich!
- Jesteś jeszcze młody i energiczny, człowieku, sam dasz sobie radę z gospodarką. Jego Wysokość potrzebuje twoich synów. To wielki zaszczyt walczyć za ojczyznę.
- Za jaką ojczyznę! - parsknął Are ze złością.
- Za Danię, oczywiście, i za naszą wiarę.
- Gwiżdżę na jedno i na drugie! Nie pošlę swoich synów na niepewny los w walce, która nas nie dotyczy.

Przerwał mu Trond.

- Pozwól mi pójść, ojcze! Zawsze marzyłem o tym, by być żołnierzem. Zostać oficerem i zdobyć sławę.
- Ależ Trond! My nie możemy cię utracić!
- Ja wrócę! - zapewnił syn. - Może nawet jako kapitan, ojcze.
- Jesteście przecież tacy młodzi. Brand ma dopiero szesnaście lat!

Duński werbownik odparł brutalnie:

- Armaty nigdy nie pytają o wiek mięsa. Twoi synowie są rośli i silni. Chodźcie chłopcy, przygotujcie się do drogi!

191

Meta zaczęła krzyczeć z rozpacz.

- Stul pysk, babo! - wrzasnął żołnierz. - Już nie można wytrzymać tych babskich lamentów.

Możliwe, że król byłby zgorszony, gdyby wiedział jak sobie poczynają jego ludzie, by zdobyć dla niego wojowników. Aż takiego zdecydowania chyba od nich nie oczekiwano. W każdym razie, jak powiedziano, zaniechał przymuszania biednych Norwegów i tylko ta jedna grupa, załadowana na statek, została bez żadnej przyczyny rzucona na europejskie pola bitewne.

Król wolał doświadczonych, zaciężnych żołnierzy, którzy całe swoje życie poświęcili zdobywaniu sławy i pozbawieniu życia jak najwięcej wrogów, wszystko jedno jakich.

Także w Grastensholm Dag stoczył swoją walkę z werbownikami. Irja zdążyła już wrócić z uspokajającymi wiadomościami. Tarald jest bezpieczny, a wraz z nim kilku parobków.

- Nie, nie możecie zabrać mego syna, on jest tutaj głównym zarządcą majątku - oświadczył

Dag zdecydowanie. - A zresztą nie ma go w domu, wyjechał, żeby kupić dobre ziarno na wiosenne siewy.

- Gdzie jest teraz?

- Nie wiemy. Miał odwiedzić kilka miejsc w całym dystrykcie.

- A kiedy wróci?

- Wyjechał wczoraj i liczył, że podróż zajmie mu parę dni.

- Werbownicy rozglądali się. Właściciel majątku, asesor, baron Meiden był człowiekiem wpływowym. Lepiej zostawić go w spokoju. Pokiwali więc niechętnie głowami i poszli sobie.

W chwilę później Liv, stojąca z Kolgrimem przy oknie, zobaczyła furę z młodymi mężczyznami, zjeżdżającą drogą w dół, w stronę kościoła. Za wozem maszerowali królewscy werbownicy.

Serce jej się ścisnęło na ten widok. Rozpaczliwe krzyki pojmanych chłopców niosły się aż do Grastensholm.

- Nie chciała, by Irja to zobaczyła. Z pewnością było wśród nich wielu jej krewnych z Eikeby.

- Gdzie jest mama? - zapytała Kolgrima.

- Znowu poszła do tego małego głupka. Wciąż u niego siedzi.

- On musi często jeść. I moczy się, więc trzeba go przewijać, przecież wiesz. A poza tym Mattias wcale nie jest głupim dzieckiem, Kolgrimie. To twój młodszy braciszek i śmieje się zawsze tak radośnie do ciebie. On cię lubi, zauważyłeś to chyba? Uważa, że jesteś duży i silny.

192

Uff, nie, nie umiała jak Cecylia dobierać właściwych słów.

Kolgrim mruczał pod nosem.

- Chyba nie trzeba go zabijać. Nie trzeba być dla niego niedobrym, bo tego wielki czarownik nie lubi. Ale można się go pozbyć w inny sposób.

Liv poczuła lęk, jakby wielka, zimna ręka ścisnęła jej serce. Czy on ma na myśli magię? Czy w duszy tego chłopca czają się jakieś skryte umiejętności, które rozwija po to, by pozbyć się niechcianego przyrodniego brata? Czy też co innego chodzi mu po głowie?

O Boże, szepnęła sama do siebie. Dobry Boże, pomóż nam! Powstrzymaj mnie, bym go nie uderzyła, naucz mnie panować nad sobą, bo jeśli uderzę, to jego nienawiść do brata jeszcze wzrośnie. Daj mi

łagodność, Panie! I dzięki ci, dobry Boże, że Tarald zostanie z nami, z Irją!

Ciężar jest zbyt wielki, byśmy go mogli udźwignąć sami.

Otrząsnęła się ze złych myśli i znowu patrzyła na ten makabryczny spektakl, rozgrywający się w dole, na drodze.

To Meta! O Boże, to Meta, przestała już gonić wóz, upadła przy rowie i trwa tam skulona, pogrążona w ostatecznej rozpacz. Któryś z chłopców z Lipowej Alei musiał się znajdować na wozie. A może obaj?

- Dag! - zawołała zdenerwowana, ale nie było go nigdzie w pobliżu.

Żołnierze odpierali ataki kobiet i starszych mężczyzn, biegnących za furą. Zobaczyła Klause, jak biegnie ciężko, nie mogąc za nimi nadążyć. Zatem wzięli też pewnie Jespera!

Liv nie było dane nigdy zapomnieć tych strasznych krzyków i szamotania na drodze, widoku wiernego stajennego ani echa jego rozpaczliwego wołania, gdy parł przed siebie, choć nie miał nadziei, że zdoła ich powstrzymać, że przeszkodzi, nie dopuści, by jego jedyny syn padł

gdzieś na nieznanym polu bezsensownej walki. Mocno przytuliła Kolgrima do siebie i pospiesznie wytarła łzy.

Spośród wnuków Silje i Tengela został teraz w domu tylko Tarald, i to wyłącznie dlatego, że Bogu dzięki ostrzeżono go w porę.

Sunniva umarła. Cecylia była w Kopenhadze, Tarjei w Tybindze, a teraz Trond i Brand poszli na niepewny los.

Serce Liv krwawiło z żalu.

A wciąż jeszcze nie wiedziała o tym, w jakiej rozpaczliwej sytuacji znalazł się Tarjei, bez jedzenia, bez żadnej pomocy znikąd, gdzieś w ogarniętym wojną kraju. Ani o wielkim dramacie, jaki przeżywała jej córka, Cecylia. Nie miała też pojęcia, że jeden z wnuków 193

Tengela był „dotknięty”, choć ów straszny moment, gdy wszystko wyjdzie na jaw, zbliżał się coraz bardziej.

Skończyła się oto pewna epoka, szczęśliwa i na ogół spokojna. Nowa, nieznaną, stuknęła do bram.